

ROCZNIK SADECKI  
3



Adam Stadnicki

# Wspomnienia

**Adam Stadnicki**

# **Wspomnienia**

Wybór i opracowanie Józef Długosz

**BIBLIOTEKA „ROCZNIKA SĄDECKIEGO”**

Nowy Sącz 2015

Komitet Redakcyjny:  
Feliks Kiryk (przewodniczący)

Członkowie:

Tadeusz Aleksander, Tadeusz Duda, Julian Dybiec,  
Bolesław Faron, Józef Hampel, Bogusław Kołcz,  
Maria Kruczek, Jan Lach, Franciszek Leśniak,  
Jerzy Leśniak, Leszek Migrała (sekretarz redakcji), Antoni Szczepanek,  
Michał Śliwa, Robert Ślusarek, Sławomir J. Tabkowski,  
Jan Wnęk, Michał Załona, Leszek Zakrzewski

Redakcja techniczna: Leszek Migrała, Zbigniew Muzyk

Adres redakcji:

33-300 Nowy Sącz, Rynek 22 I p., tel. 18 44 86 773, 18 44 86 777

Wydawcy:

Prezydent Miasta Nowego Sącza  
Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Nowym Sączu

**Sfinansowano z budżetu Miasta Nowego Sącza**

ISBN 978-83-933269-5-2

Skład: Wydawnictwo „Koliber”, tel. 18 444 24 16

Druk: FLEXERGIS Sp. z o.o., tel. 18 444 33 44

## Od redakcji „Rocznika Sądeckiego”

W roku ubiegłym Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu zaproponowało redakcji „Rocznika Sądeckiego” wydanie *Wspomnień* Adama Stadnickiego w opracowaniu naukowym prof. dr. hab. Józefa Długosza, autora wielu prac wzbogacających wiedzę o historii Sądeczyny. Z uwagi na wartość poznawczą materiału przedłożonego redakcji „Rocznika Sądeckiego”, propozycję tę przyjęto z zadowoleniem i bez zastrzeżeń, postanawiając opublikować *Wspomnienia* w ramach Biblioteki „R.S.” Śmierć Profesora Józefa Długosza 17 października 2014 r. sprawiła, że wydania książki, której bardzo oczekiwał, niestety, nie do czekał.

Niniejsza publikacja, będąca wyrazem szacunku dla śp. Profesora Józefa Długosza, została wydana drukiem w formie i kształcie przezeń zaproponowanym. Niewielkie zmiany jakich dokonano dotyczą jedynie uwspółcześnienia pisowni oraz ujednolicenia zapisów niektórych terminów, a przede wszystkim dat. *Wspomnienia* uzupełniono również cennymi zdjęciami archiwalnymi, uzyskanymi dzięki życzliwości i pośrednictwu Andrzeja hrabiego Stadnickiego z Osoli, za udostępnienie których redakcja „Rocznika Sądeckiego” oraz Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu rodzinie Adama hrabiego Stadnickiego serdecznie dziękują.

Leszek Migrała  
– sekretarz redakcji „R.S.”

## Adam Stadnicki (1882–1982)

Adam Zbigniew Leon Stadnicki ur. 10 IV 1882 r., zm. 10 III 1982 r., ziemianin, leśnik, działacz polityczny, poseł na sejm. Był wybitną osobowością, która na trwale wpisała się w dzieje Małopolski; skoligacony w największymi rodami arystokracji polskiej i obcej – pozostawił po sobie opinię społecznika, otwartego na potrzeby Sądecczyzny<sup>1</sup>.

Osierocony przez ojca był jedynym spadkobiercą połowy dóbr ziemskich Mniszchów na Morawach, majątku Nawojowa, Brzezna, Wola Brzeźnicka, Poręba Mała (pow. sądecki), Wysokie (pow. limanowski) i Pustowola (pow. jasielski). Wychowany przez matkę i wujków, wykształcenie podstawowe otrzymał w domu, średnie w gimnazjum lwowskim oraz w zakładzie naukowo-wychowawczym jezuitów w Chyrowie, gdzie złożył maturę (1901). W latach 1902–1904 studiował leśnictwo w Wyższej Szkole Rolniczej w Monachium oraz rolnictwo i ekonomię w Heidelbergu<sup>2</sup>.

Po ukończeniu studiów odbył praktykę zawodową w dobrach Władysława Zamoyskiego i Kazimierza Lubomirskiego. W 1905 r. objął zarząd odziedziczonego majątku złożonego w przeważającej części z lasów, np. w kluczu nawojowskim posiadał 2400 ha. Stadnicki zajął się najpierw gospodarką leśną. Mimo młodego wieku już w 1902 r. zgłosił akces do Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego, od 1907 r. był także członkiem sekcji leśnej Lwowskiego Towarzystwa Rolniczego oraz dożywotnim członkiem Towarzystwa Szkoły Ludowej. W tym czasie zakupił od Idy Lasockiej i spółki węgierskiej zdewastowane lasy szczawnickie oraz założył dwa rezerваты w lasach nawojowskich i osobne plantacje drzew egzotycznych. W 1908 r. został wybrany do Rady Powiatowej w Nowym Targu oraz do Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego w Nowym Sączu. W 1909 r. powiększył swoje dobra, gdyż zakupił od Akademii Umiejętności w Krakowie zdrojowisko szczawnickie. Należność 450 tys. koron spłacał w ratach w ciągu 40 lat. W 1910 r. wszedł do Rady Powiatowej w Nowym Sączu jako reprezentant większej własności ziemskiej. Współpracował m.in. z ludowcami i wiceprezesem Wydziału Okręgowego Towarzystwa Rolniczego. W 1911 r. odziedziczył po babce drugą część dóbr morawskich wraz z zamkiem we Vranovie, który stał się obok Nawojowej główną siedzibą rodziny. Stadnicki, jako aktywny ziemianin, był m.in. wiceprezesem komisji krajowej galicyjskiej dla zalesień ochronnych (1911), prezesem Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego i wiceprezesem Powiatowego Zarządu Kółek Rolniczych w Nowym Sączu. W 1912 r. został wybrany do zarządu Organizacji Obrony Kresów Zachodnich, Podhala, Spisza i Orawy. W tym samym roku wstąpił do Polskiego Komitetu

<sup>1</sup> I. Lipiński, *Stadnicki Adam Zbigniew Leon (1882–1982) ziemianin, leśnik, działacz polityczny*, „Polski Słownik Biograficzny”, t. 41, s. 363–368.

<sup>2</sup> A. Schwarz-Czarnowski, *Sądecka prapuszczka i lasy Adama hrabiego Stadnickiego*, „Almanach Muszyny” R. 10, 2000, s. 164–170.

Obywatelskiego popierającego szkolenie wojskowe. W latach 1913–1914 rozpoczął działalność w Krajowym Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk we Lwowie. Wtedy również wszedł do rady nadzorczej galicyjskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń Urzędników Prywatnych.

Stadnicki nie walczył na froncie podczas pierwszej wojny światowej. Najpierw wraz z rodziną przebywał w swoich dobrach na Morawach. W 1916 r. po wpłaceniu ofiary na cele humanitarne Zakonowi Kawalerów Maltańskich został zastępcą komendanta pociągu szpitalnego, tzw. maltańskiego. We wrześniu 1916 r. zakupił od fabrykanta Linnertza duże kompleksy lasów wokół Rytra, gdzie założył nowe rezerwy. Dzięki temu kompleks dóbr leśnych Stadnickiego w Galicji obejmował ok. 9 tys. ha. W 1917 r. otrzymał od cesarza Karola całkowite zwolnienie od służby wojskowej. Odtąd miał się zająć prowadzeniem gospodarstwa oraz kierowaniem Radą Powiatową w Nowym Sączu. Otrzymał także wysokie odznaczenia maltańskie i austriackie.

Pod koniec pierwszej wojny zajął się działalnością na rzecz niepodległości Polski, m.in. ukrywał w swoich dobrach legionistów, którzy odmawiali służby w armii austriackiej. Włączył się także do manifestacji przeciw zawarciu pokoju brzeskiego w 1918 r. W listopadzie tego roku włączył się do Powiatowej Komisji Likwidacyjnej, która w 1919 r. przekształciła się w Powiatową Komisję Rządzącą. Po ogłoszeniu przez rząd lubelski dekretu o wywłaszczeniu wielkich majątków ziemskich i upaństwowieniu lasów, Stadnicki wystąpił z hasłem przeprowadzenia częściowej i dobrowolnej parcelacji, komasacji i melioracji gruntów chłopskich, zakładania bezpłatnych szkół rolniczych, przeciwdziałania odpływowi nadwyżki siły roboczej ze wsi i in. W poczuciu odpowiedzialności za nowo powstające państwo polskie Stadnicki przydzielił ochotnikom wojskowym pewną ilość ziemi i drewna budowlanego. Starał się także o utrzymanie dobrych kontaktów z ludowcami ziemi sądeckiej prowadzonymi przez braci Potoczaków. Doprowadził m.in. do wyboru na posła do sejmiku Narcyza Potoczka (1919). Tenże ludowiec korzystał z porad Stadnickiego w sprawach lokalnych oraz dotyczących wielkiej własności ziemskiej. Jako delegat ziemian z b. Galicji należał do grupy osób, które usiłowały osłabić skutki radykalnej reformy rolnej uchwalonej przez sejm. Był współtwórcą Ogólnego Zjednoczenia Ziemian Małopolski Zachodniej, późniejszego Związku Ziemian, gdzie pełnił obowiązki prezesa (do 1939 r.).

Od 1921 r. był członkiem Związku Polskich Kawalerów Maltańskich; w wyborach w 1922 r. do sejmiku nie zdobył mandatu. W tym roku został wybrany do Kuratorium Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie (kadencja do 1937 r.). W 1923 r. przestał pełnić prezesurę Rady Powiatowej, członkostwo zachował do października 1939 r. W 1925 r. Związek Ziemian skierował Stadnickiego do Kuratorium Fundacji „Zakłady Kórnickie” jako inspektora lasów; od 1927 należał do Komisji Rewizyjnej Fundacji. Od lat dwudziestych był członkiem Stronnictwa Zachowawczego i po połączeniu ze Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym w lutym 1926 r. został wybrany do Rady Naczelnej Oddzia-

łu Krakowskiego. W tym czasie działał także w Związku Zawodowym Rolników oraz występował przeciw reformie rolnej. W 1928 r. wszedł do sekcji drzewnej Związku Przemysłowców w Krakowie i w Warszawie.

W 1928 r. Stadnicki został wybrany do sejmu z prorządowej Katolickiej Unii Ziemi Zachodnich, m.in. dzięki poparciu chłopów. W sejmie należał do klubu posłów Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (komisje: budżetowa, komunikacyjna, zdrowia; referent budżetu ministerstwa rolnictwa, ustaw podatkowych i in.). W kolejnych wyborach do sejmu w 1930 r. nie zdobył wystarczającej ilości głosów z powodu krytyki ludowców ogłoszonej w gazecie „Piast”. Stadnicki miał poważne zastrzeżenia do polityki sanacyjnej (np. sprawa brzeska). Po 1931 r. bezskutecznie usiłował wrócić do działalności politycznej.

Stadnicki zajął się rozwijaniem działalności gospodarczej w leśnictwie i przemyśle drzewiarskim. Wybudował m.in. tartaki parowe w Rytrze i Nawojowej, gdzie uruchomił także fabrykę mebli bukowych przeznaczonych na eksport oraz produkcję mebli okrętowych na wyposażenie statków angielskich. Starł się o podniesienie wiedzy fachowej pracowników leśnych i personelu uzdrowska Szczawnica.

Jako właściciel uzdrowska Szczawnica przeznaczył ok. 1 mln zł na rozbudowę i wyposażenie urządzeń sanatoryjnych. W latach 1933–1936 jako pierwszy w naszym kraju zakupił komory pneumatyczne. Dzięki dobrej gospodarce leśnej uzyskał środki na budowę domów dla straży leśnej, budowę dróg leśnych, fundowanie kościołów katolickich i greckokatolickich w Rytrze, Nawojowej, Szczawnicy i Łabowej, domu ludowego w Piwnicznej. Wybudował także szkoły w Nawojowej, Łabowej i Rytrze. Był działaczem lokalnych organizacji i stowarzyszeń, takich jak: Składnica Kółek Rolniczych w Nowym Sączu (1920–1937), austriacki Związek Uzdrowisk (1919–1939), Polskie Towarzystwo Leśne (1919–1939), Zrzeszenie Właścicieli Lasów, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie we Lwowie, Związek Kółek Rolniczych w Krakowie. Brał także udział w wielu konferencjach podejmujących tematykę leśną. W latach 1928–1939 był członkiem stałej międzynarodowej konferencji do spraw cen i produkcji papierówki. Był długoletnim członkiem Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Jest autorem kilkunastu artykułów z zakresu leśnictwa.

Jesienią 1939 r. Stadnicki zamierzał wznowić działalność Rady Powiatowej w Nowym Sączu jako organu administracji lokalnej. Władze niemieckie wydały jednak zakaz wszelkiej działalności społecznej. W dalszych latach okupacji nie brał czynnego udziału w konspiracji, którą uznał za niepotrzebną. Świadczył jednak wielką pomoc licznym uchodźcom i wysiedlonym do Generalnego Gubernatorstwa. Pomagał także Radzie Głównej Opiekuńczej.

Po wojnie majątki Adama Stadnickiego w Polsce przejęło państwo. Na krótko odzyskał posiadłość we Vranovie, którą jednak niebawem utracił. Zamieszkał w Osoli na Dolnym Śląsku, gdzie zmarł 10 III 1982 r. Pochowany został w krypcie rodzinnej kościoła w Nawojowej. Żoną Adama Stadnickiego była Stefania Maria z Woronieckich, z którą miał ośmioro dzieci.

## Nota wydawnicza

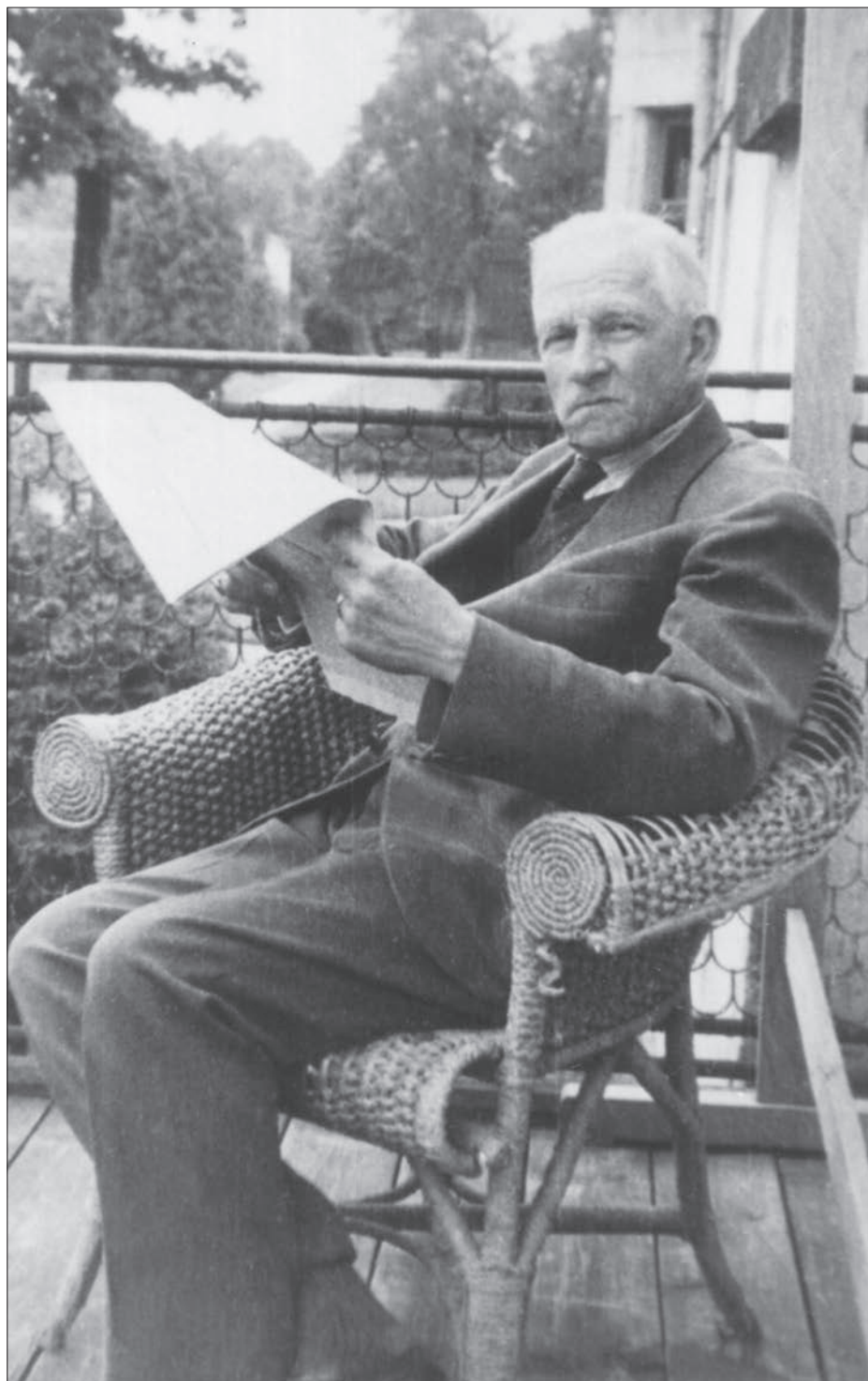
Maszynopis *Wspomnień* liczy 135 stron formatu A4, paraflowanych literami AS na każdej stronie. Całość nie posiada osobnej karty tytułowej; wielokrotnie jest podany tytuł nagłówkowy: *Adam Stadnicki Wspomnienia*. Przeważająca część maszynopisu powstała w Osoli przed 25 VIII 1955 r. Oprócz tego znajdują się dwa uzupełnienia z 1956 i 1965 r. Niektóre strony posiadają podtytuły świadczące, że jest to druga poprawiona redakcja *Wspomnień*. Całość jest napisana na papierze kratkowanym, bez interlinii, z wąskimi marginesami, co bardzo utrudniało robienie poprawek i korektę. Innym utrudnieniem był nadmiar znaków interpunkcyjnych, nawiasów, wykrzykników i pytańników. *Wspomnienia* zostały napisane polszczyzną z przełomu XIX i XX w., używaną w Galicji, w szczególności w Krakowie i w Małopolsce Zachodniej. Osobliwością są wyrażenia gwarowe występujące w Sądecczyźnie; niektóre z nich zostały objaśnione w przypisach. Mimo długich poszukiwań nie udało się opracować wszystkich przypisów osobowych, m.in. we *Wspomnieniach* znalazły się osoby mało znaczące, bez realnego kontekstu. Największym utrudnieniem jest brak archiwum gospodarczego i rozproszenie archiwum rodowego Stadnickich.

Jako historyk starałem się o wzbogacenie dziejów Sądecczyzny nowymi publikacjami, m.in. we współpracy z „Rocznikiem Sądeckim”. Sekretarz redakcji Mieczysław Smoleń często wspominał o konieczności wydania drukiem pamiętników hr. Adama Stadnickiego, które około 1969 r. zostały przekazane do zbiorów Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu. Jako pracownik tej zasłużonej instytucji spotkałem hr. Stadnickiego, który po 1955 r. mieszkał w Osoli, koło Wrocławia i przekazał Ossolineum resztki starych druków pochodzących z bogatego księgozbioru Stadnickich w Nawojowej. Wiosną 1969 r. Roman Aftanazy, załatwiający przekazanie – przedstawił mnie nieznanemu panu, mówiąc: „Poznajcie się Panowie, bo kiedyś byliście sąsiadami”. Była to aluzja do Piwnicznej – miejsca mego urodzenia, sąsiadującego z lasami w Łomnicy i Rytrze, należącymi do hr. Adama Stadnickiego do 1945 r.

Specjalne podziękowanie niech przyjmą Recenzenci publikacji: Profesor dr hab. Marcei Kosman (Uniwersytet Poznański) i Profesor dr hab. Jan Rzońca (Uniwersytet Opolski), którzy ocenili wartość *Wspomnień*. Słowa podziękowania zechce przyjąć Pan Robert Ślusarek, dyrektor Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu za gotowość opublikowania *Wspomnień* i pomoc podczas druku. Podziękowanie za zgodę na edycję *Wspomnień* hr. Adama Stadnickiego składam Panu Dr. Adolfowi Juzwence, dyrektorowi Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu.

prof. dr hab. Józef Długosz





Adam hrabia Stadnicki

Kreślę te słowa – by przekazać pamięci wnuków i prawnuków – to co przeżyłem i pamiętam – i wspomnienie osób i czasów, które moja generacja uważała za coś niezmiennego – nie przewidując, by mogły ulec tak radykalnym przemianom, jakich dożyliśmy.

Zaznaczam, że piszę tylko prawdę – i tylko te zdarzenia opisuję, które pamiętam – a wskutek tego nie jest to obraz zupełny czasów opisywanych, gdyż wiele szczegółów wyszło mi z pamięci, a o wielu nawet nie wiedziałem – chociaż były mi współczesne. Plotek i opowiadań niesprawdzonych – nie powtarzam.

Urodziłem się 10 IV 1882 r. we Lwowie, w domu moich dziadostwa macierzyńskich, Adamów Sapiehow<sup>3</sup>, przy ul. Kopernika 38/40. Dzieciństwo i młodość przeżyłem przeważnie u wspomnianych dziadostwa we Lwowie i w Krasieczynie<sup>4</sup>.

Ojciec mój Edward Adam Stadnicki (ur. 2 IX 1856) był człowiekiem rzadkich zalet, ceniony i uznawany przez wszystkich, pełen inicjatywy niesłychanie wszechstronnej (jak świadczą pozostałe po nim zapiski i korespondencja). Zmarł 22 IV 1885 r., mając zaledwie 29 lata, na gruźlicę.

Mimo tak młodego wieku był doktorem praw Uniwersytetu Jagiellońskiego i porucznikiem rezerwy ułanów. Nie będąc z wykształcenia leśnikiem, sam opracowywał plany gospodarczo-leśne dla lasów nawojowskich, podnosił gospodarstwo rolne we własnych majątkach i w powiecie – przez działalność w kółkach rolniczych, w których już wówczas intensywnie pracował. Znosił w swych dobrach karczmy żydowskie – istniejące wówczas wszędzie na podstawie prawa o „propinacjach”<sup>5</sup>. W liście do przyjaciela, a późniejszego metropolity mohylowskiego Szembeka<sup>6</sup>, na zapytanie, co robi – pisał: „Z dwudziestu pięciu karczem – wyrzucam dwudziestu pięciu Żydów”.

Śmierć jego – tak wczesna, była katastrofą nie tylko dla mnie, lecz także dla społeczeństwa polskiego (zob. wspomnienie pośmiertne Włodzimierza Kozłowskiego)<sup>7</sup>. Mnie brakło kierownictwa i dorady męskiej w pierwszych latach mego życia i studiów, gdyż ani matka<sup>8</sup>, tak wcześnie owdowiała – nie mająca doświadczenia życiowego, ani ekonomicznego, ani dziadkowie, obaj już starzy i zajęci swoimi sprawami, ani wujowie względnie stryj Stanisław Stadnicki<sup>9</sup> – przeciążeni własnymi sprawami i polityką – nie mogli oczywiście zastąpić ojca, tego naturalnego jedynego przyjaciela i kierownika. Ojca właściwie nie znałem, a jedynym wspomnieniem, które jak przez sen pamiętam jest to, że gdy go

<sup>3</sup> Adam Sapieha (1828–1903), ziemianin galicyjski i polityk.

<sup>4</sup> Krasieczyn nad Sanem, w. pow. przemyskim.

<sup>5</sup> Propinacja – miejsce i prawo wyszynku napojów spirytusowych.

<sup>6</sup> Jerzy Szembek (1851–1905), biskup rzymskokatolicki, arcybiskup mohylowski od 1903.

<sup>7</sup> Włodzimierz Kozłowski (1858–1917), konserwatywny polityk galicyjski. Jego wspomnienie przedrukował „Czas”.

<sup>8</sup> Helena z Sapiehow Stadnicka (1857–1947), matka Adama.

<sup>9</sup> Stanisław Stadnicki (1848–1915), w 1878 r. ożenił się z Otyldą Borkowską.

w ostatniej jego chorobie przewożono z łóżkiem na kółkach z pokoju do pokoju – mogłem na łóżku z nim razem jechać. O możliwości zarażenia dziecka gruźlicą jakoś wówczas nie myślano, może i słusznie, gdyż nigdy śladu tej choroby u mnie nie skonstatowano. Pamiętam też drugi epizod z czasu śmierci ojca. Mianowicie tę chwilę, jak matka moja wypuszczała mnie przez drzwi od tarasu na dwór z boną Lambergową, mówiąc: „Idź się bawić do ogrodu – bo tatuś poszedł do Bozi!” – wypuściła mnie na słońce, ten symbol życia, a był piękny słoneczny dzień – a sama zamykając cichutko drzwi – została w domu żaloby – i zapewne łzami się zalala – co przede mną ukryła. Pogrzebu, ani innych dawnych wypadków, ani chwil niestety nie pamiętam.

Pamiętam dobrze dwie moje prababki: Jadwigę z Zamoyskich Leonową Sapieżynę<sup>10</sup>, córkę Stanisława ordynata i Zofii z Czartoryskich oraz Izę z Lubomirskich Władysławową Sanguszkową<sup>11</sup> z Gumnisk, córkę ks. Henryka i Teresy z Czartoryskich, obie zmarły w latach 1889 i 1890.

Postać Jadwigi Leonowej Sapieżyny, tej matrony staropolskiej, która w dojrzałym już wieku dwa powstania i upadek Polski przeżyła, i stratę pięciu córek opłakiwała – noszącej zawsze żalobę – nie tylko po córkach, lecz przede wszystkim po stracie Ojczyzny – wywierała główne piętno na życiu, towarzyszywie i obyczajach krasiczyńskich. Była ona szczupła, wzrostu wysokiego, surowych obyczajów. Tak ona, jak również matka moja, Helena z Sapiechów, grywały zawsze na fortepianie tylko smutne pieśni narodowe, powstańcze, m.in. marsz do szturm kawalerii polskiej z 1830 r., który jeszcze pamięta Maryś Świeżawska<sup>12</sup> i Heluś Deskurowa<sup>13</sup>. Na stole w salonie stał zawsze koszyk z szarpią, zastępującą watę opatrunkową w czasie powstań, a w zamku mieszkali dawni powstańcy, jako rezydenci: jako kapelan ks. Zgodziński, jako sekretarz mego dziadka Żuchowski<sup>14</sup>, bezzębny staruszek opowiadający nam dzieciom niesłychane bajki o czarownicach, o Łuszczku („przybywaj, przybywaj do brzoza”) znalazł on cudownego dęba, który pod zakłębieniem otwierał się, a w nim były skarby, zbroje i czapka niewidka. Ilustrował te bajki mimiką, która nam sen z powiek spędzała. Przyjeżdżał też niekiedy stary kwestarz ks. Pieślak, reformator – typ zupełnie jak z powieści osiemnastowiecznych lub z *Pana Tadeusza*. Podawano wówczas jako zakąskę surowe bielone selery, ks. Pieślak tego nie lubił, ale nie śmiejąc odmówić dziadziowi, który je bardzo lubił – brał i żuł je, po czym wypluwał nieznacznie do szerokiego rękawa habitu, zaś wychodząc z sali jadalnej – wytrząsał je nieznacznie pod firankę koło drzwi; ja jako dziecko, idąc z tyłu, to zauważyłem. Był też wówczas zwyczaj podawania płukanek z letnią wodą, zaperfumowanych jakimiś kroplami do zębów. Zdarzało się, że któryś z zaproszonych do stołu księży greckokatolickich – nie orientując się co do celu tych płukanek, wypijał po obiedzie zawartość płukanek, przeznaczonej do wypłukania ust i obmy-

<sup>10</sup> Jadwiga z Zamoyskich (1806–1890), ż. Leona Sapiehy.

<sup>11</sup> Izabela z Lubomirskich Sanguszkowa (1808–1890), ż. Władysława.

<sup>12</sup> Maria ze Stadnickich Świeżawska (1912–2003).

<sup>13</sup> Helena ze Świeżawskich Deskurowa, ur. 1934 r.

<sup>14</sup> Pan Żuchowski, powstaniec 1863 r., rezydent.

cia palców, sądząc, że to jakiś likier. Można sobie wyobrazić miny wszystkich, a także służby, obserwujących to z udaną powagą.

Dla charakterystyki mojej prababki Jadwigi z Zamoyskich Leonowej Sapieżyny podaję tu wyjątek z książki Juliana Horoszkiewicza, który był sekretarzem księcia Leona Sapiehy, pierwszego marszałka sejmu galicyjskiego<sup>15</sup>. Dla dzieci i wnuków była księżna twarda i bardzo wymagająca.

Zwykle na Wielkanoc, na „święcone”, zbierała się rodzina i przychodzili liczni księża oraz oficjaliści z życzeniami dla dziadostwa. Oczywiście byli i księża greckokatoliccy, a przede wszystkim ks. dr Małyniak<sup>16</sup>, proboszcz ze Śliwnicy (tuż koło Krasiczyna), gdzie miał skromną parafię – i to tylko dzięki protekcji dziadzi, gdyż jako wykształcony w Rzymie, bezzenny, umiarkowany, sprzyjający Polakom, był przez kler i hierarchię greckokatolicką nielubiany.

Służba w Krasiczynie była liczna: kredencarz Stecki, usługujący zawsze na fraku, dalej Ignacy Sus, Piotr Fenik (służący buni), Piotr Rożek od lamp i oświetlenia, Michał Ruczan, Czarnatowicz – no i wielki pan, strzelec dziadzi Michał Piorożek. Nad nimi wszystkimi Wojciech Wardęga, klucznik, niejako marszałek dworu, przychodził do sali jadalnej tylko na wielkie przyjęcia i występował wtedy w kontuszu. Był to typ jak Gerwazy w *Panu Tadeuszu*, nosił długie zawiesziste wąsy, w przeciwieństwie do całej służby, która musiała wąsy golić. Zapewne był powstańcem, czego jednak nie pamiętam. Żona jego była klucznicą, czyli szarfarką.

Zamek krasiczyński po pożarze w 1852 r. był odbudowany tylko częściowo. Zamieszkałe było tylko skrzydło wschodnie od parku i część północnego, gdzie na dole mieściły się kuchnie, a na I piętrze salony i jadalnie, wszystko ozdobione mnóstwem portretów od Stefana Batorego<sup>17</sup> i Lwa Sapiehy<sup>18</sup> zaczynając, a kończąc na przepięknych portretach księstwa Leonów pędzla Horowitza<sup>19</sup>. Na II p. pokoje gościnne. W salonie był olbrzymi komin z czerwonego marmuru z orłami polskimi po bokach. Obok w pokoju „bilardowym” cała seria ślicznych akwarel Juliusza Kossaka<sup>20</sup>, przedstawiających sceny myśliwskie z polowań dziadzi Adama w Karpatach, w których Kossak uczestniczył.

Od strony dziedzińca długi korytarz łączył salony z apartamentami dziadostwa oraz z terasą na I piętrze, dającą [widok] na park. W baszcie tak zwanej „szlacheckiej” był gabinet dziadzi i zbrojownia pełna pamiątek spod Wiednia po hetmanie Jabłonowskim<sup>21</sup>, była to ogromna hala sklepiona, oparta na jednym słupie w pośrodku. Baszty podobne były na wszystkich czterech rogach zamku: „królewska”, papieska” i „Boska”. Oto jest kaplica o ślicznych boazeriach, w której podziemiach były grobowce rodzinne, m.in. piękny nagrobek z białego

15 J. Horoszkiewicz, *Notatki z życia*, oprac. H. Wereszycki, Kraków 1957, s. 258.

16 Ks. dr Mikołaj Małyniak, proboszcz w Śliwnicy k. Krasiczyna, więziony przez Austriaków w Thalerhofie (1915).

17 Stefan Batory, król polski (1576–1586).

18 Lew Sapieha (1557–1633), hetman wielki litewski.

19 Leopold Horowitz (1837–1917), malarz portrecista.

20 Juliusz Kossak (1824–1899), malarz batalista.

21 Stanisław Jan Jabłonowski (1634–1702), hetman wielki koronny.

marmuru Teresy<sup>22</sup>, ostatniej z pięciu córek księstwa Leonów, zmarłej młodo jak wszystkie jej siostry. Nad kaplicą była kopuła przypominająca kopułę św. Piotra w Rzymie. Basztę „królewską” na północno-wschodnim rogu zamku zaczął Leon Sapieha<sup>23</sup>, wnuk ks. Adama, a mój brat cioteczny, restaurować, zamierzając umieścić tam zbiór swych trofeów myśliwskich pochodzących z dwóch wypraw myśliwskich do Afryki, opisanych przez niego w dwóch ciekawych książkach. Niestety wybuch wojny w 1939 r. przerwał te roboty na wielką skalę przez Leona i Szyszko-Bohusza<sup>24</sup> zamierzone. Zamek został przez Rosjan zniszczony, kaplica i grobowce zbezczeszczone, a Leon Sapieha zginął jako członek Armii Krajowej pod Rzeszowem w 1944 r.

W kościele parafialnym nad wielkim ołtarzem był cudnej roboty Chrystus na krzyżu, rzeźbiony w drzewie, który żołnierze radzieccy porąbali w kawałki. Dali on dowód bezgranicznego barbarzyństwa, z którego ufam, że się już do tychczas wyleczyli.

W parku krasiczyńskim były drzewa sadzone w latach urodzin dzieci dziadostwa Adamów, dęby dla chłopców, a lipy dla córek, przy każdym był kamień z datą i nazwą dziecka. Czy się uchowały?

Był też duży staw z łabędziami, latem pływało się tam łódkami i łowiło karpie, zimą mieliśmy pyszną ślizgawkę. Za stawem był duży ogród warzywny, dostarczający codziennie świeżych jarzyn, które ogrodnik, pan Gold, na pięknej tacy buńci przynosił. W pobliżu zamku były stajnie i wozownie, pięknie urządzone. Tam na maneżu uczyliśmy się konnej jazdy pod kierownictwem koniuzszego Freyera, Anglika, przy czym oberwaliśmy nieraz końcem długiego bata, gdyśmy źle siadali. A czasem, gdy kuc wierzgnął, znaleźliśmy na piasku szybciej, niż można było się zorientować, co się dzieje. Później, gdyśmy się już poduczuli, jeździliśmy na spacerach konne na „Banknocię”, „Gwiazdce”, „Lotce”, „Samiołu”, „Gamie” i innych koniach. Raz na takim spacerze koń „Dolar” zwałił się do rowu z wujciem Adamem<sup>25</sup>, późniejszym kardynałem, przy tym byłem.

Matka moja, Helena z Sapiehów, córka Adama i Jadwigi z Sanguszków, owdowiawszy w dwudziestym ósmym roku życia, nie dopuściła nawet myśli ponownego zamążpójścia – poświęciła całe swoje życie trosce o moje wychowanie, pielęgnowaniu wszystkich najbliższych, a przede wszystkim rodziców swoich, oraz uczynkom dobroczynnym. Sprowadziła do Nawojowej dominikanki (1889), założyła dla nich klasztor w miejscu karczmy za kościołem, postarała się o to, by prowadziły szkołę ludową, a odbierając sobie po prostu od ust, wszystko co miała, rozdawała ubogim w wielkiej tajemnicy nawet przed najbliższymi. Prowadziła zawsze żywot ascetyczny, zajmując się dziećmi i wnukami oraz dojeżdżając, gdzie tylko mogła być pomocną (m.in. do Bilcza<sup>26</sup> w czasie choroby

<sup>22</sup> Teresa Sapieżanka, zm. mając 20 lat.

<sup>23</sup> Leon Aleksander Sapieha (1883–1944), ziemianin, podróżnik, autor *Wulkany Kiwu. Wspomnienia z podróży*, Lwów 1934.

<sup>24</sup> Adolf Szyszko-Bohusz (1883–1948), prof. Politechniki Lwowskiej.

<sup>25</sup> Adam Stefan Sapieha (1867–1951), arcybiskup, metropolita krakowski, kardynał.

<sup>26</sup> Bilcze, w pow. Dubno (Wołyń).

i śmierci wuja Leona Sapiehy, Niechanowa<sup>27</sup>, Siedlisk<sup>28</sup> i Gumnisk<sup>29</sup>). Była aniołem opiekuńczym wszystkich i wszędzie, słicznie grała na fortepianie umilając mnie i wnukom wieczory w Nawojowej. Zmarła w 1947 r. w dziewięćdziesiątym roku życia w Krakowie. Pochowana w Nawojowej w grobowcu pod kościołem.

Z matką spędzaliśmy zawsze część roku, przeważnie latem, w Nawojowej z dziadostwem moim Edwardami Stadnickimi. Babka moja, Ludgarda z Mniszchów, córka Stanisława<sup>30</sup> (+1846) i Heleny z Lubomirskich (+1876), córki ks. Józefa<sup>31</sup> i Ludwika z Sosnowskich – wniosła do naszej rodziny, jako jedyna żyjąca córka, majątki Frain<sup>32</sup> (Vranov) i Kryrowice<sup>33</sup>. Dziadostwo zarezerwowali sobie pierwsze piętro pałacu [w Nawojowej], gdzie później całe nasze życie się koncentrowało, a matka moja ze mną zajmowała mieszkanie na II piętrze starego pałacu. Na pierwszym zaś piętrze tego traktu znajdowały się salony i biblioteka, rozgrabiona potem niestety częściowo w 1945 r.

Babka moja Ludgarda była trochę dziwna, zanudzała mego dziadka, który jej we wszystkim ustępował, oraz służbę. Była małego wzrostu i, o ile ją pamiętałem, zawsze przygarbiona. Chodziła zawsze w szlafroku i berlaczach<sup>34</sup>. Do stołu nie siadała nigdy ani we Frainie, ani w Nawojowej, przychodziła tylko zwykle do sali jadalnej pod rękę ze starym służącym Kucharskim<sup>35</sup>, a po przywitaniu: „Dzień dobry” – opowiadała, ile pcheł złapała itp., a potrawy z obiadu kazała odnosić do siebie i tam odgrzewane, często dopiero na drugi dzień, coś zjadła. Pamięć miała wyborną, opowiadała rozmaite historie i anegdoty z dawnych czasów, niestety ich nie spałem, gdyż jako dzieciak wolałem się bawić i nie przysłuchiwałem się temu. Umiała na pamięć całego *Pana Tadeusza* i wiele innych utworów.

Dziadostwo jeździli prawie codziennie na spacery olbrzymim starym koczem<sup>36</sup>, zaprzęgniętym starymi karosjerami<sup>37</sup> z ich furmanem Michałem Burczykiem. Syn tego stangreta był jakiś czas kuchcią w Nawojowej, potem został kucharzem w Krzeszowicach<sup>38</sup>, a po opuszczeniu służby założył sklep z delikatesami w Sukiennicach w Krakowie, pomogli mu do tego Potoccy, taki był dawniej „awans społeczny”. Te spacery odbywały się po parku, do Trzycierza<sup>39</sup>, gościńcem w stronę Krynicy. Czasem dziadzio brał mnie na takie spacery, tak w Nawojowej, jak i we Frainie. Wtedy poznałem Trzycierz i lasy fraińskie, które dziadziu bardzo lubił, i od tego zaczęło się już moje poznawanie lasów i ich zamięłowanie.

27 Niechanowo, w. pow. Gniezno.

28 Siedliska, w. w. pow. Tarnów.

29 Gumniska, w. pow. Dębica.

30 Stanisław Mniszech (1774–1846), ż. Helena z Lubomirskich (1784–1876).

31 Józef Lubomirski (1751–1817), ż. Ludwika z Sosnowskich.

32 Frain (Vranov), m. nad rz. Dyją (Morawy).

33 Kryrowice, w. pow. Mościska.

34 Berlacje, trzewiki z przyszwami wołkocowymi.

35 Kucharski, służący w Nawojowej.

36 Kocz – wóz podróżny.

37 Karosjery – konie kareciane.

38 Krzeszowice, m. k. Krakowa.

39 Trzycierz – las między Nawojową i Porębą Małą.

Kiedyś, za czasów dawniejszych, może przed moim urodzeniem, na takiej przejażdżce spotkał dziadzio w Nowej Wsi<sup>40</sup> zziębniętego chłopca Łemka, pasącego przy drodze gęsi, wziął tego chłopca do powozu, ogrzał go, a że mu się chłopak wydał sprytny i sympatyczny, zajął się nim i dał go kształcić. Chłopak ten, skończywszy studia we Lwowie, został adwokatem, a później nawet członkiem Wydziału Krajowego Galicyjskiego. Był to właściwie autonomiczny rząd Galicji, pod kierownictwem marszałka krajowego. Gdy byłem na praktyce administracyjno-leśnej w 1904/1905 r. w Kuźnicach<sup>41</sup> u wuja Władysława Zamoyskiego<sup>42</sup>, przyjechał tam w odwiedziny [...] członek Wydziału Krajowego dr Sawczak<sup>43</sup>, był to właśnie ten sam przez dziadka mego przygarnięty chłopiec. Sam Sawczak mi tę historię wówczas opowiedział, i dodał: „Wszystko, czym jestem zawdzięczam pańskiemu dziadkowi”. Jest to drugi przykład „awansu społecznego”.

Z tejże Nowej Wsi, na obszarze której część naszych lasów leżała, wywodziły się także inne znamienitsze rodziny łemkowskie, jak Sembratowiczów<sup>44</sup>, z których jeden był arcybiskupem-metropolitą obrządku greckokatolickiego lwowskim i kardynałem, a ksiądz Maściuch<sup>45</sup> ostatnim biskupem łemkowskim z siedzibą w Sanoku, który zmarł w 1938 r. Był pochowany w swej wsi rodzinnej w Nowej Wsi przy udziale ks. biskupa przemyskiego Kocyłowskiego<sup>46</sup> i naszych władz. Byłem na tym pogrzebie. Z tych okolic pochodził też ks. dr Małyniak, bardzo ceniony przez dziadkę Adama Sapiechę. Zamknięty przez Austriaków w Thalerhofie, gdzie zginął. Był to *gente Ruthenus natione Polonus*.

Niedawno wpadła mi w ręce książka Jerzego Jarosza<sup>47</sup>. Jest tam kilka zdań i ustępów z czasów jego służby w Nawojowej u mego dziada Edwarda. [...] Uwaga moja: zdaje się, że Jarosz nadto sam się rządził? A mój ojciec, jego chlebobdawca, zmarł 22 IV 1885 r. Po Jaroszu objął Maniecki jego posesję.

Rusini<sup>48</sup>, w okolicy Sądecczyzny i Gorlic mieszkający, zwani Łemkami od słowa *łem* – tylko, którego używali, byli dosyć kulturalni i żyli w zupełnej zgodzie z ludnością polską. Nierzadkie były małżeństwa mieszane, a pewien ferment wytwarzała właśnie na tym tle konkurencja między księżmi obu obrządków, zarzucających sobie wzajemnie „kradzież dusz”. Jaki był stosunek tych Łemków do nas świadczy fakt, opowiadany mi przez mego dziadzia Edwarda oraz przez starego gospodarza z Nowej Wsi Markowicza: gdy podczas tzw. „rabacji” masy chłopskie z okolic Tarnowa i północnych stron Sądecczyzny zbałamucone przez niecnym agitatorów, po części urzędników austriackich, zbliżyły się do Nawojowej, chłopci z Nowej Wsi i innych wsi łemkowskich zebrali się uzbrojeni w kosy i widły, by iść bronić dworu zawojskiego przed tymi bandami. Na szczę-

<sup>40</sup> Nowa Wieś k. Łabowej.

<sup>41</sup> Kuźnice k. Zakopanego.

<sup>42</sup> Władysław Zamoyski (1853–1924), ziemianin, społecznik.

<sup>43</sup> Damian Sawczuk, dr praw, radca Wydziału Krajowego we Lwowie.

<sup>44</sup> Józef Sembratowicz (1821–1900); Sylwester Sembratowicz (1836–1898), arcybiskup, metropolita lwowski.

<sup>45</sup> Ks. Bazyli Maściuch (1873–1936), duchowny greckokatolicki, administrator apostolski Łemkowszczyzny.

<sup>46</sup> Jozafat Kocyłowski (1876–1947), bazylianin, bp greckokatolicki przemyski.

<sup>47</sup> J. Jarosz, *Sensacyjny pamiętnik starego łowczego i leśnika*, Kraków 1912.

<sup>48</sup> Rusini, dawna nazwa Łemków, używana w Austro-Węgrzech.

ście jednak starosta sądecki<sup>49</sup>, porządny człowiek, zatrzymał te bandy i do napadu nie doszło.

Jako przykład dobrych stosunków polsko-ruskich może też służyć Bilcze, wujostwa Leonów Sapiechów<sup>50</sup>, gdzie za moich lat dziecinnych chodziło się zawsze na nabożeństwo niedzielne do cerkwi, gdyż kościoła na miejscu nie było. Do pałacu przychodził często chór włościański ruski śpiewać, a między innymi pięknymi pieśniami ruskimi śpiewali piosnkę o Waławie Rzewuskim<sup>51</sup>, więc Polaku, której treść i melodię zapamiętałem – brzmiała ona mniej więcej tak:

*Hej nasz Batko kniaź Rewucha krasny koni maje  
A jak wsiady na odnoho jak witer hulaje (bis)  
Hraj more Czorne, more Biłe more – hej hałagigi, hałagigi  
Hałagigi, hej!  
Hej poihał kniaź Rewucha na more hulaty  
Perewisyw czerez płaczi sahajdak bogaty (bis)  
Hraj more*

Obrządek greckokatolicki przejmował mnie zawsze bardzo, a zwłaszcza śpiewy żałobne przy pogrzebach były przewspaniałe, tak na pogrzebie wyżej wspomnianego ks. biskupa Maściucha w Nowej Wsi, jak później w katedrze wawelskiej podczas pogrzebu Piłsudskiego<sup>52</sup>.

Gdy kandydowałem do sejmu w 1928 r., jedynym żądaniem, jakie mi chłopcy (Łemkowie) stawiali: „aby tak było w Polsce, jak dawniej za Austrii”, to jest równouprawnienie językowe, szkoły ruskie we wsiach ruskich, napisy dwujęzyczne itp. Błędem wielkim naszych rządów „pomajowych” było nieuwzględnienie tych minimalnych żądań, a za to represje, palenie cerkwi itp. na wschodnich naszych rubieżach.

Wielkim przyjacielem dziadzi Adama Sapiehy był Andrzej Szeptycki<sup>53</sup>, późniejszy bazylianin, a później metropolita lwowski, wywieziony przez Sowiety w 1939 r. Z jego braćmi Stanisławem<sup>54</sup>, żonatym z moją siostrą cioteczną Marynią Sapieżanką, Kazimierzem<sup>55</sup> i Leonem<sup>56</sup>, żonatym z Szembekówną, a zamordowanym wraz z żoną w 1939 r. przez Ukraińców, podburzonych przez Niemców, w Przyłbicach<sup>57</sup>, ich majątku – przyjaźniłem się i polowałem nieraz w Bilczu. Z Leonem byliśmy obaj w białych deliach<sup>58</sup> na Kongresie Eucharystycznym

<sup>49</sup> Karol Bochyński, starosta sądecki w okresie rabacji (1846).

<sup>50</sup> Leon Paweł Sapieha (1856–1893), ż. Teresa z Sanguszków.

<sup>51</sup> Waław Rzewuski „Emir” (1784–1831), ziemianin, podróżnik.

<sup>52</sup> Pogrzeb Marszałka Józefa Piłsudskiego odbył się w Krakowie 18 V 1935 r.

<sup>53</sup> Andrzej Szeptycki (1865–1944), metropolita greckokatolicki lwowski.

<sup>54</sup> Stanisław Szeptycki (1867–1950), gen. austr. i pol., komendant Legionów Polskich.

<sup>55</sup> Kazimierz Szeptycki (1869–1951), zakonnik-bazylianin.

<sup>56</sup> Leon Szeptycki (1877–1939), ż. Jadwiga Szembekówna.

<sup>57</sup> Przyłbice, w. pow. Jaworów.

<sup>58</sup> Delia – rodzaj płaszcza z szerokimi rękawami.



w Wiedniu w 1912 r. Ich matka była z domu Fredro<sup>59</sup>, córka wielkiego poety<sup>60</sup>. Była ona przyjaciółką buni Jadzi Sapieżyny<sup>61</sup> i wymalowała portret buńci, jest na Wyspiańskiego w Poznaniu<sup>62</sup>.

Jako dziecko bywałem często w Gumniskach u Sanguszków. Pamiętam dobrze moją prababkę Izabelę z Lubomirskich Władysławową Sanguszkową, córkę ks. Henryka i Teresy z Czartoryskich, jeździła po pokojach na dwukołowym wózek. Przy niej byłem raz fotografowany z Adamem Żółtowskim<sup>63</sup> i Kazimierzem Sapiehą<sup>64</sup>, trzema prawnukami. Pamiętam też dobrze jej córkę<sup>65</sup>, a siostrę mojej babki, księżniczkę Helenę, była już wtedy starszą ciotką i miała dwa nieznośne pieski, rozkładające się po kanapach, których nie cierpieliśmy. Pamiętam też w Gumniskach urodziny Pawła Floriana Sap[iehy], mego kuzyna [...]. Tam przeszedłem wtedy dość ciężką odrę. Poznałem wtedy Ewę i Femcię Rzyszczewskie<sup>66</sup>, które tam bawiły z ciotką Karłą Sanguszką<sup>67</sup>, żoną wuja Romana ze Sławuty, brata buni Jadzi.

W latach mego dzieciństwa, gdy proboszczem w Nawojowej był ksiądz Jakub Żabecki<sup>68</sup>, a nabożeństwa odbywały się jeszcze w starym drewnianym kościele, przy którym była murowana dobudówka, mieszcząca na dole zakrystię, a na piętrze łożę, zarezerwowaną dla kolatorstwa. Pamiętam, że kobiety zamężne nosiły czepce białe sztywne, chustki w kwiaty na plecach, a nie na głowie, oraz bufiaste ozdobne spódnice. Ostatni raz, co widziałem te czepce, zresztą bardzo ładne, to na ślubie Marysi Siedlarzanki, córki starego Siedlarza<sup>69</sup>, wójta z Frycowej, który jako weteran z wojny w 1866 r.<sup>70</sup> nosił zawsze brązowy medal pamiątkowy, którym się bardzo szczyił, i mawiał o sobie „ja stary kanonier”. Wtedy na tym ślubie odbyły się jeszcze „czepiny” panny młodej, według starego obyczaju, przy czym ona bardzo płakała nad utratą swego panieństwa, należało to do obrzędów. Było to gdzieś około 1906 r.

Stary kościół drewniany, otoczony podcieniami a połączony z plebanią, stojącą za potokiem w miejscu obecnego ogrodu warzywnego plebańskiego z krytym mostem drewnianym, został rozebrany około 1896 r., w jego miejsce stanął dzisiejszy murowany kościół w stylu gotyckim. Konsekracji dokonał ksiądz biskup tarnowski Ignacy Łobos<sup>71</sup> w roku 1898. Pamiętam uroczysty obiad w zamku w Nawojowej z okazji pobytu ks. biskupa, na którym przemawiał biskup i mój dziadek Edward Stadnicki. Wtedy ks. Żabecki został kanonikiem. Obecni byli na tej uroczystości wszyscy okoliczni księża, rzymskokatolicy i grekokatolicy

<sup>59</sup> Maria z Fredrów Szembekowa (1862–1937).

<sup>60</sup> Jan Aleksander Fredro (1829–1891), komediopisarz.

<sup>61</sup> „Bunia, buńcia” – Jadwiga Klementyna z Sanguszków (1830–1918), ż. Adama Sapiehy.

<sup>62</sup> Tzn. u spadkobierców, zam. w Poznaniu.

<sup>63</sup> Adam Żółtowski (1881–1958), ziemianin.

<sup>64</sup> Kazimierz Leon Sapieha (1882–1906), s. Władysława Leona.

<sup>65</sup> Helena Maria z Sapiehów Stadnicka (1857–1947), ż. Edwarda.

<sup>66</sup> Ewa Rzyszczewska (1876–1966); Eufemia Rzyszczewska (1877–1954).

<sup>67</sup> Karolina de Thun-Hohenstein Sanguszkowa (1848–1926), ż. Romana (1832–1917).

<sup>68</sup> Ks. Jakub Żabecki, prob. w Nawojowej.

<sup>69</sup> Jan Siedlarz, wójt z Frycowej k. Nawojowej.

<sup>70</sup> Wojna austriacko-pruska w 1866 r.

<sup>71</sup> Bp Ignacy Łobos, ordynariusz tarnowski (1885–1900).

cy, czyli unicy, m.in. typowy bardzo stary ksiądz Mochnacki<sup>72</sup> z Łabowej, noszący zawsze długie włosy, spadające na szyję. Był on wielkim przyjacielem ks. Żabeckiego, a częstym gościem u niego i u mego dziadka. Wówczas jeszcze tych różnic i nienawiści między klerem rzymsko- a greckokatolickim oraz między Polakami a Rusinami nie było. [...] Zawsze na wszystkie święta czy uroczystości rodzinne w zamku krasiczyńskim bywali obecni księża obydwu obrządków – i nierzadko na cześć dziadzi Adama Sapiehy śpiewali wspaniałą staroruską pieśń *Mnohaja lita*.

Jeszcze muszę powiedzieć parę słów o kwestii żydowskiej. Nie byłem nigdy „antysemitą”, wielu Żydów uczciwych cenilem i rad z nimi rozmawiałem, tak np. ze starym Jakubem Frayem<sup>73</sup>, karczmarzem z Łabowej, Habą Luksem<sup>74</sup> z Frycowej, handlarzem koni i rolnikiem, z starym Engelhardem<sup>75</sup>, kupcem drzewnym z Nowego Sącza. Ale ci uczciwi Żydzi byli wyjątkiem! Żydzi na ogół stanowili naród, „państwo w państwie”. Ich asymilacja wobec różnicy rasy, języka, religii, moralności talmudystycznej i tradycji, nigdy rzeczywiście i pełną być nie mogła, co przy ogromnej ich rozrodzności było problemem trudnym do rozwiązania. Oni separowali się sami od nas przez swoje haidery<sup>76</sup>, strój i język. Oni sami skupiali się w tzw. „gettach”, mieli swoje szkoły, nigdy między sobą nie mówili po polsku, lecz swoim żargonem „jidisch”, co samo świadczyło, że grawitują raczej do niemieczyny niż do Polski. Toteż każdy Żyd polski, gdy się dorobił, marzył tylko o przesiedleniu się do Wiednia czy Berlina, co im przeważnie nazwiska niemieckie ułatwiały. Znałem niejednego Żyda, dawniej manipulanta drzewnego lub małego handlarza, którego później w Wiedniu spotykałem jako wielkiego przemysłowca czy dyrektora jakiegoś koncernu rozpartego w fotelu klubowym z drogim cygarem, rozmawiającego ze mną jakby z łaski. Dla Żydów, kierujących się inną moralnością, celem było zrobienie dobrego interesu, a oszukanie „goja” chrześcijanina cnotą, o ile go to do celu prowadziło. Żydzi, mając swoje placówki prawie w każdej wsi, trudzili się, poza oficjalnym zajęciem, lichwą, skupowaniem rzeczy kradzionych, a w miastach także stręceniem dziewcząt do nierządu.

Wiele majątków, zwłaszcza mniejszych, od drobnej szlachty niemogącej sobie poradzić, przez ułatwany przez Żydów kredyt, wysoko oprocentowany, przechodziło w ich ręce, które po wyniszczeniu lasów rabunkową gospodarką, parcelowali, a gotówkę wywozili za granicę, zakładając następnie przedsiębiorstwa w Wiedniu czy Berlinie. Konkurencja z Żydami była bardzo trudna wobec ich sprytu i nieprzebierania w środkach, aż do krzywoprzysięstwa włącznie.

Zakładaliśmy przeto wszędzie Spółdzielnie Handlowo-Rolnicze, kółka rolnicze, tzw. Kasy Stefczyka, by wyrwać włościan z zależności żydowskiej i uchronić ich od lichwy i wyzysku.

<sup>72</sup> Ks. Mochnacki, proboszcz greckokatolicki w Łabowej.

<sup>73</sup> Jakub Frey, Żyd, sklepikarz z Łabowej.

<sup>74</sup> Haba Luks, Żyd, sklepikarz z Frycowej.

<sup>75</sup> Aron Engelhard, handlarz drewnem w Galicji.

<sup>76</sup> Chedery – żydowskie szkoły elementarne.

Niektórzy pisarze – historycy, jak np. Stan[isław] Didier<sup>77</sup> twierdzi, że Żydzi od wieków dążyli do zagłady szlachty, by w ten sposób odwrócić od siebie odium za wyzysk, a potem nad nią i Polską panować. Jest w tym wiele prawdy, jeśli się zważy, że zawsze szli na rękę zaborcom i okupantom.

Stosunki z ludem ruskim były przeważnie dobre, a to tak na Podolu, jak na Huculszczyźnie w Karpatach centralnych i u nas na zachodzie, to jest w Nowosądecku i Nowotarszczyźnie. Mieszkali tam tzw. „Łemkowie”. Z tym ludem łączyły mnie stosunki bliskie, jako właściciela lasów i pracodawcę. Byli u mnie gajowymi, a chętni do pracy na każde zawołanie, doskonali wozacy i ścinacze. Nigdy żadnej scysji z nimi nie było.

Opowiadał mi raz stary gospodarz zamożny z Nowej Wsi Markowicz, że podczas tzw. „rabacji”, gdy w 1846 r. pijane bandy szły od Tarnowa na południe, chłopci Rusini z Nowej Wsi i okolicy uzbrojeni w kosy, siekiery i widły, poszli naprzeciw tych „ryzunów”, by bronić przed nimi dworu nawojowskiego. To samo opowiadał mi mój dziad Edward Stadnicki<sup>78</sup>, pamiętający te czasy. Tyle dla pamięci moich wnuków i prawnuków, by mieli pojęcie jak bywało dawniej.

Z polskiego „ruchu ludowego” w naszych okolicach, w Sądecku, muszę wspomnieć o niektórych chłopach, których znałem.

Ich przodownikami w Sądecku byli Potoczki: Stanisław Potoczek<sup>79</sup> z Rdziostowa, prezes Związku Chłopskiego, długoletni poseł na Sejm Krajowy – około 1908 r. prezes Rady Powiatowej, którym został po „secesji” dotychczasowej większości konserwatywnej Władysława Głębockiego<sup>80</sup> ze Zbyszyc. Do tej secesji ja się nie dołączyłem, uważając że mimo większości chłopskiej trzeba pozostać, by z chłopami razem pracować dla dobra powiatu i Polski. Wtedy Prezes Stanisław Potoczek dziękując mi, że pozostałem, powiedział: „Nasz chłopski hrabia!” Po rozwiązaniu tej Rady Powiatowej, wskutek zabiegów konserwatystów, komisarzem tymczasowym został Bolesław Wittig<sup>81</sup> z Chełmca, były radca sądowy, a przy następnych wyborach w 1917 r. głosami głównie chłopskimi zostałem wybrany prezesem, którym byłem aż do zniesienia osobnego Prezydium Rad Powiatowych i włączenia ich do starostw w 1923 r. Brat Stanisława Potoczka, Jan<sup>82</sup>, członek Stronnictwa Katolicko-Ludowego z Świniarska, był przez wiele lat posłem do parlamentu w Wiedniu, Ostatnim z tego rodu był syn Stanisława Narcyz Potoczek<sup>83</sup>, poseł do sejmu Rzplitej w Warszawie, „Piastowiec”, po mnie prezes Składnicy Kółek Rolniczych w Sączu i prezes Towarzystwa Rolniczego, mój współpracownik za okupacji niemieckiej i ofiara [niemieckich] mordów.

77 S. Didier, *Rola neofitów w dziejach Polski*, Warszawa 1934.

78 Edward Stadnicki (1817–1902), ziemianin galicyjski.

79 Stanisław Potoczek (1849–1919), rolnik, współorganizator pierwszej organizacji chłopskiej – Związku Stronnictwa Chłopskiego.

80 Władysław Głębocki, marszałek pow. nowosądeckiego.

81 Bolesław Wittig, właściciel ziemski z Chełmca k. Nowego Sącza.

82 Jan Potoczek (1857–1941), rolnik, działacz chłopski.

83 Narcyz Potoczek (1875–1943), rolnik, działacz chłopski.

W Bilczu, gdzie nie było za dawnych czasów kościoła rzymskokatolickiego, chodziło się zawsze na mszę do cerkwi unickiej [...], wielkie wrażenia na mnie robiły zawsze przepiękne a oryginalne śpiewy i ceremonie tego obrządku. I tak na pogrzebie ks. Mochrackiego w Łabowej, długoletniego tamtejszego parocha, a przyjaciela ks. Żabackiego, proboszcza nawojowskiego i mojego dziadka Edwarda, a także na pogrzebie ks. biskupa Maściucha w Nowej Wsi, tamtejszego rodaka, gdzie celebrował biskup przemyski Kocyłowski, przy udziale licznych reprezentantów rządu polskiego (było to około roku 1936).

Także kondukt pogrzebowy Piłsudskiego prowadził w obrządku unickim biskup Kocyłowski, a chór alumnów wspaniale śpiewał. Również asystowałem przy tych ceremoniach z okazji pogrzebu dziada mego Adama Sapiehy w Krasiczynie, gdzie metropolita Szeptycki celebrował (1903).

Mam wrażenie, że przy wzajemnych ustępstwach i wzajemnej tolerancji można było znaleźć sposób zgodnego współżycia z tym ludem związanym z nami wiekowym współżyciem, nienawiścią do Rosji. Gdyby się było urządziło sprawiedliwy plebiscyt w 1945 r. przed wywiezieniem mnóstwa Rusinów na cztery strony świata, do ZSRR i na Zachód, to sądzę, że znaczna część Rusinów, zwłaszcza Łemkowie i Huculi, byłiby się oświadczyli za pozostawieniem ich w Polsce. I byłiby wiernymi obywatelami polskimi.

Ciekawe są opowiadania Ludwika Dębickiego w jego książce z 1905 r.<sup>84</sup> Zwłaszcza artykuł o Sanguszkach jest dla naszej rodziny pochodzącej od Władysława Sanguszki (1803–1871) z Gumnisk [interesujący]. Był on ojcem mojej babki Jadwigi Adamowej Sapieżyny, żonaty z Izabelą z Lubomirskich, córką ks. Henryka, brata mojej drugiej prababki Heleny z Lubomirskich Stanisławowej Mniszchowej (1783–1876), zamieszkałej stale we Frainie, tam zmarłej i pochowanej w kaplicy zamkowej. Jej córka Ludgarda z Mniszchów Edwardowa Stadnicka wniosła Frain do rodziny Stadnickich, skąd nas rząd czechosłowacki, po przewrocie bolszewickim w 1948 r. wypędził. Wiele pamiątek stamtąd jest jeszcze w moim domku w Osoli<sup>85</sup>, m.in. książka gościnna prowadzona tam od 1800 r., w której wiele nazwisk odwiedzających nas i zwiedzających zamek jest uwidoczniomych. Polecam te pamiątki pieczy moich dzieci i wnuków.

Dzieciństwo i młodość spędziłem głównie w Krasiczynie, gdzie z kuzynami Kaziem i Leonem Sapiehami pobieraliśmy prywatnie nauki, długoletnim nauczycielem był Bronisław Jaworski<sup>86</sup>, który także dawał nam lekcje gimnastyki. Prócz tego byli dla nauki języka niemieckiego, wówczas obowiązującego w gimnazjum i koniecznego w życiu publicznym, zniemczeni Polacy z zaboru pruskiego, Teodor Dworzyński<sup>87</sup>, a później Piotr Hyla<sup>88</sup>. Obydwaj, gdy przyjechali do Krasiczyna, nie umieli ani słowa po polsku, a później spolszczyli się zupełnie.

<sup>84</sup> L. Dębicki, *Portrety i sylwetki z dziewiętnastego stulecia*, Kraków 1905–1907.

<sup>85</sup> Osola, w. k. Obornik Śląskich.

<sup>86</sup> Bronisław Jaworski, nauczyciel gimnazjalny.

<sup>87</sup> Teodor Dworzyński, nauczyciel domowy Sapiechów, pochodzący ze Śląska.

<sup>88</sup> Piotr Hyla, nauczyciel domowy Sapiechów, pochodzący ze Śląska.

Syn Dworzyńskiego został księdzem na Śląsku, a stary Dworzyński pisywał do mnie listy po polsku. Syn Hyli był jakiś czas u mnie praktykantem w latach międzywojennych, zdaje się, że wtedy w ogóle po niemiecku nie umiał.

W 1896 r. przenieśliśmy się do Lwowa, gdyż uważano, że nauka prywatna nie daje tego, co chodzenie do publicznego gimnazjum. Ja chodziłem do V gimnazjum, gdzie dyrektorem był Pruchnicki, nauczyciel jeszcze moich wujów Sapiehów, a chłopcy Sapiehowie do IV gimnazjum.

Po roku zdecydowali moi opiekunowie oddanie mnie do Chyrowa<sup>89</sup> do gimnazjum oo. jezuitów, gdzie nauki stały wysoko, a sądzono, że życie w internacie pod światłym kierownictwem ojców, wyrwie na nas, to jest na mnie i Sapiehów, dobry wpływ. Nauki stały tam wysoko, ale moim zdaniem wychowanie szwankowało, ja do tego życia nie mogłem się przyzwyczaić, tęskniłem do domu, wsi, konia i wolności. Chłopcy Sapiehowie już po roku zakład chyrowski opuścili, Leon został oddany do marynarki austriackiej, a Kazio kończył gimnazjum w Tarnowie.

Kolegów miałem tam kilku sympatycznych, ale prócz Olesia Russanowskiego<sup>90</sup> i Jasia Rostafińskiego<sup>91</sup> oraz Burzyńskiego<sup>92</sup>, właściwie z nikim się nie przyjaźniłem, a po zdaniu matury w 1901 r., stosunków koleżeńskich właściwie, prócz z tymi dwoma, nie utrzymywałem.

To maturze, za radą wuja Władysława Sapiehy i Eustachego Sanguszki<sup>93</sup>, brata mojej babki, pojechałem na studia do Monachium na leśnictwo, sądzono bowiem, i słusznie, że mając gospodarować w majątku leśnym, należy w tym kierunku się wykształcić, a nie iść drogą dotychczas utartą: studiować prawo, co dawało możliwość służby publicznej. W Monachium najpierw przez semestr zimowy słuchałem ekonomii wykładanej przez prof. Lujo Brentano<sup>94</sup> [...], historii Heigla<sup>95</sup> i innych ogólnokształcących przedmiotów, jak historii filozofii prof. Hertlinga<sup>96</sup>, późniejszego kanclerza Rzeszy. Na semestr letni pojechaliśmy z Adamem Żółtowskim do Heidelbergu, gdzie on studiował filozofię, a ja ekonomię i rolnictwo.

Jesienią 1902 r. powróciliśmy do Monachium, gdzie ja zapisałem się na leśnictwo, które ukończyłem w 1904 r., słuchając wykładów u profesorów: Henryka Mayra<sup>97</sup> [...] i innych. Studia te, zwłaszcza kierownictwo Mayra i wycieczki liczne do lasów, wzmożyły we mnie wrodzone zamiłowanie do lasów i przyrody.

Czas pobytu w Monachium zaliczam do najmilszych. Była nas zgrana grupa Polaków, z którymi już na zawsze miłe stosunki się wywiązały. Byli nimi: kuzyn

<sup>89</sup> Chyrów, m. w powiecie samborskim.

<sup>90</sup> Aleksander Russanowski (1883–1925), inż., ziemianin.

<sup>91</sup> Jan Rostafiński (1882–1966), botanik, prof. SGGW.

<sup>92</sup> Stanisław Burzyński (1883 – po 1940), inż., agronom.

<sup>93</sup> Eustachy Sanguszko (1842–1903), ziemianin, namiestnik Galicji.

<sup>94</sup> Lujo Brentano (1844–1931), prof. ekonomii Uniw. w Monachium.

<sup>95</sup> Prof. Heigl, historyk Uniw. w Monachium.

<sup>96</sup> Georg Hertling (1843–1919), polityk, kanclerz Cesarstwa Niemieckiego i premier Prus.

<sup>97</sup> Henryk Mayr, leśnik.

mój Adam Żółtowski – późniejszy profesor uniwersytetów w Krakowie, Poznaniu i Wilnie, a [w] ostatnich latach życia dyrektor działu polskiego w British Museum, Hieronim Tarnowski<sup>98</sup>, studiujący także leśnictwo, Tadeusz Wołkowicki<sup>99</sup>, Kazimierz Marian Morawski<sup>100</sup>, Jaś Szołdrski<sup>101</sup>, zamordowany przez Niemców w 1939 r., Aleksander Skrzyński<sup>102</sup>, późniejszy polski premier i minister spraw zagranicznych, Leonard Głabisz<sup>103</sup>, a także przez czas krótki Staś Sierakowski<sup>104</sup> oraz Edzio<sup>105</sup> i Heniś<sup>106</sup> Platerowie z Liksny<sup>107</sup>, Kazio Mańkowski z Brodnicy, Cegielski i inni, a to Jerzy Ślaski i Tadeusz Sinki (starszy od nas).

Główną pasją moją i Adama Żółtowskiego były opery, zwłaszcza wagnerowskie i świetne koncerty. Raz przyjechał do Monachium Paderewski<sup>108</sup>, na którego koncert cała nasza grupa poszła, urządzając mu specjalną owację. Mieszkaliśmy przeważnie w pensji „Nordland” przy Schelingstrasse, której właścicielkami były panny Junkers i Lammers, znany z dobrych dowcipów Kaziunio Morawski przezwał tę pensję „Pensio Nordland”, właścicielki „*Hungere und Jammers*”<sup>109</sup>, co było aluzją do dość lichego wikt. Wieczorami schodziliśmy się często w kawiarni Luitpold, zwanej przez nas „Poldzio”, grywaliśmy też z zapałem w „kajennę”, zwaną później brydżem, a także czasem w pokera, oczywiście bardzo tanio.

Babka Ludka, Edwardowa Stadnicka z Mniszchów<sup>110</sup>, [...] prócz innych dziwactw, nie pozwalała się nigdy fotografować ani malować, jedynym wyjątkiem był portret jej na koniu przez Juliusza Kossaka malowany. Portret ten wraz z innymi cennymi pamiątkami i naszym archiwum zginął w czasie pożaru pałacu w Krysowicach, majątku stryja mego Stanisława w 1939 r. Poprzednio już podczas oblężenia Przemyśla w 1914/1915 r. uległy Krysowice częściowemu zniszczeniu, zbeszczeszczono grobowiec rodziny w Charzewicach<sup>111</sup>, wyrzucano zwłoki dziada mego Edwarda z trumny, której potrzebowano dla jakiegoś generała rosyjskiego. Stryj Stanisław zmarł w Wiedniu w 1915 r., a jego syn i wnuk, obaj Stanisławowie, też marnie zginęli, wygnani z majątku, a prawnukowie Edzio i Eryk żyli dotychczas z pracy rąk. Edzio też zginął tragicznie 13 X 1966 r. Stryj był żonaty z Otylią Borkowską, jego syn z Łazarewiczówną, a wnuk Staś z Teresą Mańkowską.

<sup>98</sup> Hieronim Jan Tarnowski (1884–1945), ziemianin.

<sup>99</sup> Tadeusz Wołkowicki, polski student w Monachium.

<sup>100</sup> Kazimierz Marian Morawski (1884–1944), historyk, publicysta.

<sup>101</sup> Jan Szołdrski (1881–1939), ziemianin.

<sup>102</sup> Aleksander Skrzyński (1882–1931), polityk, premier (1925–1926).

<sup>103</sup> Leonard Głabisz, polski student w Monachium.

<sup>104</sup> Stanisław Sierakowski (1881–1939), ż. Helena z Lubomirskich, ziemianin, działacz społeczny i polityczny, zamordowany przez Niemców.

<sup>105</sup> Edward Plater-Zyberk (1880–1938), ziemianin.

<sup>106</sup> Henryk Plater-Zyberk (1879–1948), ziemianin.

<sup>107</sup> Liksna, majątek ziemski Platerów w pow. dyneburskim (Inflanty).

<sup>108</sup> Ignacy Jan Paderewski (1860–1941), pianista, polityk.

<sup>109</sup> Głód i lament.

<sup>110</sup> Ludgarda z Mniszchów Stadnicka (1823–1911), córka Stanisława Mniszcha i Heleny z Lubomirskich, ż. Edwarda Marii Stadnickiego (1817–1902). Ich synem był Edward Adam (1856–1885) właściciel Nawojowej (od 1881) i połowy dóbr morawskich.

<sup>111</sup> Charzewice k. Krysowic (obecnie na Ukrainie).

Nauki początkowo pobierałem od siostry Stanisławy, dominikanki w Nawojowej<sup>112</sup>, oraz od panny Szyszkowskiej, nauczycielki w Krasiczynie. Pierwsze klasy gimnazjalne przechodziliśmy z Kaziem i Leonem Sapiehami w Krasiczynie, zdając egzaminy w Przemyślu. Nauczycielami byli panowie: Mazurkiewicz<sup>113</sup>, Bronisław Jaworski<sup>114</sup>, Giżycki<sup>115</sup>, Sas-Jaworski<sup>116</sup>, a do nauki języka niemieckiego był Dworzyński, potem Hyla, obaj Ślązacy zniemczeni, którzy potem zupełnie się spolszczyli. Do klasy IV poszedłem do gimnazjum V we Lwowie „Bernardyńskiego” przy ul. Wałowej. Dyrektorem był Pruchnicki, a nauczycielem historii Bostel<sup>117</sup>. Do klasy V oddano nas do Gimnazjum oo. Jezuitów w Chyrowie<sup>116</sup>. Nauki stały tam wysoko, ale całe życie na pół zakonne, brak ruchu i wolności nie podobały mi się, tęskniłem do domu, lasów, konia. Po roku Sapiehowie odeszli stamtąd, a ja dotrwałem do matury, którą zdałem w 1901 r. Rektorem był ks. Bapst<sup>119</sup>, później ks. Maćkowski<sup>120</sup>, dyrektorem ks. Stefański<sup>121</sup>, profesorami greki ks. Kapaun<sup>122</sup>, łaciny ks. Mróz<sup>123</sup> i ks. Pykosz<sup>124</sup>, polskiego ks. Koppens<sup>125</sup>, historii ks. Krysa<sup>126</sup>, matematyki ks. Kobyłecki<sup>127</sup> i Gruszczyński<sup>128</sup>, fizyki ks. Gromadzki<sup>129</sup>, niemieckiego i orkiestry ks. Kohlsdorfer<sup>130</sup>. Prefektami byli ks. Barglewski<sup>131</sup>, Stafiej<sup>132</sup> i Rybka<sup>133</sup>. Z kolegów przyjaźniłem się tylko z Russanowskim, bratem późniejszej Zosi Grocholskiej, Rostafińskim, prof. Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, i z Burzyńskim. Później utrzymywałem stosunki tylko z tymi dwoma pierwszymi oraz z klas niższych z Przetockim, Paparą i Władysławem Paczoskim, szefem biura Prezydium Rady Ministrów w dwudziestoleciu.

Często jeździłem z matką [do] Niechanowa<sup>134</sup> do wujostwa Stanisławów Żółtowskich<sup>135</sup>, z których dziećmi, a moimi rówieśnikami, bardzo bliskie i zażyłe zawsze były stosunki: Leonem, Adamem, Pawłem, Tomaszem i Zosią, Dąbrowską Stefanową.

<sup>112</sup> Dom zakonny dominikanek w Nawojowej, ufundowany w 1888 r.

<sup>113</sup> Bazyli Mazurkiewicz, nauczyciel gimnazjalny.

<sup>114</sup> Bronisław Jaworski, nauczyciel gimnazjalny w Przemyślu.

<sup>115</sup> Jan Marek Giżycki, nauczyciel gimnazjalny.

<sup>116</sup> Jan Sas-Jaworski, nauczyciel gimnazjalny.

<sup>117</sup> Ferdynand Bostel (1860–1935), nauczyciel gimnazjalny, historyk.

<sup>118</sup> Zakład Naukowo-Wychowawczy Ojców Jezuitów w Chyrowie 1886–1939.

<sup>119</sup> O. Piotr Bapst, superior w Chyrowie 1896–1900.

<sup>120</sup> O. Michał Maćkowski, superior w Chyrowie 1900–1901.

<sup>121</sup> O. Kazimierz Stefański, dyr. w Chyrowie 1895–1901.

<sup>122</sup> O. Leon Kapaun, nauczyciel greki w Chyrowie, ok. 1895.

<sup>123</sup> O. Andrzej Mróz, nauczyciel łaciny w Chyrowie 1895–1914.

<sup>124</sup> O. Stanisław Pykosz, nauczyciel łaciny w Chyrowie.

<sup>125</sup> O. Romuald Koppens, nauczyciel języka polskiego w Chyrowie.

<sup>126</sup> O. Jakub Krysa, nauczyciel historii w Chyrowie 1893–1922.

<sup>127</sup> O. Stanisław Kobyłecki, nauczyciel matematyki w Chyrowie 1894–1899.

<sup>128</sup> O. Ignacy Gruszczyński, nauczyciel matematyki w Chyrowie 1899–1908.

<sup>129</sup> O. Aleksander Gromadzki, nauczyciel fizyki w Chyrowie 1889–1913.

<sup>130</sup> O. Maksymilian Kohlsdorfer, nauczyciel, wicedyrektor w Chyrowie.

<sup>131</sup> O. Michał Barylewski, nauczyciel i wychowawca w Chyrowie.

<sup>132</sup> O. Wojciech Stafiej, wychowawca w Chyrowie 1891–1921.

<sup>133</sup> O. Antoni Rybka, wychowawca w Chyrowie 1890–1891.

<sup>134</sup> Niechanowo, Głuchowo, Godurowo, majątki Żółtowskich w Wielkopolsce.

<sup>135</sup> Żółtowscy, ziemianie z Wielkopolski.

Często bywałem później w Siedliskach u wujostwa Pawłów Sapiehów<sup>136</sup>. Na ślubie wujostwa w 1893 r. we Lwowie byłem i niosłem tren cioci Tildzi. W tych latach bawiłem się często z bratem cioci Ludwikiem Windischgrätzem<sup>137</sup>, moim rówieśnikiem. Dzieci wujostwa: Elżbisia, Fredzio, który zginął na Wołyniu w 1916 r., Maryńcia, siostra Assumpta, Punio i Tila bywali u nas w Nawojowej. [...]

Między rodzinami Sapiehów i Dzieduszyckich panowały zawsze stosunki bardzo przyjazne, toteż i ja bywałem często na Kurkowej, gdzie bawiłem się z wnukami Włodzimierzostwa Dzieduszyckich<sup>138</sup>. Na urodziny panny Róży urządzono jakieś przedstawienie, w którym grałem rolę jakiegoś rycerza w zbroi, co do dziś pamiętam. Później chodziliśmy razem na gimnastykę do „Sokoła”<sup>139</sup>. Wyobrażałem sobie wówczas, że Paweł ożeni się z moją kuzynką Marynią Sapieżanką, a ja z Klimą. Te projekty dziecinne się nie ziściły. Paweł wstąpił do jezuitów, a Klima została zakonnicą. Połowałem potem nieraz w Zarzeczcu i Poturzycy<sup>140</sup> u Pawła, a potem u kolejnego ordynata Włodka<sup>141</sup>. Ze Stasiem<sup>142</sup>, młodszym ode mnie, łączyły nas zawsze serdeczne stosunki, aż do jego zgonu.

24 VII 1892 r. w sześćsetletnią rocznicę śmierci błogosławionej Kingi [...], ksieni starosądeckiej i patronki Sądecczyzny, odbyły się wielkie uroczystości w Starym Sączu. Szczątki jej były złożone dotychczas w podziemiach klasztornych w skromnej trumnie drewnianej. Z okazji tego sześćsetlecia zjechał do Starego Sącza książę biskup krakowski kardynał Dunajewski<sup>143</sup>, by te relikwie przełożyć do nowej srebrnej trumienki. Tę trumienkę – relikwiarz wykonaną przez firmę Glixelli w Krakowie ofiarował mój dziadek Edward Stadnicki. Były na niej herby Polski, Węgier, bł. Kingi i nasz Śreniawa. Na tę uroczystość zjechało mnóstwo ludzi, m.in. Zamoyscy z Lubowli, ona Karolina de Bourbon<sup>144</sup>, i tłumy włościaństwa z okolicy w pięknych strojach regionalnych, które wtedy były w powszechnym użyciu. Dziad mój był w polskim stroju. Mnie moja matka oczywiście na tę uroczystość zawiozła, liczyłem lat dziesięć. Kardynał, który przekładał te relikwie do nowej trumienki, wziął mnie przed siebie, tak że wszystko świetnie widziałem i byłem jakby współcelebransem przy wielkim ołtarzu w kościele przyklasztornym w Starym Sączu. Odtąd relikwie te spoczywają w tej srebrnej trumience, a nasza rodzina za to i za wiele świadczeń dla klasztoru miała zawsze wstęp za klauzurę i mogłem oglądać wszystkie cele i pamiątki po bł. Kindze. Toteż bywaliśmy tam nieraz z członkami rodziny i gośćmi. Pokazywano nam nieraz wszystkie miejsca, gdzie bywała bł. Królowa, krucyfiks prze-

<sup>136</sup> Paweł Jan Sapieha (1860–1934), ż. Matylda Windischgrätz (1873–1968).

<sup>137</sup> Ludwik Windischgrätz (1882–1968), w 1918 r. minister aprowizacji w rządzie węgierskim.

<sup>138</sup> Włodzimierz Dzieduszycki (1825–1899), ż. Alfonsyna z Miączyńskich.

<sup>139</sup> „Sokół” Polskie Towarzystwo Gimnastyczne zał. w 1867 r. we Lwowie.

<sup>140</sup> Poturzyca, rezydencja Dzieduszyckich, siedziba ordynacji.

<sup>141</sup> Włodzimierz Dzieduszycki (1885–1971), ordynat poturzycki.

<sup>142</sup> Stanisław Dzieduszycki (1888–1960), ordynat poturzycki.

<sup>143</sup> Bp Albin Dunajewski (1817–1894), kardynał od 1894 r.

<sup>144</sup> Jan Zamoyski, syn Andrzeja, który w 1882 r. zakupił dobra ziemskie razem z zamkiem w Starej Lubowli na Spiszu. Był żonaty z Izabelą de Bourbon, siostrzenicą Alfonsa XIII, króla hiszpańskiego. Podczas okupacji niemieckiej pomagał Polakom, którzy uciekali do armii gen. Władysława Sikorskiego.



piękny, przed którym się modliła, odcisk jej stopy w skale, jej kryształowy kubek, jej książkę do modlenia i inne pamiątki. Później, gdy reguła została obostrzona, wstęp za klauzurę został zakazany! Na kanonizację bł. Kingi złożył w XVIII w. Piotr Stadnicki (1668–1745), kasztelan wojnicki, sumę 100.000 zł polskich, która, wskutek rozbiorów, konfiskat Józefa II<sup>145</sup>, dewaluacji itp., mimo starań mych przodków odzyskać się nie dała, ani nawet miejsce jej zdeponowania określić się nie dało. Mam w resztkach archiwum korespondencję w tej sprawie<sup>146</sup>.

Do najdawniejszych i najsilniejszych wrażeń i wspomnień moich należy obchód setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja i powstania kościuszkowskiego. Byliśmy z tej okazji z kuzynami Kaziem i Leonem Sapietami oraz Pawłem i Włodkiem Dzieduszyckimi pierwszy raz w życiu w teatrze, oczywiście w starym gmachu Skarbkowskim we Lwowie, na przedstawieniu *Kościuszek pod Raclawicami* W.L. Anczyca. Przedstawienie to wywarło na nas [...] niezatarte wrażenie. A wzbudziło w naszej loży teatralnej taki entuzjazm, że publiczność więcej bawiła się patrząc na naszą lożę niż na scenę, gdyż braliśmy po prostu udział w wypadkach dziejących się na scenie, i po kilka razy wołaliśmy do aktorów, przestrzegając ich przed Moskalami lub uspakajając ich. Tematem naszych zabaw i walk były przez szereg lat zawsze Raclawice i walki z Moskalami. To stworzyło pewną psychozę niezatartą po dziś dzień. Niestety *Kościuszek pod Raclawicami* zeszedł już dawno z afiszy, zastąpiony najpierw *Galązką Rozmarynu*<sup>147</sup>, a potem różnymi filmami. Zniknęła też wraz ze stratą Lwowa *Panorama Raclawicka*<sup>148</sup>, a szkoda wielka, gdyż ta sztuka i ta panorama uświadamiały naród, pobudzały patriotyzm i chroniły przed wynarodowieniem, chuligaństwem i indyferentyzmem narodowym. [...]

Zimą 1892/1893 r. bardzo ostrą spędziliśmy w Krasiczynie, wtedy zachorowałem na tyfus wujcio Leon Sapiet. Dziadostwo i moja matka pojechali do Bilcza, by pomagać cioci Tereni w pielęgnowaniu ukochanego syna i brata. Niestety zmarł 8 II 1893 r. Strata była to wielka. Był on też moim opiekunem, po nim objął wuj Władysław tę opiekę. To jednak ojca zastąpić mi nie mogło.

Od lat najdawniejszych, jakie pamiętam, stałymi gośćmi w Nawojowie byli: ciocia Marynia Żółtowska (z Niechanowa) – siostra mojej matki oraz ks. Adam Sapieta, wuj mój. Najpierw przyjeżdżał jako skromny księżyna, potem jako kanonik lwowski, wreszcie jako książę biskup krakowski, a potem arcybiskup, metropolita. Lubił bardzo spacerować do lasu, dokąd chodził dawniej z moją matką, a gdy ona się zestarzała, ze swoim kapelanem, lub kimś z naszej rodziny. Raz wziąłem go na większą wycieczkę przez Homrzenska (wózek), potem konno na górę, a następnie ścieżkami przez Rzyczanów aż do ruin zamku w Rytrze, mamcia i ciocia Marynia pojechały do Rytra końmi, skąd razem powróciliśmy.

<sup>145</sup> Józef II Habsburg, cesarz rzymsko-niem. (1780–1790).

<sup>146</sup> Błogosławiona Kinga została ogłoszona świętą przez papieża Jana Pawła II 16 VI 1999 r.

<sup>147</sup> Wzmianka dotyczy piosenki legionowej *Rozkwitały pęki białych róż*, skomponowanej przez Mieczysława Kozar-Słobódzkiego (1881–1965).

<sup>148</sup> *Panorama Raclawicka* obraz olejny Jana Styki i Wojciecha Kossaka bitwy stoczonej w 1794 r. W latach 1894–1944 była wystawiona we Lwowie, od 1985 r. udośćniania we Wrocławiu.

Częstym gościem bywała też ciocia Marynia Tyszkiewiczowa (Benedyktowa z domu Lubomirska<sup>149</sup>, siostra wuja Andrzeja i Kazimierza), której syn Jędrus Tyszkiewicz<sup>150</sup> był przez jakiś czas zajęty w mojej administracji i pomagał mi w trudnych chwilami interesach w Rytrze, gdy się tamtejsi panowie (Meiksner, Krojca)<sup>151</sup> żarli się między sobą, co się niestety w naszych warunkach bardzo często zdarzało!

Zjeżdżała też w lecie na dłuższe pobyty buńcia Jadwiga z Sanguszków Sapieżyna, a w odwiedziny do niej przyjeżdżał wuj Roman Sanguszko<sup>152</sup>, ksiądz Walery Gromadzki<sup>153</sup>, sybirak, proboszcz z Tomska, który często bywał w domu dziadostwa. [...]

Przyjeżdżał też często do Nawojowej wuj Władysław Sapieha, mój opiekun. Wujostwo Pawłowie odwiedzili nas, gdy dzieci ich spędzały lato pod opieką Mlle Paquentin<sup>154</sup> i pana Butkowskiego<sup>155</sup> w 1905 r. Częstym gościem bywała ciocia Terenia Leonowa z Sanguszków, Sapieżyna z córką Jadzią Szembekową. Pawłowie Florianowie Sapiehowie, Żółtowscy Leonowie, Adamowie, Pawłowie; Tomasz, który niestety tak przedwcześnie zmarł, i to w Nawojowej, dostawszy jakiejś grypy po polowaniu, na które już chory przyjechał, a nie przyznał się do tego. Dawniej częstymi gośćmi bywali rodzice Stefy, Pawłowie Woronieccy i jej rodzeństwo, Kazik i Maryjka, która pocziwie zawsze przyjeżdżała, gdy była bieda w domu i trzeba było kogoś pielęgnować.

Przeczytałem ostatnio kilka wspomnień czy pamiętników, a to: Bogdanowicza<sup>156</sup>, Horoszkiewicza, Chłędowskiego<sup>157</sup>, Ludwika Jabłonowskiego<sup>158</sup>, Preka<sup>159</sup>, Heleny Modrzejewskiej<sup>160</sup> oraz monografię Kieniewicza<sup>161</sup> pod tytułem *Adam Sapieha*. W tych wszystkich dziełach bardzo różnorodnie przedstawione są sylwetki moich przodków, zwłaszcza Leona i Adama Sapiehów. Poza wstrętnymi notatkami półgłówka Jabłonowskiego i zjadliwymi uwagami Horoszkiewicza – postacie te wychodzą tak jakimi były i radzę potomności się z nimi zapoznać. [...]

Dalszym takim moim wspomnieniem żywym z dawnych czasów była Pierwsza Powszechna Wystawa Krajowa we Lwowie w 1894 r. – impreza bardzo udana pod każdym względem, która wykazała, że Galicja, okrzyczana dotychczas jako kraj zacofany – „Bärenland”<sup>162</sup>, podniosła się w ostatnich latach ogromnie – pod rządami autonomicznymi. [...] Prezesem Wystawy był dziad mój książe Adam Sapieha, który z okazji tej wystawy wygłosił przeszło 100 mów, uznanych

<sup>149</sup> Maria Tyszkiewiczowa z Lubomirskich (1860–1942), ż. Benedykta.

<sup>150</sup> Andrzej Tyszkiewicz (1888–1955), ziemianin.

<sup>151</sup> Meixner i Krejczy, urzędnicy prywatni w Rytrze.

<sup>152</sup> Roman Stanisław Sanguszko (1800–1881), zw. „Sybirakiem”.

<sup>153</sup> Ks. Walery Gromadzki (1835–1917), zesłaniec, misjonarz Syberii.

<sup>154</sup> Francuzka, nauczycielka prywatna i wychowawczyni.

<sup>155</sup> Butkowski, nauczyciel prywatny i wychowawca.

<sup>156</sup> M. Rosco-Bogdanowicz, *Wspomnienia*, oprac. J. Gintel, t.1-2, Kraków 1959.

<sup>157</sup> Kazimierz Chłędowski (1843–1920), radca namiestnictwa we Lwowie, autor *Pamiętników*, wyd. w Krakowie (1957).

<sup>158</sup> Ludwik Jabłonowski (1810–1887), powstaniec, spiskowiec, pamiętnikarz galicyjski.

<sup>159</sup> F.K. Prek, *Czasy i ludzie. Pamiętnik*, oprac. H. Barycz, Wrocław 1959.

<sup>160</sup> H. Modrzejewska, *Wspomnienia i wrażenia*, wyd. 2, Kraków 1957.

<sup>161</sup> S. Kieniewicz, *Adam Sapieha (1828–1903)*, wyd. I 1939, wyd. II 1993.

<sup>162</sup> Galicja „Bärenland” – „kraj niedźwiedzi”, „Golicja”, „Głodomeria” – nazwy satyryczne.

powszechnie jako świetne, witając dostojników zwiedzających tę wystawę, m.in. cesarza Franciszka Józefa I, arcyksięcia Karola Ludwika<sup>163</sup>, wielu ministrów i polityków z całej monarchii i Polski. Witając wówczas cesarza na dworcu, czy przed Namiestnictwem, wyrzekł ks. Sapieha te słowa: „Witam Waszą Cesarską Mość imieniem szlachty polskiej na ziemi polskiej”. Było to niezmiernie odważne odezwanie się do monarchy jednego z państw zaborczych, podkreślające dobitnie „polskość” kraju.

Namiestnikiem był wówczas Kazimierz Badeni<sup>164</sup>, późniejszy austriacki prezydent ministrów, wsławiony podczas zająć w parlamencie wiedeńskim z „wszechniemcami”, którzy dążyli do połączenia Austrii z Rzeszą Niemiecką.

Marszałkiem krajowym [był] Eustachy Sanguszko z Gumnisk, brat mojej babki, a ojciec Romka Sanguszki<sup>165</sup>. Odbyło się wielkie przyjęcie (raut) dla cesarza u dziadostwa w salonach ich pałacu przy Kopernika 40, jako dzieci nie braliśmy oczywiście udziału, lecz jedynie przypatrywaliśmy się przybyciu gości i cesarza zza poręczy schodów przybranych kwiatami. Dziadzio, marszałek i wielu panów polskich było w polskich strojach, co nadawało tej uroczystości specjalny charakter i wspaniale wyglądało.

Wystawa zakończyła się jesienią bez deficytu, a dziadzio otrzymał w dowód uznania order „Złotego Runa”<sup>166</sup>, był to najwyższy order austriacki i jedyne odznaczenie, jakie dziadek mój przyjął. Gościom przychodzącym z gratulacjami i z ciekawością zobaczenia tego rzadkiego orderu, dziadzio kazał zawsze mnie wyjąć puzdro z szafy gdańskiej, w którym leżało, mówiąc, „pokaż tego barana” – tak podkpiwał z tego „runa”.

W tych mniej więcej czasach zdarzało się, że niektórzy literaci twierdzili, że jedynie poeci i pomniejsi wierszokleci są obywatelami pożytecznymi i pracując dla Ojczyzny, „budząc ducha” swymi utworami, zarzucając równocześnie ziemiaństwu nieróbstwo, serwilizm wobec zaborców i trwonienie majątków w Wiedniu, Paryżu czy Monte Carlo<sup>167</sup>. Nie wątpię, że byli i tacy, którzy dochodów z swych dóbr źle używali i trwonili je niebaczenie, lecz zaznaczyć muszę i stwierdzić z całym naciskiem, dając świadectwo prawdzie: to, co widziałem przez całe moje długie życie i w czym sam udział brałem, że ziemiaństwo świadczyło bardzo wiele na rzecz podniesienia kultury i oświaty w kraju, a zwłaszcza po wsiach zakładając własnym kosztem szkoły, ochronki, fundując kościoły i klasztory, nie mówiąc już o tym, że całe szkolnictwo polskie w Królestwie i na [...] dawnych Kresach było nielegalnie i z narażeniem nieraz życia utrzymywane i prowadzone przeważnie przez ziemiaństwo polskie [...], którego córki pracowały bezinteresownie jako nauczycielki ryzykując zesłanie na Sybir. Tak między setkami innych pracowała i działała za czasów panieńskich żona moja Stefania z Woronieckich.

<sup>163</sup> Karol Ludwиг Habsburg Lotaryński (1833–1896).

<sup>164</sup> Kazimierz Badeni (1846–1909), konserwatywny polityk galicyjski.

<sup>165</sup> Roman Władysław Sanguszko (1901–1984), syn Eustachego.

<sup>166</sup> Order Złotego Runa, ustanowiony przez Filipa ks. Burgundii (1430). Po zawarciu małżeństwa Marii, córki ostatniego ks. burgundzkiego z arcyks. Maksymilianem wszedł w posiadanie Habsburgów.

<sup>167</sup> Por. Dździsław Dębicki, *Iskry w popiołach*, Poznań 1931.

Bardzo wiele majątków było wzorowo i postępowo prowadzonych, że wymienię tylko Przeworsk, Łańcut, Krasiczyn, Gumniska, Żywiec, Balice, Dzików. Zaznaczyć jednak trzeba, że poza tymi kilkoma latyfundiami, przeważna część majątków rolnych, zwłaszcza mniejszych w Galicji była wówczas, a także i później bardzo mało rentowna wskutek wysokich podatków, a niesłuchanie niskich cen wszelkich płodów rolnych (zbóż, ziemniaków), co również tłumaczy ówczesny niski poziom płac oraz niski poziom życia wsi i robotników rolnych.

W sejmie galicyjskim i w parlamencie w Wiedniu [...] ziemianie, którzy mieli większość w Kole Polskim, zawsze przodowali w uchwalaniu i inicjatywie odnośnie wszelkich ustaw postępowych, zmierzających do podniesienia kraju i wszystkich warstw społecznych.

Maturę zdałem w Chyrowie w gimnazjum jezuitów z dobrym rezultatem. Po maturze pojechałem z matką na ślub kuzynki mojej Izy Krasieńskiej<sup>168</sup> z Zenonem Brzozowskim do Radziejowic, siedziby rodziców Izy wujostwa Józefów Krasieńskich<sup>169</sup>. Ślub był piękny, gości dużo z Podola, oczywiście prócz rodziców Zenona wujostwa Karolów, był Pan Izydor Sobański<sup>170</sup>, Henryk Sienkiewicz<sup>171</sup>, Adam Ludwik Czartoryski<sup>172</sup> z narzeczoną Ludwisią Krasieńską, Adamowie Zamoyscy<sup>173</sup>, ona prześliczna Mika z Potockich, i wielu innych. Z Radziejowic pojechaliśmy z matką końmi przez Warkę do Małej Wsi Zdzisławów Lubomirskich<sup>174</sup>, gdzie widziałem cudną panienkę, ich córkę Julcię, późniejszą Tadziewą Morawską. Potem pojechaliśmy do Różanki<sup>175</sup> do wujostwa Augustów Zamoyskich<sup>176</sup>, wspaniały pałac tamtejszy nad Bugiem z przepięknym widokiem na Wołyń spłonął niestety podczas wojny w 1915 r. Z Różanki pojechaliśmy do wuja Romana Sanguszki<sup>177</sup> do Sławuty, gdzie dużo jeździłem konno z Ewą Rzyszczewską na arabach po przepięknych lasach<sup>178</sup> tamtejszych. Byłem też z nią w Chrestówce<sup>179</sup>, gdzie jest stadnina arabów i „chrzciliśmy” źrebięta tegoroczne, wszystkie na literę „A” – sławnego później „Achmeda”, który w Gumniskach do salonu przychodził. W Sławucie bawiliśmy coś dwa tygodnie, gdyż matka moja pielęgnowała wuja Romana, który nieco chorował. Był to mój drugi pobyt w Sławucie. Pierwszy raz byłem w 1890 r. na wiosnę i wtedy zabiłem tam pierwszego w życiu głuszca na tokach.

<sup>168</sup> Elżbieta Izabella Krasieńska (1877–1960).

<sup>169</sup> Józef Krasieński (1848–1918), ż. Helena ze Stadnickich.

<sup>170</sup> Izydor Sobański (1835–1907).

<sup>171</sup> Henryk Sienkiewicz (1846–1916), wybitny pisarz i publicysta.

<sup>172</sup> Adam Ludwik Czartoryski (1872–1937), ordynat gołuchowski, ż. Maria Ludwika z Krasieńskich (1883–1958).

<sup>173</sup> Adam Michał Zamoyski (1873–1940), ordynat kozłowiecki, ż. Maria Potocka z Peczary.

<sup>174</sup> Zdzisław Lubomirski (1865–1943), ż. Maria z Branickich (1873–1934).

<sup>175</sup> Różanka, majątek Zamoyskich, woj. lubelskie.

<sup>176</sup> August Adam Zamoyski (1856–1917), ż. Róża z Zamoyskich.

<sup>177</sup> Roman Damian Sanguszko (1832–1917), ordynat sławucki.

<sup>178</sup> Ordynacja sławucka utworzona w 1907 r. przez Romana Sanguszkę obejmowała m.in. 38 tys. ha lasów szpilkowych, znanych jako „sosny sanguszkowskie”, 3750 ha lasów liściastych i łąk, 3 tys. ha stawów, 25 tys. ha gruntów ornych, 61 folwarków i in.

<sup>179</sup> Chrestówka, stadnina koni założona na pocz. XVIII w. W 1901 r. hodowla posiadała 2435 koni arabskich i pociągowych.

We wrześniu pojechaliśmy z matką do dziadostwa Edwardów Stadnickich do Frainu. Na stacji w Schönwaldzie<sup>180</sup> czekał na nas stary furman Richard z landarą zaprzęgniętą w siwe piękne stare lipicanery<sup>181</sup>. Dojeżdżając z góry przedstawił się mi po raz pierwszy imponujący widok wspaniałego zamku. Po licznych serpentynach w dół i znów do góry wjechaliśmy w pierwszą bramę, przed którą stał stary portier w liberii z buławą, w bramie po lewej stronie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej jako opiekunki zamku i rodziny. Bawili tam wtedy także wujostwo Krasinscy z synem Edziem i córką Zosią, późniejszą Karolową Brzozowską. Dziadzio pozwolił mi chodzić na jelenie i wtedy zabiłem na rykowisku pierwszego w życiu jelenia! Woził mnie dziadzio po lasach, pokazując mi najpiękniejsze partie, co już wtedy wzbudziło we mnie zamiłowanie do tych pięknych lasów i zdecydowało o wyborze zawodu! Odwiedzali dziadostwa księstwo starzy Khevenhüllerowie<sup>182</sup> z sąsiedniego Riegersburga, a z nimi była księżniczka Edina, która mi się bardzo podobała, wyszła później za hr. Grundemanna<sup>183</sup>. Edzio lubił strzelać, a że lichy chodził, wołał kazać pędzić jelenie, co mi się nie bardzo podobało, gdyż zawsze wołałem, zwłaszcza podczas rykowiska, samotnie jelenie podchodzić. Czasem moja matka z Zosią też na podchód się wybierała.

Jesienią udałem się do Monachium na studia, najpierw słuchałem, celem ogólnego wykształcenia historii filozofii u prof. Hertlinga, historii cesarstwa niemieckiego u prof. Heigla, ekonomii u prof. Lujo Brentano. Mieszkalem z Adamem Żółtowskim, moim kuzynem, bywaliśmy trochę w świecie: u Königseków, Arco, Quadtów i bardzo często na operach i koncertach, głównie wagnerowskich, wspaniale dawanych, stąd moje zamiłowanie do muzyki i znajomość dokładna Wagnera. Brałem też lekcje gry na wiolonczeli, ale to się wkrótce skończyło, gdyż późniejsze studia leśne, a także brak talentu skłoniły mnie do zaprzestania (niestety) tej gry, która w późniejszych czasach byłaby może dała mi dużo satysfakcji. Letni semestr 1902 r. spędziliśmy znów z Adamem Ż. w Heidelbergu, gdzie słuchałem encyklopedii rolnictwa i ekonomii oraz filozofii.

Z Heidelbergu odwiedziliśmy Neippergów w Schweigezu, gdzie z chłopcami rówieśnikami naszymi jeździliśmy konno, grywali w tenisa i czuli się jak w domu, gdyż rodzina Neippergów była zaprzyjaźniona z moimi wujami i matką z czasów ich pobytu we Lwowie. Stara pani Neipperg była z domu Lobkowitz, a Rene Neipperg, rówieśnik moich wujów był żonaty z Gabriellą Waldstein. Nasz rówieśnik Attila Neipperg był kolegą Romiego Radziwiłła z Balic, dokąd mnie ks. Dominik R. zaprosił podczas pobytu tam Atilli, a wtedy poznałem księżniczkę Dolli i Izabelkę, będące wówczas podlotkami. Znajomość ta trwała długo, zwłaszcza z Romim, który bywał stałym moim gościem na polowaniach na dziki, a i ja w Balicach polowałem. [...]

<sup>180</sup> Frain (Vranov) i Schönwald – m. na Morawach.

<sup>181</sup> Lipicanery, rasa koni wierzchowych i zaprzęgowych, wyhodowana w Lipizy k. Triestu, stadnina Habsburgów (od 1580), hodowla koni andaluzyjskich, neapolitańskich i arabskich.

<sup>182</sup> Rudolf hr. Khevenhüller (1844–1910), dyplomata austr. i jego synowie.

<sup>183</sup> Otto hr. Grundemann. Brak w almanachu gotajskim.

Na Wielkanoc pojechaliśmy do Włoch. Byliśmy w Wenecji, Florencji i Rzymie, który (zwłaszcza starożytne ruiny) zwiedzaliśmy dokładnie pod kierownictwem archeologa Gattesiego, co zostawiło nam na całe życie wspomnienie niezatarte i dość dokładną znajomość starego Rzymu i jego historii. Po powrocie do Heidelbergu zaskoczyła nas wieść o runięciu campanille w Wenecji, potem odbudowanej.

22 V 1902 r. zmarł dziadek mój Edward Stadnicki, oczywiście pojechałem zaraz do Frainu. Widziałem go jeszcze leżącego na katafalku w pokoju naróżnym, gdzie zmarł, a potem byłem na pogrzebie. Złożono go w podziemiach kaplicy zamkowej, skąd niestety stryj mój przewiózł następnie zwłoki do Charzewic, do grobowca rodzinnego, a podczas wojny w 1915 r. Moskale wyrzucili zwłoki, zabierając trumnę metalową dla jakiegoś generała rosyjskiego, który zginął pod Przemyślem.

Od 1902 r. rozpocząłem systematyczne studia leśne doradzone mi tak przez wuja Władysława Sapiehę, mego opiekuna, jak przez wuja Eustachego Sanguszkę, gdyż majątek jaki miałem objąć (Nawojowa, a w przyszłości Frain) były przeważnie majątkami leśnymi. Studia te, zwłaszcza wykłady i wycieczki urządzone przez prof. Henryka Mayra, wzbudziła we mnie – zresztą już istniejącą miłość lasów, które następnie przez 50 z górą lat starałem się wzorowo prowadzić. Nadto słuchałem profesorów: Webera Rudolfa o systematyce lasów, Rahmana gleboznawstwo, Tabeufa – entomologia leśna, Endresa – ekonomia leśna („Waldwertrechnung”), Schneidra i Schüpfera – użytkowanie lasu i budowa dróg. Prócz tego dalej słuchałem ekonomii ogólnej u prof. L. Brentano. Z poszczególnych przedmiotów zdawałem kolokwia. Niestety wszystkie te świadectwa, jak również maturalne, zaginęły mi podczas rewizji w pałacu biskupim w Krakowie w 1953 r., gdzie były złożone, a ja przebywałem wówczas jeszcze stale w Czechosłowacji (we Frainie, względnie w Bratysławie), gdyż niestety robiono nam trudności z udzieleniem wizy powrotnej do Polski. Skąd wyjechaliśmy w 1945 r., by Frain ratować.

W 1903 r. zmarł w Reichenhall<sup>184</sup> dziadzio Adam Sapieha, wyjechałem był już na wakacje letnie do Nawojowej i tam nas wieść o jego zgonie, prawie równocześnie z śmiercią papieża Leona XIII<sup>185</sup>, zastała. Pojechaliśmy z matką natychmiast na pogrzeb do Krasicyzna. Na tym pogrzebie, który stał się manifestacją uznania zasług dziadzi, mimo że go zwalczano za życia, były reprezentowane wszystkie władze, włącznie z reprezentantem cesarza<sup>186</sup>. Był metropolita unicki Andrzej Szeptycki. Przepiękną mowę pogrzebową wygłosił ojciec Bratkowski<sup>187</sup>, jezuita. Złożono zwłoki w podziemiach kaplicy zamkowej, gdzie też uległy zbeszczeszczeniu przez żołdaków sowieckich w 1941 r.

<sup>184</sup> Reichenhall, uzdrowisko w Górnej Bawarii.

<sup>185</sup> Leon XIII (L. Pecci), papież (1878–1903).

<sup>186</sup> Arcyks. Franciszek Ferdynand d'Este, reprezentant ces. Franciszka Józefa w Galicji.

<sup>187</sup> O. Stefan Bratkowski (1863–1914), jezuita, działacz społeczny.

Po zakończeniu studiów leśnych w Monachium, urozmaiconym wielu ciekawymi wycieczkami do lasów w Alpach i Lesie Bawarskim, wróciłem do kraju i dobyłem kolejno praktyki administracyjno-księgową w Kuźnicach<sup>188</sup> u wuja Władysława Zamoyskiego i tartacznią u Kazia Lubomirskiego<sup>189</sup> w Krechowicach pod kierownictwem Zuckermanna. Potem zaczęły się czasy wolności, polowań, ale i trudności i kłopotów. [...]

Pradziadostwa moich Mniszców nie znałem, on zmarł w 1846 r. we Frainie, ona w 1876 r., ale wspomnienie o nich było żywe. Przyjmowali wielu gości, odbywały się przedstawienia amatorskie w wielkiej sali, niektóre sztuki pisane były przez P. Mniszcha. Wspomina o Panach Mniszczach w swych pamiętnikach Franciszek Prek. M.in. pisze, że ona była małego wzrostu o charakterze męskim, a on z układu więcej do kobiety podobny. Stanisław Mniszech był synem Adama, chorążego nadwornego i starosty mostowskiego i Felicji z Siekierzynskich, starościanki rzeczyckiej, w młodości stracił ojca, matka nakłaniała go do ożenku z Heleną Lubomirską, po wahaniach dopiero przy łożu śmierci matki na jej życzenie zgodził się na to. Ożeniwszy się i poznawszy przymioty dobrej żony, żył z nią szczęśliwie. Lubił haftować włóczką na kanwie (fotel w salonie we Frainie był jego roboty). Słynął z gościnności, dom jego w Krysowicach, Wiedniu i Frainie był dla każdego zawsze otwarty. Mieli syna Adama, który będąc słabowitym, zmarł nagle w domu swej narzeczonej panny Siedliskiej. Na ten związek rodzice zgodzić się nie chcieli. Z córek starsza Felicja wyszła za Jerzego Romana Lubomirskiego<sup>190</sup> i wkrótce zmarła bezdzietnie w 1855 r. w Dreźnie, gdzie jest jej nagrobek na cmentarzu w Friedrichstadt. Druga, Ludgarda, wyszła za Edwarda Stadnickiego, mego dziada i zmarła w Wiedniu w 1911 r. [...]

Podróże wówczas były łatwe i stosunkowo tanie a wygodne.

Na kosztą pobytu na uniwersytetach i podróże otrzymywałem od matki po 300 marek miesięcznie, co przeważnie wystarczało. Paszportów ani wiz nie było w ogóle w całej Europie (poza Rosją, do której paszport bez trudności się dostawało, a kosztował 5 guldenów = 10 koron).

Jako dziecko dużo się napodróżowałem, gdyż matka woziła mnie nad morze. I tak byłem w 1889 r. w Paryżu w drodze do Arcachon<sup>191</sup>, gdzie zwiedzaliśmy wystawę urządzoną w stuletnią rocznicę rewolucji francuskiej. Potem byliśmy w Le Pouliquen<sup>192</sup>, była tam z nami ciotka Anna Zamoyska<sup>193</sup>, jeszcze jako panna, późniejsza Janowa Zamoyska, oraz Gucio Krasieński, robiliśmy różne wycieczki, m.in. do St. Nazaire<sup>194</sup>, gdzie mi kupiono okręcik (zabawkę), którym jeszcze dzieci moje się bawiły. Potem w 1891 r. byliśmy na wyspie Jersey<sup>195</sup> z Żółtowskimi i Kaziem Sapiehą, cudownie tam było, bo i plaża i bałwany niezrównane.

<sup>188</sup> Kuźnice k. Zakopanego.

<sup>189</sup> Kazimierz Lubomirski (1869–1930), ziemianin.

<sup>190</sup> Jerzy Roman Lubomirski (1799–1865), ż. Felicja z Mniszców.

<sup>191</sup> Arcachon – m. w Akwitanii.

<sup>192</sup> Le Pouliquen – m. we Franckji, w regionie Kraj Loary.

<sup>193</sup> Anna Zamoyska (1858–1931), ż. ordynata Jana Zamoyskiego.

<sup>194</sup> Saint-Nazaire, m. port. nad Zatoką Biskajską.

<sup>195</sup> Jersey, jedna z Wysp Normandzkich.

Wreszcie w 1899 r. spędziłem lato na wyspie Borkum na Morzu Północnym, gdzie z Adamem Żółtowskim wybieraliśmy się na foki, a drogę powrotną odbyliśmy parowcem „Silvana” przez Helgoland do Hamburga; w Helgolandzie przesiadaliśmy się na statek „Cobra”, którym w kilka lat później z matką popłynęliśmy z Genui do Monte Carlo – było to w 1902 r. w zimie, gdy dziadzio Adam Sapieha, już bardzo chory, spędzał zimę w Nervi<sup>196</sup>, a ja dojechałem tam z Monachium. Zaraz po świętach Bożego Narodzenia pojechałem z Nervi do Nawojowej, by tam zapolować; po tygodniu wróciłem do Monachium. Co to jest „żyłka myśliwska”, żeby takie przestrzenie odbywać dla paru zajączków.

Któregoś roku byłem też z matką w Scheveningen koło Hagi. Pewnego dnia odwiedzili nas w hotelu dwaj starsi panowie w surdutach. Okazało się, że są to panowie Stadniccy, Holendrzy, piszący się „Stadnitzki”, potomkowie emigrantów z czasów arikańskich w wieku XVII, gdy pewna gałąź Stadnickich wywędrowała do Holandii; panowie przeczytawszy w liście gości hotelowych nasze nazwisko, przyjechali nas odwiedzić. Zawieźli nas potem do Delft<sup>197</sup>, gdzieśmy zwiedzili fabrykę porcelany. Przywiozłem stamtąd popielniczkę, dar tych panów, która znajdowała się dotąd w Nawojowej. [...]

Po tych praktykach objąłem już formalnie w 1905 r. zarząd i kierownictwo lasów własnych Nawojowej i Szlachtowej, dotychczas administrowanych przez Jana Manieckiego, pod dozorem opieki, tj. wuja Władysława Sapiehy i stryja Stanisława Stadnickiego. Jazdy do lasów, przeważnie konno, i chodzenie po nich stanowiło dla mnie rewelację. Odkrywałem wspaniałe drzewostany, w znacznej części pierwotne, nietykane ręką ludzką o kilkusetletnich jodłach, bukach i świerkach. Zamiłowanie do lasów, a zwłaszcza do tych lasów, które po części miałem we krwi, z tradycji, a po części wskutek wspaniałych wykładów prof. Mayra w Monachium, jeszcze się we mnie spotęgowało tak, że przebywanie w nich – i wzorowe ich zagospodarowanie, przy zachowaniu niektórych obiektów dla potomności, jako pomników przyrody „rezerwatów”, było dla mnie największą rozkoszą. [...]

Rozpędziwszy się w tamtą stronę i poznawszy piękno oraz straszne zaniedbanie Szczawnicy, tj. Zakładu Zdrojowego, nabyłem go od Akademii Umiejętności w Krakowie za 490.000 koron. Do tej fatalnej decyzji popchnęła mnie wiadomość, że spółka żydowsko-węgierska zamierza Zakład nabyć; aby go uratować od przejścia w obce ręce, zdecydowałem się na ten krok. [...]

Studia leśne w Monachium, głównie dzięki wykładom i osobistej znajomości i wskazówkom prof. Henryka Mayra wymogły jeszcze moje zamiłowanie i zainteresowanie gospodarstwem leśnym i zwiększyły przywiązanie do Nawojowej i jej lasów, którym oddałem się odtąd zupełnie. Prócz przywiązaniu do gniazda rodzinnego i ziemi wyssanej od generacji „z mlekiem matki”, wpływa niewątpliwie wychowanie i kierunek wykształcenia na umiłowanie warsztatu pracy, zwłaszcza ziemi i lasów. Odtąd lasy były moim umiłowaniem, dążyłem

<sup>196</sup> Nervi, uzdrowisko i kąpielisko na Rivierze Włoskiej.

<sup>197</sup> Delft, m. w pln. Holandii, siedziba słynnej politechniki.



do ich wzorowego zagospodarowania, a że to bez rentowności jest niemożliwe, a rentowność lasów, zwłaszcza pierwotnych, górskich, niedostępnych, zależna jest od przyrostu, który zależny jest od obszaru, co znów stanowi o rocznej racjonalnej produkcji, przyroście, czyli o użytku, starałem się o wydatne powiększenie warsztatu pracy, by gospodarując racjonalnie mieć środki na życie, czego Nawojowa nie dawała, i możliwość wzorowego gospodarowania. To były cele mego życia.

Między moimi lasami nawojowskimi a szlacheckimi leżały wspaniałe lasy ryterskie, około 5400 ha należące do barona Liebiga<sup>198</sup>, ich nabycie postawiłem sobie już w 1905 r. za cel życia.

Po studiach uniwersyteckich, które uzupełniłem jeszcze słuchając w 1908 r. w Wiedniu kursów leśno-przemysłowych dla wyższych urzędników państwowych, w co mnie wprowadził ówczesny kierownik lasów państwowych Szczęsny Cieński, radca namiestnictwa we Lwowie. Zakończyły się te kursy ciekawą wycieczką do Niemiec i Holandii, gdzie zwiedzaliśmy rozmaite zakłady przemysłowo-drzewne w Duisburgu, Düsseldorfie i Amsterdamie.

W 1904 r. odbyłem praktykę tartaczno-eksploatacyjną za poradą Kazimierza Lubomirskiego, pod kierownictwem jego totumfackiego Zuckermanna w tartaku „Molly-Säge” niemieckiej firmy w Roźniewicach<sup>199</sup> i Rechowicach<sup>200</sup>, w lasach państwowych Suchodół-Łopianka, gdzie Lubomirski miał eksploatację. Ten Zuckermann dorobiwszy się, zamieszkał potem w Wiedniu we wspaniałym mieszkaniu na „Freyung”. Tak wielu Żydów polskich potem przemieniało się na Niemców, używając tylko tego języka, jak np. Pilzer, którego pamiętam jako skromnego pośrednika, a potem jako dyrektora firmy „Mundus”, fabryki mebli giętych, której sprzedawałem łąty bukowe, przyjmującego mnie jak penenta we wspaniałym gabinecie z fotelami klubowymi na Schwarzenbergplatz w Wiedniu. Mówił ze mną oczywiście wtedy już tylko po niemiecku. Inni Żydzi przynosili się do Berlina i innych miast niemieckich, stając się Niemcami. Swoje polskie pochodzenie skrzętnie maskowali.

Następnie w zimie 1904/1905 r. odbyłem praktykę buchalteryjno-administracyjną u wuja Władysława Zamoyskiego w Kuźnicach, niestety niewiele tam skorzystałem, chyba negatywnie, gdyż Zamoyski mało się administracją zajmował. Wyręczał go oddani mu zresztą zupełnie Szymborski i Nieszczyński, Zgleczewski i Kosiński. [...]

Ale wróćmy jeszcze od polityki do czasów mojej pierwszej młodości. W czasach, gdy byłem jeszcze w Krasieczynie, była boną przy młodszych chłopcach Sapiechach stara pani Roja. Raz przyjechał w odwiedziny do niej syn jej, służący wówczas w wojsku (oczywiście austriackim) w randze kadeta (podoficera piechoty). Spacerując po parku zbliżył się do stawu, gdzie były łąbiedzie. Był

<sup>198</sup> Baron Liebig, posiadacz leśny, obszarnik w Galicji.

<sup>199</sup> Roźniewice, majątek ziemski w pow. Żydaczów.

<sup>200</sup> Rechowice, w. pow. lwowski.

tam stary samiec łabędź, zły, który miał zwyczaj wychodzić na brzeg i atakować ludzi. Oczywiście zaatakował więc nic nieprzeczuwającego pana kadeta, który broniąc się przed ptakiem zakłuł go bagnetem, który każdy piechur zamiast szabli nosił u boku. Powstało w zamku wielkie poruszenie wskutek tego wyczynu, którego ofiarą padł znany łabędź. Ten pan Roja<sup>201</sup> odegrał potem w legionach Piłsudskiego poważną rolę. Był pułkownikiem IV pułku piechoty legionowej, odwiedzałem go w 1916 r. w „Legiononie” na poleskim froncie. Następnie jako już generał był komendantem Krakowa i rozbrajał Austriaków w 1918 r. Wreszcie kolego wałem z nim w Sejmie Rzeczypospolitej w latach 1928–1930, aczkolwiek w innych klubach; on był ludowcem, ja w BBWR.

Pamiętam dobrze, gdy raz we Lwowie w salonie dziadostwa Sapiehów był i śpiewał sławny stary teorbanista Widort<sup>202</sup>, który przyjechał ze Sławuty odwiedzić wuja Romana Sanguszkę, brata mojej babki Adamowej Sapiehowej. Przy teorbanie, na którym sam sobie akompaniował, śpiewał różne piękne pieśni, przeważnie ukraińskie, których treść była zaczerpnięta głównie z dziejów Sławuty, więc o księżnie Klementynie Sanguszkowej z Czartoryskich<sup>203</sup>, matce starego księcia Romana sybiraka, o księciu Romanie i inne. Był to typ wspaniały: wysoki, tęgi, z zawieszonym siwym wąsem, ubrany po kozacku, z czupryną podgoloną, jak przedstawiają Kozaków na starych obrazach. [...] Widziałem go koło 1894 r.

Z czasów, gdy byłem w gimnazjum pamiętam smutne zdarzenie, które materialnie zniszczyło, w każdym razie nadwreżyło bardzo majątkowo byt rodziny Sapiehów. Był to krach (bankructwo) Banku Kredytowego we Lwowie, którego prezesem Rady Nadzorczej był schorowany już wówczas bardzo (rok 1899) dziadek mój Adam Sapieha. Dyrektorami byli Marchwicki<sup>204</sup> i Krzyżanowski<sup>205</sup>. Gdy bank ten po upadku Lwowskiej Kasy Oszczędnościowej<sup>206</sup> wstrzymał wypłaty, a dyrektor Marchwicki, któremu dziadek mój może zbyt ufał, uciekł, a drugi dyrektor, Krzyżanowski, popełnił samobójstwo, tłumy ciułaczy rzuciły się na Bank<sup>207</sup>, tak iż nawet policja nie była w stanie porządku utrzymać. Wówczas ksiązę Adam, w towarzystwie lekarza Merczyńskiego<sup>208</sup> i przyjaciela Brykczyńskiego<sup>209</sup>, pojechał przed Bank dorożką, tam podtrzymywany przez lekarza powiedział: „Uspokójcie się, błagam, a ręczę słowem i majątkiem moim, że nikt straty nie poniesie i wkłady wszelkie zostaną wypłacone”. Jakby pod działaniem różdżki czarodziejskiej, nastał spokój i wszyscy się rozeszli, taką wiarę mieli w słowa księcia i taki on wywierał urok na tłumach. [...]

<sup>201</sup> Bolesław Roja (1876–1940), oficer Legionów Polskich, gen. dyw. Wojska Polskiego II RP.

<sup>202</sup> Franciszek Widort, syn Kajetana, teorbanista II poł. XIX w., m.in. przebywał na dworze Romana Sanguszki (Wołyń).

<sup>203</sup> Klementyna z Czartoryskich Sanguszkowa (1780–1852).

<sup>204</sup> Zdzisław Marchwicki, dr praw, I dyr. Banku Kredytowego.

<sup>205</sup> Stanisław Krzyżanowski, II dyr. Banku Kredytowego.

<sup>206</sup> Galicyjska Kasa Oszczędności, założona we Lwowie w 1844 r.

<sup>207</sup> Bank Krajowy, Länder-Bank.

<sup>208</sup> Merczyński, lekarz domowy Sapiehów.

<sup>209</sup> Stanisław Brykczyński, działacz samorządowy.

Na wkrótce odbytym posiedzeniu Rady Nadzorczej powzięto uchwałę pokrycia strat Banku Kredytowego, wynoszących olbrzymią sumę kilkunastu milionów koron równą frankom szwajcarskim. Ks. Eustachy Sanguszko, Kazimierz i Stanisław Badeniowie<sup>210</sup> pokryli po milionie, reszta członków Rady również jeden milion, na ks. Sapiehę wypadło ok. 7.000.000 koron. W pokryciu tej sumy uczestniczyła cała najbliższa rodzina, a moja matka również w tym swój udział miała. Tak rodzina, choć niezobowiązana do tego, solidarnie broniła honoru Ojca i co do grosza zobowiązania Banku, za które on zaręczył, pokryła. [...]

Od roku 1903 marzyłem o nabyciu lasów ryterskich, stanowiących kompleks leśny 5400 ha lasów bez serwitutów<sup>211</sup>. Położone po obu brzegach Popradu z tartakiem trzygatowym, przy linii kolejowej położonym – odległym od lasów o zaledwie 2 do 7 kilometrów, podczas gdy moje nawojowskie leżały o 15 do 30 kilometrów od kolei. Lasy te należały do bar. Liebiga<sup>212</sup>, przemysłowca czesko-niemieckiego.

W 1905 r., właśnie gdy byłem powołany do służby wojskowej, którą odbyłem na szczęście krótko w 2-gim pułku ułanów w Tarnowie pod rotmistrzem Słoneckim<sup>213</sup>, majorem Ledóchowskim<sup>214</sup>, a pułkownikiem hr. Huynem<sup>215</sup>, gdy dowiedziałem się od pana Schillego<sup>216</sup>, nadleśniczego ryterskiego, że kręcą się jacyś kupcy-taksatorzy i zdaje się jest mowa o sprzedaży tych lasów. Liebig posiadał we wschodnich Karpatach ogromny kompleks leśny ok. 40.000 ha i na tym „małym” obiekcie mu nie zależało, zwłaszcza, że nie było tam jeleni. Wobec tego pojechałem zaraz do Liebiga do Reichenbergu<sup>217</sup>. [...] Liebig, człowiek bardzo uprzejmy i sympatyczny, przyjął mnie bardzo serdecznie; powiedział mi, że wcześniej nie wiedział, że jakobym reflektowałem na Rytro, gdyż chętniej sprzedałby mnie jako sąsiadowi, gwarantując[emu] dobrą gospodarkę, lecz związał się już tak dalece z Dominikiem Potockim<sup>218</sup>, że zerwać nie może, a tylko to zrobić może, że temu sprzeda, kto pierwszy zdobędzie potrzebną gotówkę: 2 miliony kor. Zresztą dla ilustracji przytaczam treść listu mego do matki zaraz po pobycie u Liebiga:

„U Liebiga wczoraj byłem, bardzo sympatyczny, powiedział, że nie miał zamiaru sprzedawać Rytra, a sprzedałby tylko takiemu, któremu bardzo by na tym zależało, a któryby chciał to mieć jako majątek do mieszkania w nim. Dominik bardzo mu się podobał i powiedział mu, że chce założyć rezydencję w Rytrze, więc z nim traktuje. Powiedział mi dalej Liebig, że nikomu nie sprzeda Rytra na interes, a o Żydach nawet słyszeć nie chce do tego stopnia, że nie życzyłby sobie, by Zuckermann Rytro oglądał! Jedna rzecz jest zła: zanim dostał moją ofertę,

<sup>210</sup> Kazimierz Badeni (1846–1909), polityk galicyjski; Stanisław Badeni (1850–1912), polityk galicyjski.

<sup>211</sup> Serwituty (służebności) – uprawnienia chłopów do korzystania z dworskich łąk, pastwisk i lasów.

<sup>212</sup> Baron Liebig, austriacki fabrykant i właściciel ziemski.

<sup>213</sup> Słonecki, rotmistrz 2. pułku ułanów w Tarnowie.

<sup>214</sup> Kazimierz Ledóchowski, ppłk 2. pułku ułanów.

<sup>215</sup> Geza hr. Huyn, płk, d-ca 2. pułku ułanów.

<sup>216</sup> Schille, nadleśniczy ryterski.

<sup>217</sup> Reichenberg, Liberec – m. w Czechach.

<sup>218</sup> Dominik Potocki (1877–1939), ziemianin i przemysłowiec.

obiecał Potockiemu wyłączność prawa kupna do 15 X 1905 – nie może więc robić świństwa – łamiąc obietnicę. Mówił mi, że ogromnie żałuje, że wcześniej nie wiedział, że ja chcę kupić, bo najchętniej by mnie sprzedał. Nie żądałby ode mnie nawet tego, czego żąda od innych, tj. zapłacenia na stół całego miliona guldenów, ja mógłbym płacić w ratach, jakie bym sam wybrał. Dominik Potocki, którego spotkałem w Stróżach, powiedział mi, że oszacowanie Rytra już kończy i że prawdopodobnie nie kupi, bo nie potrafi tego miliona z majątku wyciągnąć, nie dewastując go. Obiecał nawet dać mi całe swoje oszczędności, gdy się nie zdecyduje. Liebig dał mi pozwolenie na zwiedzenie lasów”.

Widać z tego, że już wtedy praktykowano kręctwo, tak jak dziś czynią to dyplomaci, mówiąc co innego, a robiąc do innego! Dominik nie myślał o mieszkaniu w Rytrze, chyba w czasie polowań, a kupił na „interes”, najlepszy dowód, że rąbał od początku po 50.000 m<sup>3</sup> miękkiego drewna rocznie i to w najbliższych oddziałach, a już po 2 latach sprzedał Niemcowi Linnartzowi<sup>219</sup> za 8 milionów koron (dwa i pół miliona guldenów). Liebig był podobno wściekły, jak się o tym dowiedział. Gdyż jak mówił do mnie: „Um Geschäft te zu machen sind wir da”<sup>220</sup>. Dominik, który był mi obiecał, że w razie gdyby kiedyś zdecydował się na sprzedaż Rytra, to da mi prawo pierwszeństwa, sprzedał i nawet pocztówką nie powiadomił. Interpelowany o to przez wuja Jana Stadnickiego, któremu całą tę sprawę opowiedziałem, powiedział, że sądził, że ja takiej ceny nie byłbym dał. To go nie usprawiedliwiało, gdyż mogłem ja to powiedzieć, ale on powinien był mnie uwiadomić. A zresztą tak się do kupna Rytra paliłem, że wówczas może byłbym, wbrew rozsądkowi, nawet tę cenę dał. Zwłaszcza że w 1907 r. stało jeszcze wiele pięknych drzewostanów, których już w 1916 r. nie było z masą około 350.000 m<sup>3</sup>, więc może i ta cena była rachunkowo uzasadniona?

Po powrocie od Liebiga pojechałem do Lwowa, by tam robić starania o kredyt bankowy. Bank Krajowy, ciężka machina urzędowa, zażądała gwarancji moich opiekunów, gdyż nie byłem jeszcze pełnoletnim, według ówczesnych ustaw następowało to dopiero po ukończeniu 24 lat, a opiekunowie: wuj Władysław Sapięha i stryj Stanisław Stadnicki, bardzo obaj ostrożni i konserwatywni – powiedzieli, że skoro Liebig sprzedaje, to widocznie nie ma Rytra wielkiej wartości. Przeznaczili jednak Krausa, starszego leśnika, do zbadania i oszacowania lasów rycerskich, któremu drzewostany szpilkowe w bliższych partiach bardzo się podobały, ocenił negatywnie starodrzewy bukowe, przyjmując wartość około 2000 ha tych buczyn jako minus, wskutek tego jego szacunek wyniósł 1.800.000 koron i tyle Bank Krajowy mi przyrzekł dać. Jeden Kazio Lubomirski oświadczył mi, że służy mi swoim podpisem na potrzebną sumę 2 milionów koron. Zatelefonowałem natychmiast do Liebiga, że jestem gotów, na co otrzymałem odpowiedź, że „leider anderweitig gebunden”<sup>221</sup>.

<sup>219</sup> Dr Linnartz, handlarz drewnem.

<sup>220</sup> My tylko możemy robić interesy.

<sup>221</sup> niestety już związany (umową).

Niestety było już za późno i Dominik Potocki Rytro kupił. Byłem tym bardzo przygnębiony, gdyż sądziłem, że Rytro dla mnie już na zawsze przepadło. Po dwóch latach Dominik sprzedał Rytro firmie niemieckiej za 5.000.000 koron. Odtąd pojawiały się corocznie na stokach Radziejowej olbrzymie połaci zrębów czystych, co mnie bolało.

Nie mogąc przeboleć straty Rytra i dewastacji tych wspaniałych lasów, znalazłem sobie klapę bezpieczeństwa i kupiłem od hr. Idy Lasockiej<sup>222</sup> w 1907 r. połowę lasów szczawnickich, a wkrótce potem od Żydów węgierskich Gasza<sup>223</sup> i Szanto<sup>224</sup>, drugą ich połowę. Lasy te były dość zniszczone, a obejmowały łącznie niespełna 1000 ha, ale graniczyły z moimi, co administrację ułatwiało. Przez szereg lat, zwłaszcza w części od G. i S. kupionej, żadnego prawie użytkowania nie prowadziłem poza usuwaniem buków z niedorębów, ale za to kulturowałem, to jest sadziłem zaległe zręby. Mimo to rad byłem z tego kupna, gdyż nabyłem te obiekty tanio, za około 200.000 kor. i powiększyłem obszar moich lasów, chroniąc je przed dalszą dewastacją.

W 1906 r. byłem w Rzymie z buńczą Sapieżyną i matką. Wtedy wuj Adam Sapieha, ksiądz, był przy Ojcu św. *cameriere secreto*. Wyrobił nam prywatną audiencję u Piusa X<sup>225</sup>. Był niesłychanie łaskaw, nazywał moją babcię „*la Mamma*”, gdy podczas tej audiencji ja klęcząc przy Ojcu św. położyłem głowę na Jego kolanach, on położył rękę na mojej głowie i pobłogosławił. Niestety słów Jego nie pamiętam.

W tymże roku, będąc w Wiedniu, zostałem zaproszony na śniadanie do księżny Marii Lubomirskiej Adamowej z Niżyńca, która miała trzy córki i wtedy szukała dla nich odpowiednich konkurentów, zdaje mi się, że to zaproszenie było właśnie wędką na mnie zarzuconą. Przypominam jednak to śniadanie nie z tej przyczyny, lecz dla dziwnego składu uczestników. Otóż byli obecni: nuncjusz papieski kardynał Granito di Belmonte<sup>226</sup>, Karol Lanckoroński<sup>227</sup>, minister Zdzisław Morawski<sup>228</sup>, Wildhamm Steele, korespondent „Timesa”, panna Selma Kurz, śpiewaczka operowa, późniejsza żona prof. Halbana ginekologa i ja. Panią Kurz poznaliśmy później, będąc u nich (u prof. Halbana) ze Stefą, żoną moją, na śniadaniu. Prof. Halban był stałym lekarzem i doradcą Stefy, był też we Frainie przy urodzeniu Heli 7 XI 1914 r.

Mimo klęski poniesionej w sprawie Rytra, ochłonawszy z zawodu, wszcząłem już w 1911 r. pertraktacje z Linnartztem o kupno tych lasów. Żądano jednak 7 milionów koron, proponując mi kupno jednego najodleglejszego rewiru „Łomnicy”<sup>229</sup>, to mi nie konweniowało, gdyż byłoby jeszcze rozdrobniło moje

<sup>222</sup> Ida Lasocka, właścicielka Szczawnicy (1904).

<sup>223</sup> Gasza (Gejza) Żyd węg., właściciel połowy Szczawnicy.

<sup>224</sup> Szanto, Żyd węg., współwłaściciel Szczawnicy.

<sup>225</sup> Pius X (G. Sarto), papież (1903–1914).

<sup>226</sup> Gennaro Granito Pignatelli di Belmonte, kardynał, nuncjusz apostolski w Wiedniu.

<sup>227</sup> Karol Lanckoroński (1848–1933), ziemianin.

<sup>228</sup> Zdzisław Morawski (1859–1928), radca namiestnictwa we Lwowie.

<sup>229</sup> Obecnie Łomnica Zdrój, powiat nowosądecki.

lasy i byłbym znów nabył rewir odległy, niedostępny, ale lasy te oglądałem. Tak pertraktacje ciągnęły się aż je przerwał wybuch wojny światowej w 1914 r.

Około roku 1903/1904 wzbudziło wielką sensację w Sądecczyźnie nabycie „Podlipia” w Nawojówce<sup>230</sup>, dawniej własność Gaudników przez Ignacego Daszyńskiego<sup>231</sup>, wielkiego przywódcy socjalistów i posła do parlamentu wiedeńskiego. Zamieszkał tam z żoną z domu i dwoma synami, wówczas chłopcami kilkunastoletnimi.

Poznanie moje z Daszyńskim było dosyć oryginalne i niespodziewane. Poszedłem w jakąś niedzielę, jak zwykle na sumę do kościoła parafialnego w Nawojowej i widzę, że w ławce naszej „kolatorskiej” siedzi pan Ignacy Daszyński, prezes Polskiej Partii Socjalistycznej. Siadłem koło niego – i zapoznaliśmy się. Odwiedzaliśmy się wzajemnie, zwłaszcza pani Daszyńska<sup>232</sup> z chłopcami przychodziła często do mojej matki do pałacu i parku. Ja byłem wówczas nastawiony bardzo „postępowo”, co nie było dziwne, jako wnuk „czerwonego księcia”, jak nazywano nieraz mego dziada ks. Adama Sapiechę. Rad byłem przeto z poznania tego wybitnego i popularnego człowieka.

Socjaliści sądeccy, przeważnie kolejarze i robotnicy Warsztatów Kolejowych, dowiedziawszy się o naszej znajomości, poprosili mnie o pozwolenie urządzenia zabawy („majówki”) w parku nawojowskim, oczywiście zgodziłem się na to. Na tę uroczystość z muzyką kolejową przybyli oczywiście państwo Daszyńscy. Podczas ochoczej zabawy ludowej przechadzałem się z Daszyńskim po parku. W pewnej chwili zatrzymał się i pokazując na równinę ku Popardowej<sup>233</sup>, będącej wówczas pięknym dużym łanem żyta, powiedział: „Pięknie tu jest, ale mnie by się lepiej podobało, gdyby tu były dymiące kominy fabryczne”, zawsze miewali panowie socjaliści tego kręćka, by rugować rolnictwo, a wszędzie tylko fabryki budować, po części może z myślą, by w powstałym tym sposobem proletariacie fabrycznym mieć narzędzie swej polityki?

W tym wypadku prorocze jakby życzenie pana Daszyńskiego spełniło się przypadkiem częściowo, gdyż po paru latach, a mianowicie w 1906/1907 r. postawiłem na tym właśnie polu tartak parowy i stolarnię, w których zatrudniałem około 60 pracowników z Nawojowej i wsi okolicznych.

Zamiast sprzedawać drewno w stanie okrągłym Żydom za bezcen, przecieraliśmy kłocę i przerabiali we własnym zarządzie, eksportując następnie tarcicę i galanterię drzewną, co dawało zarobek ludności, państwu przynosiło dewizy, a ja mogłem nadwyżki inwestować w Zakład Zdrojowy w Szczawnicy, nabywać enklawy, prowadzić racjonalną gospodarkę leśną, a nie eksploatację lasów, przeprowadzić modernizację pałacu naszego domu rodzinnego, budować kościół w Ryrtrze jako *votum* za urodzenie syna Józefa<sup>234</sup> i dopomóc w założeniu para-

<sup>230</sup> Nawojówka, w. powiat nowosądecki.

<sup>231</sup> Ignacy Daszyński (1866–1936), współzałożyciel PPSD, później PPS, premier rządu lubelskiego w 1918 r.

<sup>232</sup> Maria Daszyńska z d. Paszkowska, aktorka, pierwsza żona Ignacego Daszyńskiego.

<sup>233</sup> Popardowa, w. k. Nawojowej.

<sup>234</sup> Józef Stadnicki (1919–1960), s. Adama i Stefanii z Woronieckich, żonaty z Elżbietą z Lubomirskich (1944).

fii i kościoła rzymskokatolickiego w Łabowej, gdzie była liczna kolonia polska, a dotąd istniała tylko cerkiew unicka, co ułatwiało zruszczenie Polaków.

Niestety państwo Daszyńscy wkrótce sprzedali „Podlipie” państwu Lipowskiemu<sup>235</sup>, a o ile słyszałem, Daszyński uczynił to na skutek zarzutu, że stał się „burzujem i z burzujami i obszarnikami obcował”.

Po wielu latach zetknąłem się znów z Daszyńskim jako poseł na Sejm w latach 1928–1930, gdy on był wówczas marszałkiem Sejmu. Przypomniałem mu przy okazji jakiejś rozmowy nasz spacer nawojowski i powiedziałem mu, że jego życzeniu wówczas wyrażonemu stało się po części zadość: uprzemysłowienia Nawojowej. Daszyński odnosił się do mnie zawsze życzliwie, był to człowiek uczciwy, dobry Polak, choć partyjnictwem i nienawiścią klasową wypaczony, a tak niesłusznie bezczeszczone przez sanację. [...]

W 1906/1907 r. wziąłem się do budowy nowożytnie urządzonego tartaku parowego w Nawojowej, by wziąć we własne ręce przemysł drzewny oparty na własnym surowcu, a pozbyć się Żydków, dzierżawiących dotychczas trzy tartaki wodne i nabywających nasze drzewo za bezcen na podstawie „hazuki”<sup>236</sup>, jaką oczywiście na mój majątek mieli. Funduszy na ten cel dostarczyła sprzedaż obligacji „funduszu propinacyjnego”, które każdy majątek od rządu otrzymał z tytułu wykupna prawa propinacji oraz z parcelacji odleglejszych gruntów rolnych. Wtedy również wziąłem się do kontynuacji dzieła mego ojca i pousuwałem Żydów z dotychczas trzymanych przez nich karczem. I tak karczmę w Nawojowej oddałem Baranowi<sup>237</sup>, później założono tam filię Składnicy Kółek Rolniczych w Nowym Sączu. Karczmę na Wysokiem sprzedałem tanio na szkołę. Karczmę w Łęgu sprzedałem Baranowi na sklep i warsztat szewski, na Majdanie w Maciejowej umieściłem gajowego Żerotyńskiego, darując mu ten obiekt po przejściu jego na emeryturę. Karczmę w Nowej Wsi sprzedałem, względnie zamieniłem na enklawę leśną, założono tam potem spółdzielnię gminną. W Roztoce Wielkiej i pod Margoniem, tzw. „mordownię”, rozebrałem, a grunt sprzedałem. Tak iż pozostała we władaniu żydowskim jedynie karczma i zajazd w Łabowej, w rękach poczciwej rodziny Freyów. A w dawnej destylarni wódki w rynku łabowskim najpierw urządziliśmy łuszczarnię nasion leśnych, a następnie szkołę polską, gdyż szkoła właściwa była łemkowska, wobec większości Łemków w tej miejscowości. Wtedy też postarałem się o założenie wielu szkół, dając pod nie grunta za darmo oraz materiały budowlane.

Wziąłem się też do zabudowania i regulacji potoków dzikich, robiących wielkie szkody. Częściowo wykonywały to odnośne urzędy Zabudowy Potoków, a częściowo, jak tamy na Kamienicy koło Nawojowej oraz regulację Brzeźnianki, wykonałem sam przy pomocy ówczesnego dzierżawcy Brzeznej Jana Skąpskiego<sup>238</sup>, wykorzystując siłę roboczą jeńców rosyjskich podczas I wojny światowej.

<sup>235</sup> Lipowscy, właściciele Nawojówki.

<sup>236</sup> *Hazuka* – zmowa Żydów w transakcjach handlowych.

<sup>237</sup> Bazyl Baran, sklepikarz wiejski.

<sup>238</sup> Jan Skąpski, dzierżawca Brzeznej k. Nowego Sącza.

Jak więc z tego wynika, pracy rozmaitej miałem dosyć, jeżeli weźmie się pod uwagę, że równocześnie wszedłem do Komitetu Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego<sup>239</sup> oraz do Rady Powiatowej Nowosądeckiej<sup>240</sup>. Prócz tego, że brałem udział w wielu polowaniach u przyjaciół i krewnych: w Bilczu<sup>241</sup>, Biłce<sup>242</sup>, Lesku, Stratyniu<sup>243</sup>, Siedliskach, Radziejowicach, Turzy Wielkiej, stąd wyciągnąć wnioski można, że zajęć, zresztą i rozrywek, miałem dosyć i czasu nie traçałem. Dochodziły do tego liczne jazdy w interesach do Lwowa i Wiednia, ówczesnych naszych stolic, które pozwalały łączyć *dulce cum utili*<sup>244</sup>. Jednym słowem czasy te zaliczam do najprzyjemniejszych, gdyż aby życie było przyjemnym, musi być intensywnym, a tego nie brakło nigdy.

W tych latach byłem na kilku ślubach okazałych, gromadzących bliższą i dalszą rodzinę, co dawało możność poznawania ludzi i ich prac i zajęć. I tak w 1907 r. byłem w Radziejowicach na ślubie Zenona Brzozowskiego z Izą Kraśńską, moją siostrą cioteczną, w Wielkiej Wsi<sup>245</sup> na ślubach Marysieńki Stadnickiej z Henrykiem Mańkowskim, a później Jani Stadnickiej z Józkiem Stadnickim (z linii żmigrodzko-lubelskiej z Radawca), w Bilczu na ślubie Maryni Sapieżanki z Stanisławem Szeptyckim, w Biłce Maryni Sapieżanki<sup>246</sup> z Maurycym Zamoyskim, ordynatem, wreszcie w 1909 r. w Przeworsku Reni Lubomirskiej<sup>247</sup> z Eustachym Sapiehą z linii rożańskiej (ze Spuszy). [...]

Dom nasz rodzinny, „pałac” w Nawojowej, stojący na pagórku nad gościńcem prowadzącym z Sącza do Krynicy, składał się z dwóch skrzydeł, łączących się pod kątem rozwartym. Starsza część dwupiętrowa, były „zamek”, założony przez Piotra Nawojowskiego około roku 1560, mieścił w przyziemiu piękne izby sklepione, w których urządziliśmy kuchnię, kredens i spiżarnię (po pożarze oficyn, w których się te urządzenia mieściły). Pod tym były piwnice, piękne suche, wysokie, w których były wina i owoce, które się świetnie trzymały. Win było kilkaset butelek przeważnie węgierskich, najstarsze z 1760 r., oraz świetne miody krasiczyńskie (wiano mej matki) i trochę [win] francuskich. Z kuchni do piwnicy były schodki kręte w grubości muru, tam schowano w roku 1944/1945 porcelanę cenną i szkło. Niestety odnaleziono to i częściowo zniszczono, a resztki i czerepy odebrali Józio i Paweł, i do Krynicy odwieźli. Na pierwszym piętrze tego starego zamku mieściły się dawniej, za mojej młodości, salony i biblioteka, a potem także mieszkanie matki mojej. Na II piętrze były pokoje moich rodziców, ja się także tam wychowywałem i tam mieszkałem aż do 1905 r. Pokoje były pięknie malowane, a ściany kretonami obite, resztki tych kretonów służą

<sup>239</sup> Krakowskie Towarzystwo Rolnicze i Towarzystwo Kólek Rolniczych we Lwowie, od 1919 r. Małopolskie Towarzystwo Rolnicze.

<sup>240</sup> Nowosądecka Rada Powiatowa (po 1919), kolejalny organ samorządowy.

<sup>241</sup> Bilcze, majątek w powiecie Dubno na Wołyniu.

<sup>242</sup> Biłka, w. w powiecie Przemysły, woj. lwowskie.

<sup>243</sup> Stratyn, w. w powiecie Rohatyn.

<sup>244</sup> piękne z pożytecznym.

<sup>245</sup> Wielka Wieś, majątek Stadnickich w powiecie Brzesko.

<sup>246</sup> Marynia Sapieżanka (1884–1969), m. Maurycy Zamoyski (1871–1939), ordynat.

<sup>247</sup> Teresa Izabela Lubomirska (1888–1964), m. Eustachy Sapieha (1881–1963), ziemianin, dyplomata.



do dziś jako obicie mebli i firanki w Poznaniu i Osoli. Później służyły te pokoje jako „szkoła” dla dzieci naszych. Podczas okupacji mieszkało tam wojsko niemieckie, a potem sowieckie.

W skrzydle dłuższym, nowszym i jednopiętrowym, połączonym z poprzednim wieżą, przez którą wiódł korytarz, było na I piętrze mieszkanie zarezerwowane dla moich dziadostwa, Edwardów Stadnickich, do ich zgonu, a na parterze pokoje gościnne, zaś za sienią kuchnia i pokoje służbowe. Za okupacji ta kuchnia i pokoje służbowe służyły też za kwaterę dla okupantów. Całe to skrzydło było dawniej bardzo prymitywnie urządzone. Podłogi z desek, do łazienki babki wodę donoszono konewkami. Dopiero po objęciu tego mieszkania, odnowiliśmy je w roku 1912. Pokoje podwyższyliśmy, zaprowadziliśmy system korytarzowy przez środek, daliśmy parkiety, nowe drzwi i okna z oberluftami<sup>248</sup> i centralne ogrzewanie wodne, opalane drzewem bukowym z naszych lasów, kanalizację i wodociąg pędzony motorem elektrycznym. Prąd do tego i oświetlenie, tak pałacu jak folwarku, mieszkań urzędników i fernali, dawał tartak. Boazerie w holu i piękną klatkę schodową zrobiła firma wiedeńska według projektu inż. Odrzywolskiego z Krakowa na wzór angielski. Wszystkie inne roboty stolarskie, łącznie z drzwiami wchodowymi do holu i od tarasów wykonała stolarnia tarnowska „na Rudach” Sanguszków. Centralne ogrzewanie wykonała firma Chylewski i Wójcicki, wodociąg i wspaniała łazienkę Stefy [...] z angielskich części wykonała firma Nitsch i Ska z Krakowa. Ta firma wykonała też pierwsze ujęcie źródeł w Szczawnicy. Na piętrze, na południe od holu były pokoje, nasze i dziecinne oraz łazienka, razem siedem. Po drugiej stronie holu na piętrze były salony i moja kancelaria, dalej sala jadalna i wieża, w której była kaplica domowa. W 1928 r. dobudowałem moją kancelarię sklepioną na parterze, nad którą był „ogród zimowy”, a pod nią piwnica sklepiona, służyć mająca za archiwum. Dookoła wieży zbudowaliśmy „loggię” w stylu „wawelskim”, połączoną z ogrodem zimowym. Wszystkie toalety były wyłożone kafelkami. Na parterze pod salonami były pokoje gościnne oraz jeden apartament z łazienką. Za holem były pokoje służbowe i gorsze gościnne oraz jadalnia służbowa, łazienka służbowa, a także kocioł do grzania wody do łazienek na I p. W kapliczce odmawialiśmy wspólnie pacierz wieczorny, a niekiedy i msza św. była tam odprawiana. W sali jadalnej i salonach było wiele portretów rodzinnych i cennych krajobrazów. Prawie wszystkie te obrazy ocalały i znajdują się obecnie w Poznaniu oraz Krakowie, względnie Rabie u Antosiów<sup>249</sup>. Przepadły tylko w niewyjaśniony sposób: pejzażyk mały Chelmońskiego<sup>250</sup> i *Pożegnanie rycerza* Piotra Michałowskiego<sup>251</sup>. W pokojach na I p. w starym zamku były piękne inkrustowane drzwi jesionowe i także szafy biblioteczne. Zawartość ich częściowo znajduje się w Poznaniu u wnuków, a częściowo została rozgrabiona w 1945 r. lub wy-

<sup>248</sup> Oberlufy – lufciki, wentylacja.

<sup>249</sup> Antoni i Helena Mańkowsy.

<sup>250</sup> Józef Chelmoński (1849–1914), malarz polski.

<sup>251</sup> Piotr Michałowski (1801–1855), malarz polski; obraz *Pożegnanie lisowczyka*.

szabrowana przez nieuczciwych powierników. Meble były częściowo stare cenne antyczne, sekretarzyki, fotel *empire*, częściowo przez nas odnowione. Część znajduje się w Rabie, część w Poznaniu, a część u Pawła<sup>252</sup> w Krakowie. Obecnie niektóre sprzedano na Wawel.

Zamek we Frainie, obecnie Vranov nad Dyją, wraz z majątkiem, głównie leśnym, został zakupiony przez Felicję z Siekierzyńskich Mniszchową, matkę mego pradziada Stanisława Mniszcha w 1799 r. za 600.000 guldenów austriackich „reńskich” od rodziny Althanów, którzy byli zdaje się zmuszeni do tej sprzedaży wskutek wielkich kosztów włożonych w budowę nowego zamku przez Fiszera von Erlach<sup>253</sup>. Zamek był urządzony pięknie, przeważnie starymi meblami (Louis XVI) z czasów poprzednich właścicieli, a częściowo empirowymi, już przez Mniszchów. Były piękne brązy i srebra z tych epok. Zamek obejmował dwa dziedzińce. Pierwszy stary, drugi już z XVIII w. Monumentalna sala „Ahnensaal”<sup>254</sup> z galerią posągów przedstawiających przodków rodziny Althanów (36 na 15 m), przed nią salka owalna mniejsza była przedsionkiem, do której prowadziły monumentalne schody z statuami darowanymi pani Althan przez cesarza Karola VI<sup>255</sup>, gdyż były za wysokie do Burgu w Wiedniu, do którego były pierwotnie przeznaczone. Są tam, w Burgu w Wiedniu, identyczne, tylko nieco niższe, które przedstawiają Herkulesa, a druga Eneasza, wynoszącego Achileasa z Troi. W lewo od tej mniejszej sali jest pokój gościnny, w którym przyjmowano cesarza (tzw. „Fürstenzimmer”), stoi tam na sztaludze portret pani Althan z domu Pignatelli, do której należały zamki Frain i Joslowic<sup>256</sup>. W obu tych zamkach były, a może są jeszcze, malowidła, stiuki i nawet meble identyczne, co świadczy, że w tej epoce (połowa wieku XVIII) były sprawione. Joslowice należały za czasów, gdy tam bywałem u hr. Spee, żonatego z Mitrowską, której matka była Baworowska. Sale były ozdobione malowidłami mitologicznymi. Na I piętrze (w prawo od sali wejściowej była sala jadalna z pięknymi pejzażami malowanymi na płótnie, a dalej salony. W wielkim pierwszym salonie były portrety Stanisławów Mniszchów oraz Adama Mniszcha, męża pani Felicji, w zbroi, oraz meble białe ze złoceniami obite zielonkawą materią w stylu Ludwika XVI. Tapety były też zielonkawe. Za tym salonem od południa był mniejszy salon „niebieski” identycznie urządony. Na dwóch kominkach w pierwszym salonie stały piękne brązy, część ich wzięliśmy do Nawojowej i są w Poznaniu. W tym „niebieskim” salonie był portret duży mego ojca<sup>257</sup> i mnóstwo mniejszych, a także fotografie rodzinne, są u mnie w Osoli. Za tym salonem była sypialnia pani Mniszchowej, Heleny z Lubomirskich<sup>258</sup>, mojej prababki, zmarłej we Frainie i tam pod kaplicą pochowanej obok Stanisława Mniszcha, jej męża. W tym sypialnym było wspa-

<sup>252</sup> Paweł Stadnicki (1925–1996), inż. architekt.

<sup>253</sup> Johann Fischer von Erlach (1656–1723), architekt wiedeński.

<sup>254</sup> „Galeria przodków” Althanowie, niem. rodzina hrabiów osiadłych w Czechach i Austrii.

<sup>255</sup> Karol VI Habsburg, cesarz rzymsko-niemiecki (1711–1740).

<sup>256</sup> Joslowice – zamek na Morawach.

<sup>257</sup> Edward Adam Stadnicki (1856–1885).

<sup>258</sup> Helena z Lubomirskich Mniszchowa (1783–1876).

niałe łóżko *empire*, które podobno znajduje się w magazynie zamkowym. Po wywłaszczeniu Frainu przez Niemców, nowy właściciel, von der Vense [Wense?], niestety przerobił ten pokój na dalszy salonik, dając w miejsce łóżka kominek, a także przerobił następną łazienkę z kamiennym basenem i pięknymi stiukami na salonik. Wodę do tej łazienki noszono w kufach na II piętro i tam ją ogrzewano, a rurami spływała do łazienki. Ściany tej łazienki były ze stiuku, naśladowującego zielony marmur. Wzdłuż całego głównego skrzydła zamku, od strony północnej – dziedzińca, był korytarz, a poza salonami i klatką schodową były nasze i dzieci pokoje, od strony lasu (południa) – z tego lasu było słychać podczas rykowiska ryk jeleni, który nieraz budził dzieci w nocy, na prawo od korytarza była moja kancelaria i pokoje nasze. Tam w sypialnym urodziły się Hela (1914), Danusia (1916) i Stefcia (1917). Pokoje te, jak również dziecinne, były malowane w różne sceny ogrodowe, smoki itp. Na II piętrze były pokoje gościnne, składy i biblioteka, przy której były też pokoje Stanisława Mniszcha. We wszystkich pokojach były piękne kaflowe piece stylowe na nóżkach brązowych, które podczas okupacji Vense przeniósł na II piętro, gdzie sobie urządził bardzo wygodne mieszkanie z łazienkami – zniszczył jednak przez to typ dawnego zamku z XVIII w. Częściowo był zamek ogrzany centralnie przez ciepłe powietrze z pieców położonych na parterze przy kuchni i biurach zarządu. Piece te spalały olbrzymie ilości drzewa, a mało ciepła dawały, tak że zaniechaliśmy tego ogrzewania, kontentując się piecami, a po części w zimie zamykając salony. Dokoła zamku były jeszcze stare mury i baszty pozostałości z średnich wieków. Z obu stron wielkiej auli były terasy ozdobione łukami, naśladowującymi stare rzymskie ruiny. Z terasy północnej prowadził na te mury zwodzony mostek, wielka atrakcja dla dzieci. Na terasie południowej przyjmowało się herbatą gości i słuchało jeleni. Była tam też armatka z szkłem powiększającym, nastawionym słonecznym zegarem, tak iż w południe strzelała, oczywiście, gdy była prochem nabita i zakorkowana.

Zamek leżał na wysokiej (80 metrów) skale prostopadle nad rzeką Tają (Dyją), z terasy północnej był wspaniały widok na okolicę oraz miasteczko Frain (Vranov), położone u stóp zamku z drugiej strony rzeki.

Biblioteka i archiwum, mieszczące się na II piętrze, były ciekawe. Były tam przeważnie książki francuskie z końca XVIII i początku XIX w. Niestety wszystko to tam zostało i nie wiem, co się z tym stało, mimo że darowałem całą bibliotekę i zamek rządowi polskiemu, przez ambasadę naszą w Pradze, z czego niestety nie skorzystano. Archiwum, mieszczące się również dawniej na II piętrze, zabrano po wywłaszczeniu zamku w 1948 r. do Znojma<sup>259</sup>. Były tam mapy i plany leśne od 1800 r. Przy zamku od północy była kaplica z kopułą i dwoma wieżami, w których były dzwony o cudnym brzmieniu. Zabrano je w czasie wojny na armaty, a potem udało mi się jeden, większy, odzyskać i umieścić z powrotem na wieży. Poświęcenie tego dzwonu, ponowne po odzyskaniu, odbyło się uroczyście w 1947 r.

---

<sup>259</sup> Znojmo, m. na Morawach.

Wiązania dachowe nad wielką salą „przodków” przypominało okręt żaglowy odwrócony dnem do góry. Był tam cały las drzew, belki grube kunsztownie związane. Pod tą salą były lochy i cysterna na wodę w razie oblężenia czerpaną przez wieżę na stoku północnym skał stojącą, połączoną mostkiem z zamkiem. W czasie wojen szwedzkich<sup>260</sup>, chcąc zdobyć zamek, próbowali Szwedzi odwrócić Taję spod zamku, skąd wodę pobierano, znać do dziś dnia zaczęty przekop, powyżej kościoła parafialnego, którym miano rzekę poprowadzić. Jednak skały były zbyt twarde, gnejs i andezyt, tak że tego zaniechano i zamku nie zdobyto.

Dojazd do zamku był od zachodu przez dwa mosty zwodzone, później sklepienie i basztę, później zniesioną, stała w miejscu tzw. „rozda”.

Droga od wschodu ze Znojna była dawniej fatalna. Stanisław Mniszech nieco ją poprawił około 1820 r., za co postawiono mu obelisk z napisem: „Obviam rupe pendentem stratam, Comiti Mniszek grati Frainenses Anno 1820”<sup>261</sup>. Obelisk ten zdaje się zburzono, by nie przypominał, że i właściciele zasługiwali niekiedy na wdzięczność. [...]

[Słów kilka] o „dworze” moich dziadostwa, zwłaszcza o Leonie Januszu. Najstarszym był Kucharski, imienia nie pomnę. Był to właściwie rezydent, mieszkał z córką, starą panną, w Krakowie w pałacu mych dziadostwa przy ul. Grodzkiej 40. Nadto był totumfackim i rodzajem sekretarza mojej babki Ludgardy z Mniszchów Stadnickiej. Bywał wzywany do Nawojowej na „ważne konferencje” dotyczące decyzji wyjazdu, czy zmiany służącej itp.

Drugim, co do wieku i godności, był Wiktor Janusz, właściwie służący osobisty mojego dziada Edwarda, do stołu nie usługiwał, gdyż to było atrybutem kredencera Józefa Popieli (*recte* Popiołka), który był właściwie zarządcą zamku z ramienia mej matki, a który w latach dziewięćdziesiątych musiał opuścić służbę wskutek nadużywania trunków. Miał pod sobą broń myśliwską po moim ojcu oraz piwnicę zawierającą wiele starych win (głównie węgierskich), najstarsze, o ile pamiętam, było z 1760 r. Zdaje mi się jednak, że jako stróż teź nie nadużył nigdy zaufania. Po nim mieliśmy kilku kredencery, ale żaden nie był już typu dawnego i żaden długo w Nawojowej nie pozostał.

Prócz powyższych było kilku służących, lokai liberyjnych, sprzątających, usługujących do stołu, świecących lampy *etc.* Wtedy oczywiście posługiwano się tylko świecami lub lampami naftowymi. Tymi służącymi byli: Jakub Frączek, Michał, brat jego; we Frainie Ludwik (Niemiec), a później przeniesiony tam Michał Frączek i jakiś czas Anton Fleischer, syn gajowego z Zaisy.

Najciekawszą postacią i najdłużej w służbie u nas pozostającym był Leon Janusz. Pochodził z Krysowic, majątku mej babki, a potem mego stryja Stanisława Stadnickiego. Objął służbę w 1860 r. jako chłopak kredensowy. Potem przeniesiony do Frainu jeszcze za życia mej prababki Heleny z Lubomirskich Stanisławowej Mniszchowej postępował w godnościach, był kredencierzem, a wreszcie zarządcą zamku we Frainie, gdzie jako taki w wieku przeszło 90 lat

<sup>260</sup> Wojna trzydziestoletnia 1618–1648.

<sup>261</sup> Drogię urwistą zastąpił szosą brukowaną – hrabiemu Mniszchowi wdzięczni mieszkańcy Vranova, rok 1820.

zmarł. Był to typ starodawnego „klucznika” i przyjaciela rodziny. Znał sześć pokoleń, dbał o zamek i jego urządzenie jak o swoje, zawsze z pękiem kluczy obchodził wszystko, pokazywał z wielkim przejęciem wszystkie stare pamiątki i zabytki: stare wspaniałe ornaty i paramenta kościelne, kaplica zamkowa była oczywiście też pod jego dozorem, porcelanę starowiedeńską i fraińską, brązy i srebra rodzinne, także depozyty Krasińskich po Franciszce Krasińskiej<sup>262</sup>, żonie królewicza saskiego, które niestety potem odesłane do Muzeum Krasińskich w Warszawie przepadły podczas powstania w 1944 r.

Leon Janusz miał pod sobą również pasiekę i winnicę, wyrabiał wina wcale niezłe, kwaskowate, przypominające wina austriackie. Gdy zmarł w 1935 r., przyjęliśmy na jego miejsce Alojza Necasa, który do końca naszego władania – i długo potem pod rządami państwa czeskiego – funkcję zarządcy zamku pełnił, w uczciwości i przywiązaniu do naszej rodziny swemu poprzednikowi nie ustępował. Michał Frączek jako nasz służący też pełnił we Frainie służbę aż do swej śmierci, która nastąpiła w 1934 czy 1935 r. Cześć pamięci wszystkich tych wiernych i oddanych nam ludzi.

Wiele innych też wiernych i oddanych ludzi mógłbym wspomnieć, a m.in. Antona Michelfeita, pochodzącego ze Znojma, który od 1924 r. do końca, to jest do 1943 r., był u nas w służbie w Nawojowej, oraz Stefkę Siatkowską<sup>263</sup>. [...]

Było to w czasie wielkiego nasilenia emigracji do Stanów Zjednoczonych i Kanady, około 1906 r. Specjalnie na ludność łemkowską z okolic górskich wywierały różne towarzystwa emigracyjne wielki nacisk, obiecując im tam „za morzem” złote góry. Wracając raz konno z lasu spotkałem przed chatą we wsi Roztoka Mała (pow. sądecki) gospodarza Akima Zawieracza, stałego robotnika leśnego zajętego przy rąbaniu buków na opał w lasach do mnie należących, widocznych z dala. Słyszając, że z tej wioski dużo ludzi do Ameryki wyjechało, m.in. brat tegoż Akima, zapytałem go, czy się tam nie wybiera? Odpowiedź Akima Zawieracza, wskazującego ręką na lasy moje, była: „To moja Ameryka, ja u Was zarobił więcej jak trzy tysiące guldenów, po co mi do Ameryki jechać?” Kwota ta równała się mniej więcej dwu tysiącom dolarów. Odpowiedź ta tak mnie ucieszyła, że do dziś jej nie zapomniałem, była bowiem pośrednim stwierdzeniem, że swoich pracowników nie krzywdziłem. Trzeba zaznaczyć, że kwota ta przedstawiała, zwłaszcza dla skromnego mieszkańca gór, Łemka, majątek. Za tę kwotę mógł kupić 10 morgów pola, względnie 10 do 20 krów. Jeden chłop z Szlachtowej, także Łemek, który dopiero co powrócił był z Ameryki, zapytany przeze mnie, czy dobrze zarobił i czy jest zadowolony, powiedział: „Płacą tam dobrze, ale każą zdrowiem za tę płacę płacić, gdybym tak pracował u nas jak tam pracować się musi, to zarobiłbym nie o wiele mniej”. Nie wrócił już do Ameryki, lecz pracował pilnie u mnie aż do śmierci i sądzę, że nie żałował tego. [...]

<sup>262</sup> Franciszka Krasińska (1742–1796), morganatyczna żona królewicza Karola Wettina (1733–1796).

<sup>263</sup> Uzupełnienie opisu pałacu w Nawojowej: Stefania Siatkowska, *Kartki z pamiętnika 1915–1917*, rkps.

Krakowska Akademia Umiejętności<sup>264</sup> była, w spadku po Józefie Szalayu<sup>265</sup>, właścicielką Zakładu Zdrojowego w Szczawnicy. Ten legat sprawiał Akademii wiele kłopotów i przykrości. Zakład był zaniedbany, gdyż mimo że Akademia dysponowała wieloma dobrami, była statutowo ograniczona w dysponowaniu dochodami, mogąc przeznaczać na dany obiekt jedynie wpływy z tego a nie innego obiektu płynące. Zakład Szczawnicki był wdzierżawiony: „górny” Feliksowi Wiśniewskiemu, a „dolny” dr. Kołaczkowskiemu. Dzierżawcy, jak to zwykle bywa, dbali o swoje prywatne interesy, pościel, część mebli i urządzenia sanitarne były ich własnością, czynsze dzierżawne wpływając do Akademii wynosiły około 25.000 koron. To nie wystarczało na konieczne inwestycje, wskutek czego Zakład był zaniedbany, a Akademia narażona na zarzuty (po części słuszne) tak ze strony władz nadzorczych, jak i społeczeństwa, że Szczawnica podupada. Wobec tego stanu rzeczy szukała Akademia nabywcy na Zakład Zdrojowy, gdy zdarzyło się, że w 1907 r. nabyłem lasy szczawnickie, dawniej też do Szalaya należące, od hrabiny Idy Lasockiej część, a od firmy węgierskiej „Gasz i Szanto”<sup>266</sup> resztę [...], wprawdzie w stanie dość zniszczonym, gdyż ci Żydzi węgierscy starali się wyciągnąć z tych lasów co się tylko dało. To skłoniło Akademię do zwrócenia się do mnie z propozycją nabycia także Zakładu Zdrojowego, by znów wszystko w jednych rękach połączyć, co kiedyś było szalajowskie. Wówczas mimo mej niechęci i obawy puszczania się na nieznaną mi dotąd przemysł zdrojowy, namówiony przez niektórych przyjaciół (m.in. pełnomocnika mego pana Jana Manieckiego, czy z jego strony bezinteresownie – nie wiem). Zdecydowałem się na wniesienie oferty, głównie pod wpływem obawy, by Szczawnicy nie nabyła spółka żydowsko-węgierska, która podobno na ten interes reflektowała.

Tak prezes Akademii prof. Stanisław Tarnowski<sup>267</sup>, jak sekretarz generalny prof. Bolesław Ulanowski<sup>268</sup>, nie szczędzili trudu i zabiegów, by mnie skłonić do podniesienia pierwotnej mojej oferty – 450.000 kor. do sumy 490.000 kor., co wynosiło mniej więcej 100.000 dolarów. Rodzina moja, zwłaszcza wuj i dawny opiekun mój, Władysław Sapieha, byli temu kupnu przeciwni i ostrzegali mnie przed trudnościami. Ja jednak byłem młody, paliłem się do pracy społecznej i podnoszenia kraju pod każdym względem, widziałem przyszłość różowo, a nie wątpiłem, że czynniki miarodajne, rząd centralny i krajowy, będą pomocne w podniesieniu zdrojowiska służącego użyteczności publicznej. Istniał już projekt budowy kolei z Sącza do Nowego Targu, wzdłuż Dunajca, co było w ówczesnych czasach jedynym sposobem udostępnienia i podniesienia okolicy i Zakładu Zdrojowego, do którego trzeba było jechać końmi ze Starego Sącza lub z Nowego Targu. I tak mimo przestrogi i obawy do podpisania kontraktu doszło w lecie 1909 r.

<sup>264</sup> Akademia Umiejętności w Krakowie (1873–1918).

<sup>265</sup> Józef Szalay (1802–1876), twórca i właściciel uzdrowiska Szczawnica.

<sup>266</sup> Firma węgierska zajmująca się nieruchomościami.

<sup>267</sup> Stanisław Tarnowski (1837–1917), historyk lit., prof. UJ.

<sup>268</sup> Bolesław Ulanowski (1860–1919), historyk, prawnik, prof. UJ.

Kolej ta już była wytyczona i miałem wszelkie zapewnienia rządu, że w 1914 r. budowa będzie rozpoczęta, a do trzech lat ukończona.

Wybuch wojny I światowej obrócił tę nadzieję w perzynę. A inne nadzieje pomocy i współdziałania władz też zawiodły.

Niestety, sprawdzili się pesymistyczne przewidywania, gdyż przez trzydzieści lat pracy i wysiłków moich nad podniesieniem Zakładu nie mogłem się doprosić, po zakończeniu I wojny, ani budowy kolei, ani budowy drogi do Piwnicznej, tak ważnej dla Szczawnicy, jak to się okazało podczas powodzi w 1934 r., gdy Szczawnica była odcięta od świata wskutek zburzenia drogi nad Dunajcem i wszystkich mostów. Ani wykonania planu regulacyjnego opartego o „drogę okrężną”, udostępniającą południowe stoki Bryjarki<sup>269</sup> dla rozbudowy Szczawnicy, ani wodociągów, ani kanalizacji, na co plany za moim staraniem zostały wykonane przez inżynierów Wydziału Krajowego inż. Kornellę i inż. Jakubika.

Natomiast szkalowano mnie w prasie i stawiano kłamliwe zarzuty, że ciągnę ze Szczawnicy olbrzymie zyski z wysyłki wód, a nie inwestuję.

Objąłem Zakład w stanie opłakanym. Wszystkie budynki zniszczone, urządzenia przez dzierżawców zabrane lub zniszczone. Po kupnie pokryliśmy najpierw dachy blachą lub dachówką, budynków zakładowych było wówczas 17 czy 18, sprawiliśmy nowe meble, naczynia i pościel do kilkunastu willi. W 1911 r. zalesiło się „Połoniny” modrzewiem, tworząc nowy park, w 1912 r. ujęło się źródła i przeprowadziło analizy wód przez inż. Morawskiego i Malarskiego pod nadzorem prof. Leona Marchlewskiego<sup>270</sup>. Dokupiłem kilka nieruchomości ważnych dla rozrostu Zakładu, a to „Ukrainkę”, później zwaną „Danusią”, „Janinę” obok tamtej, rozebraną podczas okupacji, „Litwinkę” i „Warszawiankę”, które po przebudowaniu na system korytarzowy i połączeniu ich wspólną klatką schodową tworzyły „Pensjonat Zdrojowy”, a obecnie służą za siedzibę biur dyrekcji Zakładu Zdrojowego. Karczmę przeistoczyłem w ochronkę „Na Skałce”. Równocześnie pozbyłem [się] kilku obiektów na peryferiach Zakładu, celem uzyskania funduszy na najważniejsze wkłady. A to na próbne wiercenia w myśl wskazówek ródźdzkarza Grewego<sup>271</sup>, na nowe ujęcia zdrojów „Józefiny” i „Stefana” i urządzenie nowożytnej pijalni tych wód do dziś służącej bez zmian, systemem Kothnego, który te same inwestycje wykonał w Krynicy i stamtąd był mi polecony. Najważniejszą inwestycję wykonaliśmy pod światłą dyrekcją Adama Woronieckiego, a z inicjatywy mej żony w latach 1934–1936, to inhalatorium z komorami pneumatycznymi, jedynymi w Polsce, o którym to inhalatorium niemiecka komisja lekarska z Generalnego Gubernatorstwa<sup>272</sup> w 1943 r. orzekła, że jest jednym z najlepszych w Europie. Gdy naczelny lekarz z GG, widząc, że wszystko jest przygotowane tak jakby był i pełny sezon, inhalatorzy przy gotowych do obsługi aparatach, zapytał, jak to jest możliwe, mimo że zakład był

<sup>269</sup> Bryjarka, pld. stok Szczawnicy.

<sup>270</sup> Leon Paweł Marchlewski (1869–1946), chemik, prof. UJ.

<sup>271</sup> Otto Grewes, geolog-ródźdzkarz.

<sup>272</sup> Jednostka administracyjno-terytorialna utworzona na podstawie dekretu Adolfa Hitlera z 12 X 1939 r.

nieczynny na skutek zarządzenia władz okupacyjnych? Odpowiedziałem: że jak inni lubią grać w karty, trzymać konie wyścigowe lub jeździć do Monte Carlo, to ja uważam za mój najmilszy sport i obowiązek utrzymanie Zakładu Zdrojowego w stanie wzorowej gotowości, tak by mógł być w każdej chwili uruchomiony i służyć społeczeństwu potrzebującemu poratowania zdrowia. Odtąd złagodzo- no nieco możliwość dostępu do Szczawnicy. Prócz tego urządziliśmy wzoro- wy zakład hydropatyczny w willi „Pod Bogarodnicą” [...]. Dalej zbudowaliśmy wspólnie ze Świeżawskimi<sup>273</sup> willę „Pod Modrzewiami”, służącą jako jedyne sanatorium dla astmatyków (willa ta była wianem Marysi). Według słów dy- rektora dr. Kuklińskiego<sup>274</sup>: „Zakład jedzie dotychczas tylko tym co Pan nam pozostawił”. A górale dodają, że „od czasu przejścia ode mnie Zakładu nawet gwoździa nie wbito, owszem jeszcze i niejedne powyciągano”.

Jako posłowi na sejm (1928–1930) udało mi się przeprowadzić kosztem Państwa zasklepienie potoku Szczawego, zbiornika ścieków. Zaznaczam, że całe urządzenie wewnętrzne inhalatorium i „Modrzewi”, a to parkiety, drzwi, okna i meble wykonane zostały przez naszą stolarnię w Nawojowej.

Poszukiwanie nowych źródeł mogliśmy przeprowadzać jedynie na własnych terenach, niestety pozostało to mimo kosztów bez wyniku. Przy ujmowaniu źró- deł postępowało się w myśl wskazań Kothnego, bardzo ostrożnie, by cennych zdrojów nie zatracić i nie dopuścić do nich wód zaskórnych. Po przejściu przez Państwo tych ostrożności nie przestrzegano i źródło „Józefiny” stracono, względ- nie rozwodniono. Badania nad składem chemicznym zdrojów i wahaniem na- silenia składników mineralnych zależnie od pogody, ciśnienia barometryczne- go prowadził podczas okupacji prof. dr Stefan Dąbrowski<sup>275</sup>, który też napisał o tym pracę naukową.

Pracy mojej i wkładów przewyższających znacznie przychody Zakładu Zdrojowego, a czerpanych przeważnie z gospodarstwa leśnego niedoceniano! Trudno, na uznanie współobywateli prawie nigdy liczyć nie można, zwłaszcza gdy się jest członkiem kasty „uprzywilejowanej”. Stwierdzam jednak z całym poczuciem odpowiedzialności wobec społeczeństwa i moich potomków, że obo- wiązki swoje tak w odniesieniu do Zakładu Zdrojowego, jak i całego mego ma- jątku spełniałem zawsze sumiennie, starając się w każdym dziale gospodarzyć wzorowo, a współpracowników nigdy nie krzywdzić. Co do szczegółów odsy- łam do pracy dr. Januarego Tretera, dotyczącej historii Szczawnicy za czasów mego władania, a sporządzonej na podstawie aktów i dokumentów. Najwięk- szym błędem mego życia było nabycie Zakładu Zdrojowego, zamiast ograniczyć się do prowadzenia gospodarstwa w umiłowanych lasach. Nadwyżki ewentu- alne należało lokować tak, by przetrwały i służyły potomności, a nie topić ich w Zakładzie Szczawnickim.

<sup>273</sup> Maria i Stefan Świeżawscy.

<sup>274</sup> Paweł Kukliński (1920–2004), lekarz, dyrektor Państwowego Przedsiębiorstwa Uzdrawisko Szczawnica.

<sup>275</sup> Stefan Dąbrowski (1877–1947), prof. Uniwersytetu Poznańskiego.



Zaraz po nabyciu Zakładu przeprowadziłem nowe ujęcie zdrojów „Józefiny”, „Stefana” i „Wandy” oraz analizę wód. Prace te wykonali inżynierowie Morawski i Malarski pod kierownictwem prof. Leona Marchlewskiego. Około 1930 r. urządzono nową pijalnię wód „Józefiny” i „Stefana”, co po dziś dzień bez zmian służy. Z tą jednak zmianą, że mimo zasady i przestróg udzielanych przez fachowców (Kothnego), już po wywłaszczeniu państwowy zarząd wykonał jakieś ziemne roboty i źródło „Józefiny” zatracił, tak iż dziś nie ma go w handlu, a zastępowany bywa inną wodą nie tyle silną, jaką była niezastąpiona słona „Józefina”. Urządzenie do butelkowania wód ze zdrojów „Józefiny” i „Stefana” również było wykonane przez firmę Kothny około 1930 r. na wzór robót, które ten instalator sławny wykonał w Krynicy.

Przeprowadziłem poszukiwania i wiercenia za nowymi źródłami na „Miodziusi”, niestety bez rezultatu, ale ze znacznym kosztem. Trudnością wielką było, że jako właściciel nieznacznego tylko obszaru w samym uzdrowisku, byłem ograniczony do poszukiwania nowych źródeł na swoich własnych gruntach. Obecnie państwo może i poszukuje nowych zdrojów poza terenem właściwego zdrojowiska, podobno z dobrymi wynikami w potoku Skotnickim, a wiercenia głębokie „Na Miodzisiu”, tam gdzie różdżkarz Grewe już wskazywał w latach trzydziestych, mają podobno dać ciepłe źródła mineralne. Daj Boże szczęście.

Ujęcie źródeł w 1930 r. i urządzenie pijalni kosztowało około 50.000 zł w złocie, a inhalatorium około 400.000 zł. Zaznaczam, że całe urządzenie wewnętrzne, tak inhalatorium jak „Modrzewi”, a więc posadzki, drzewi, okna i całe umeblowanie było wykonane przez naszą stolarnię przy tartaku w Nawojowej. Komory pneumatyczne, jedyne w Polsce, oraz wszystkie aparaty inhalacyjne były dostarczone i zamontowane przez firmę „Inhabad” w Berlinie. Mimo że w Zakład Szczawnicki zainwestowałem, prócz wszystkich dochodów z tego zakładu, także znaczne sumy z dochodów reszty mojego majątku (lasów), w sumie około 1.600.000 zł przedwojennych, spotykały mnie stale niesłuszne zarzuty, że Szczawnicę eksploatuję rabunkowo, że olbrzymie dochody z niej ciągnę i inne tym podobne kłamstwa. Dla ilustracji mogą posłużyć niektóre artykuły z gazet, które posiadam. No trudno, na uznanie współbliźnich i społeczeństwa liczyć nigdy nie można, a zawiść i zakłamanie zawsze panowały i szkodziły prawdziwej pracy i inicjatywie. Tyle wiem i zaręczam moim potomkom, że obowiązek obywatelski jako Polak, tak odnośnie Zakładu Zdrojowego w Szczawnicy, jak i całego mego majątku leśnego, spełniałem zawsze sumiennie, a po konfiskacie wszystkiego, co posiadałem, wyszedłem bez grosza. Nawet ustawowo przewidzianego odszkodowania za przejęty Zakład Zdrojowy nie otrzymałem.

Największym błędem życia mego było, że Zakład Zdrojowy kupiłem. Należało ograniczyć się do gospodarstwa leśnego i tylko temu umiłowanemu zawodowi się poświęcić, a ewentualnie nadwyżki zamiast pchać w Szczawnicę, lokować inaczej, np. kupić willę w Zakopanem lub w Krynicy, dom w Krakowie

itp. Może byłoby mi coś pozostało na starość dla mnie i dzieci. „Mądry Polak po szkodzie”.

Jeszcze o sprawie nabycia Zakładu w Szczawnicy słów parę dodaję, niezależnie od obszernego opisu Zakładu przez pana Tretera, na podstawie dokumentów sporządzonego, a integralną część tych wspomnień stanowiącego. W 1909 r. namówiony przez Manieckiego, mego byłego administratora majątku nawojowskiego, człowieka prostego, samouka, ale zacnego, a doskonałego praktyka, nabyłem Zakład Zdrojowy w Szczawnicy. Nie byłbym nigdy zdecydował się na to kupno, gdyby nie wiadomość zakomunikowana mi przez tegoż Manieckiego, że utworzyło się konsorcjum węgiersko-żydowskie w celu nabycia i eksploatacji Szczawnicy. To mnie dopiero skłoniło do wniesienia oferty, by tę cudną „perłę” polską uratować przed obcymi nabywcami, a ludność góralską, tak sympatyczną, uchronić przed wyzyskiem i demoralizacją. Na sprzedaży zależało Akademii Umiejętności, kierowanej wówczas przez sekretarza generalnego profesora Ulanowskiego, była bowiem wprawdzie właścicielką wielu majątków, legowanych na różne cele, nie dysponowała jednak wolnymi kapitałami i nie mogła wskutek tego inwestować koniecznych funduszy w Szczawnicę znajdującą się w fatalnym stanie wskutek rabunkowej gospodarki dzierżawców (Wiśniewskiego i Kołaczekowskiego), którzy byli właścicielami całego ruchomego urządzania willi i zakładów leczniczych. Dachy wszystkie gonciane przeciekały. Inhalatorium prymitywne w willi „Pod Bogarodzicą”, zresztą będące własnością prywatną Janochów. Łazienki drewniane brudne, nazywane (słusznie) „mykwą”<sup>276</sup> żydowską, w budach drewnianych mieszczące się! Eksploatację źródeł mineralnych prowadzili dzierżawcy na własny rachunek. Czynnosc ogólny od obu dzierżawców wynosił rocznie coś 5000 koron. Krytyka ciągnęła Akademię z powodu zaniedbania Zakładu Szczawnickiego, tak w prasie jak w sejmie, a wreszcie fakt, że ja byłem już od 1907 r. właścicielem całego byłego dziedzictwa Szalaya, skłoniło Akademię do powzięcia decyzji sprzedania mi Zakładu.

Kupno to przyszło do skutku, gdyż byłem młody (lat 27), paliłem się do pracy w celu podniesienia kultury i dobrobytu kraju i okolicy, wpływ Władysława Zamoyskiego, który z tych samych pobudek był nabył kilka lat wcześniej zniszczone lasy zakopiańskie. Widziałem przyszłość różowo, a nie wątpiłem, że czynniki miarodajne w pracy koło podniesienia uzdrowiska, służącego użyteczności publicznej, będą pomocne i pracę mi ułatwią. Niestety pesymistyczne przestrogi wuja Władysława Sapiehy sprawdziły się. Przez przeszło 30 lat nie mogłem doprosić się ani budowy kolei, wytrasowana była w 1914 r., wybuch wojny wszystko wstrzymał, ani drogi do Piwnicznej, ani zatwierdzenia i wykonania planu regulacyjnego, sporządzonego moim kosztem przez inżynierów Wydziału Krajowego Kornellę i Jakubika, ani wodociągów, ani kanalizacji, ani elektrycznego oświetlenia. Zaraz po kupnie wyremontowano wszystkie wille, sprawiono meble, pościel i porcelanę. Dokupiłem wiele obiektów, jak „Ukrainkę”, później nazwaną

<sup>276</sup> Mykwa (hebr. *mikwa*), rytualna łaźnia żydowska.

„Danusia”, „Janinę”, rozebraną na rozkaz okupanta, „Litwinkę” i „Warszawiankę”, przebudowane przeze mnie jako „Pensjonat Zdrojowy”, mieszczące obecnie biura dyrekcji, „Helenę”, będącą prywatną własnością dzierżawcy Wiśniewskiego. Dokupiłem „Połoniny”, na których w 1911 r. zasadziłem lasek modrzewiowy, z którego powstał nowy park. W willi „Pod Bogarodzącą” urządziłem hydroterapię i łazienki. Nabyliśmy z żoną ogród od pani Lasockiej, gdzie założyliśmy piękny sad, obecnie parcelę tę (2 hektary) posiadają „Hutnicy”, którzy tam wystawili szpecący Szczawnicę „drapacz chmur”, trzynastopiętrowy. Mimo że mieli dosyć miejsca do rozbudowy wszerz. Na tej parceli zamierzałem postawić piękny „dom zdrojowy”, którego fundamenta, według planów architekta Mączyńskiego z Krakowa już były założone. Prócz pracy własnej włożyłem w Szczawnicę z dochodów z lasów, osobiście przyciągając pasa, sumy znaczne, bo wraz z byłym dochodem ze zdrojowiska około 1.600.000 zł, Główną inwestycją było otwarte w 1936 r. inhalatorium z komorami pneumatycznymi<sup>277</sup>. [...]

Prócz Niechanowa znałem w Poznańskim Godurów Żółtowskich, Krajevice, Neklę Zygmunta Żółtowskiego, wszędzie tam bywałem na polowaniach. W Nekli<sup>278</sup> świetnie bawiliśmy się, bo była pani z Czapskich Ponińska z córkami: Ireną, późniejszą Konstantową Bnińską i Teresą, potem Sewerynową Dolańską. W 1906 r. zaproponowali mi Zygmuntownie Żółtowscy wspólną wycieczkę do ich majątku Petris<sup>279</sup> położonego w południowym Siedmiogrodzie. Punkt zborny był w Budapeszcie. Miała być pani Ponińska z córkami, zdawało mi się, że było to uplanowane, by mnie do którejś z tych panien zbliżyć, przyznam, że starsza, późniejsza Bnińska, bardzo mi się podobała. Nie wiem z jakiego powodu te panie nie przyjechały. Wycieczka parowcem Dunajem przez Mohacz, Belgrad do Orszowy była wspaniała. Wśród stad przeróżnego ptactwa wodnego płynęło się jak w bajce na luksusowym statku. Z Orszowy zwiedziliśmy turecką osadę na wyspie Ada Kaleh, a potem przez Herkulesbad (Herkulesfüred), Arad, Temeszwar, Maria Radna pojechalśmy do Petris, gdzie jako leśnik miałem ocenić lasy tamtejsze. Po paru dniach przyjechał także Kazimierz Lubomirski i [z] nim razem oceniliśmy te lasy negatywnie, co zapewne skłoniło Zygmunta Żółtowskiego do ich sprzedaży. Z Petris pojechałem z Kazimierzem Lubomirskim do Nagy Halmagy, gdzie interesował się jakimś interesem leśno-drzewnym, a że na lasach bukowych się nie znał, zaprosił mnie jako „fachowca”. Lasy te podobały mi się, ale kalkulacji nie wytrzymały wskutek wielkiej odległości. Ale wycieczka ta, gdzieśmy w wspaniałych górach Bihar nocowali w śpiworach pod gołym niebem, a słonki nad nami całą noc ciągnęły i widok ślicznych dziewcząt w pięknych strojach rumuńsko-węgierskich zostawiły mi niezatarte wrażenie.

Nie byłem nigdy „salonowcem”, bale, tańce, z mniej lub więcej nieładnymi, a często niepachnącymi pannami mnie nudziły, wolałem polowania na dziki, które część karnawałów zajmowały, a różne Wiedenki bardziej mi do gustu

<sup>277</sup> Nowoczesne urządzenia do leczenia chorób płucnych przy pomocy tlenu.

<sup>278</sup> Nekla, m. w Wielkopolsce.

<sup>279</sup> Petris, m. w Siedmiogrodzie pld.

przypadały. W czasie karnawałów w Krakowie widywałem wprawdzie różne panny, czyste i pachnące dobrym mydłem, jak księżniczka Stefa Woroniecka i jej kuzynki bliźniaczki, ale o żeniactwie nie myślałem. Byłem nadto przywiązany do swobody, wolności i zupełnej niezależności. Robiłem zawsze, co chciałem i co mi w danej chwili najwięcej przyjemności sprawiało. Nieraz może nawet zaniedbując ważne obowiązki. W 1909 r., zaproszony przez Stanisława Radziwiłła, ożenionego z Dolly Radziwiłłówną z Balic, którą jeszcze jako podlotka w 1903 r. w Balicach poznałem, będąc tam z Atilłą Naipergiem na zaproszenie ks. Dominika, pojechałem do Mańkiewicz<sup>280</sup> na łosie. Byli tam wtedy wraz ze mną: Zdzisław Tarnowski<sup>281</sup> z Dzikowa, Alfred Potocki<sup>282</sup> z Łańcuta „Fruś”, Hubert Lubomirski<sup>283</sup> z Równego i Władysław Zamoyski<sup>284</sup> z Racewa. Polując mieszkaliśmy w „budanach” (kolebach) nad rzeką Lwą, dopływem Prypeci wśród nieprzebranych lasów poleskich i stad komarów. Każdy miał swój „budan” z dobrym łóżkiem. Stasiowie Radziwiłłowie mieli największy, służący wieczorami po podchodach za salon. Podchody na łosie podczas rui wśród bagiennych lasów, nieraz po kładkach z pni zwalonych, były pasjonujące. Słyszałem łosie z daleka, ale do strzału nie doszedłem. Chodziło się zawsze z „wabiarem”, który naśladując ryk, raczej stękanie, łosia, miał go zwabić na strzał. Tarnowski i Zamoyski zabili po łosiu. Inni myśliwi podzielili mój los.

W 1910 r. namówili mnie Eustachowie Sapiehowie na jazdę na karnawał do Warszawy, zamierzali bowiem swatać mnie z kuzynką Eustachego, Wandzią Czetwertyńską, późniejszą Jędrkową Żółtowską. Tam na balu u Braniczich w pałacu na Nowym Świecie 2 II 1910 r. widziałem Wandzię. Oczywiście miała śliczne, ale zjawiła się tam też Stefa Woroniecka, która była właśnie wróciła z Belgii, gdzie Kazio, jej brat, był na uniwersytecie w Louvain. Od czasów krakowskich, gdzie ją pamiętałem jako pucułowatą nieprzystępną grubułę, raczej nieładną, zmieniła się szalenie. Zobaczyłem tu śliczną, zgrabną, elegancką pannę, pachnącą i uśmiechniętą przyjaźnie. Tańczyła jak baletnica. Za oberka tańczonego z Adamem Platerem otrzymała rześiste oklaski. Tańczyłem z nią też, choć lichy, i jedliśmy razem kolację. Wtedy pierwszy raz rozmawialiśmy poważnie o naszej przyszłości i zamiłowaniach. Zauważyłem, że odnosi się do mnie bardzo życzliwie.

Zaraz po tym balu wyjechałem na polowanie spółkowe do Turzy na dziki, byłem łowczym tej spółki, więc nie mogłem tego polowania opuścić. Tymczasem przyjechała do Lwowa do mojej matki Frania Woroniecka Michałowa z przedstawieniem, że muszę jechać do Warszawy i starać się o Stefę, której podobno w głowie zawróciłem. Dziwnym zbiegiem okoliczności, czy przeznaczeniem, matka moja będąc w Radziejowicach na ślubie Michasiów Woronieckich,

<sup>280</sup> Mańkiewiczze, posiadłość pow. Dubno.

<sup>281</sup> Zdzisław Tarnowski (1862–1937), ziemianin.

<sup>282</sup> Alfred Potocki (1886–1958), ostatni ordynat łańcucki.

<sup>283</sup> Hubert Stanisław Lubomirski (1875–1939), ziemianin.

<sup>284</sup> Władysław Zamoyski (1873–1944), ordynat.

widziała księżąt Pawłów Woronieckich, którzy z niedalekich Bielic<sup>285</sup> przyjechali tam z córeczką, która była druzną Frani Krasieńskiej, mojej siostry ciotecznej. Ta panienka jedenastoletnia, było to w 1907 r., tak się mojej matce spodobała, że powróciwszy z tego ślubu, powiedziała mi o tym, że chciałyby, by ta panienka mogła być kiedyś moją żoną!

Nie myśląc wtedy o tym dałem się namówić i z Michasiami Woronieckimi w początku marca 1910 r. pojechałem do Bielic, by bliżej poznać się z tą panienką. Z Sochaczewa zajechaliśmy staroświecką landarą przed ten niski, brzydki drewniany domek bielicki. Okolica płaska, brzydka, bezleśna nie zrobiła na mnie przychylnego wrażenia. Przed gankiem witali nas księstwo Pawłowie Woronieccy z synem i córką. Byłem na pierwszy widok mocno speszony, gdyż panna była gruba, źle uczesana, nieprzypominająca mi w niczym zjawiska z balu u Branickich. Dopiero gdyśmy weszli do przedpokoju zobaczyłem zjawisko piękne, smukłe, stojące w cieniu we drzwiach od biblioteki, zażenowaną, ale uśmiechniętą. Była to Stefa, która czy to chcąc ukryć wrażenie, czy chcąc, sama niewidoczna, zobaczyć tego, który do niej przyjechał, a o którym już dawno, jak się potem od niej dowiedziałem, myślała, jako o swoim „ideale”.

Jezdźliśmy razem konno po okolicy i tamtejszych lichych laskach, a 11 marca zaręczyliśmy się, na co matka moja uradowana ze spełnienia jej marzenia sprzed lat trzynastu, przyjechała

Wkrótce pojechaliśmy na sprawunki przedślubne z mamą Woroniecką do Wiednia, a potem w maju wszyscy razem na Podole do Jurkówki, czyli „Hołubowej”, jak się siedziba wujostwa Stefy Józefów Mańkowskich nazywała. Tam słuchając słowików siadywaliśmy w zacisznym parku ze Stefką. Stamtąd pojechaliśmy do Borówki, oczywiście końmi, czwórkami w kurzu niesłychanym, do Borówki, siedziby państwa Emeryków Mańkowskich<sup>286</sup>, patriarchów rodu, dziadostwa Stefy, by się przedstawić. Pałac w Borówce, w pięknym parku, był wspaniały, salony malowane wzorami pompejańskimi, piękny ogród zimowy, robiły po skromnych Bielicach bardzo miłe wrażenie. Zjechało się tam wtedy, by nas zobaczyć dosyć dużo członków rodziny. Byli to ludzie w porównaniu z ziemiaństwem Królestwa i Galicji, a zwłaszcza z sferami arystokratycznymi tamtych stron, grubo ciosani, bardzo zacni, ale głównie zajęci gospodarstwem, interesami, cenami zboża, kontraktami kijowskimi<sup>287</sup>, a zupełnie niezajmujący się polityką, czy sprawami społecznymi. Gdyż wszelka praca społeczna czy kulturalna była na Ziemiach Zabrzanych Polakom zakazana i niedostępna.

W Warszawie, mieszkając u Michasiów Woronieckich w ich pałacyku przy Al. Ujazdowskich, brała Stefa lekcje śpiewu u Edwarda Reszkego<sup>288</sup>, który ją na-

<sup>285</sup> Bielice, k. Sochaczewa, majątek Woronieckich.

<sup>286</sup> Emeryk Karol Mańkowski (1826–1918), magnat cukrowy na Ukrainie. Mańkowscy – największy ród szlachty polskiej na Ukrainie, rozrodzeni na Mańkowskich z Mojówki, na Mańkowskich z Sahinki i na Mańkowskich z Borówki, razem 53 rody (XIX – XX w.). Zob. A. Saryusz-Zaleska, *Niezapomniana Ukraina*, Warszawa 2007, s. 282–283.

<sup>287</sup> Kontrakty kijowskie – cykliczne zjazdy gospodarcze i kulturalne na przełomie stycznia i lutego (1798–1808). Zob. H. Ułaszyn, *Kontrakty kijowskie*, St. Petersburg 1900.

<sup>288</sup> Edward Reszke (1855–1917), wybitny artysta-śpiewak.

mawiał do występów publicznych, mówiąc, że jej głos jest wart 100 tysięcy rubli rocznie. W Sochaczewie podczas naszego pobytu jako zaręczonych, odbył się koncert amatorski, na którym Stefa śpiewała i tryumfy święciła. Po powrocie z koncertu przy zdejmowaniu płaszcza, ukradłem Stefie całusa w obnażone przez dekolt plecy, za co otrzymałem burę słowną, ale i uśmiech rozkoszny, świadczący o cichej aprobacie. Wówczas nie paliłem, ale musiałem brać papierosy dla niej, które namiętnie się zaciągając paliła, a przy rodzicach było to zakazane, paliła więc tylko ze mną na spółkę w zacisznych miejscach, za co dostawałem całuska.

Ślub nasz odbył się w Warszawie, mimo moich życzeń by był w Krakowie, gdzie [był] cały mój personel i przyjaciele małopolscy byliby mogli przybyć, ale życzeniem mamy Woronieckiej było, by córkę wydać w swojej okolicy, gdyż i aprowizacja z Bielic była ułatwiona! Ślub dawał nam ks. Skarzyński, przyjaciel rodziny, w kościele Panny Maryi na Starym Mieście. Było mnóstwo ludzi, a śniadanie poślubne świetne w Hotelu Europejskim w sali „Pompejańskiej”. Pamiętam, że była doskonała potrawka z raków, a Stefa powiedziała mi, że więcej zajmuję się tymi rakami niż nią. Mieszkaliśmy też w Hotelu Europejskim. Miałem pokój nr 52, naprzeciwko odwachu rosyjskiego, tam też spędziliśmy noc poślubną i dobrze nam było, tak że dopiero po dwóch dniach wyjechaliśmy w tzw. podróż poślubną, co było konieczne ze względu na prowadzoną w Nawojowej przebudowę pałacu i przygotowanie nam mieszkania. Było ono nie całkiem gotowe, gdyśmy po krótkim pobycie w Ostendzie, hotel „Splendid”, potem w Paryżu, „Grand-Hotel”, a wreszcie w Westende, skąd przez Aix les Bains, Szwajcarię i Wiedeń, przyjechaliśmy do Nawojowej, witani banderią, bramami tryumfalnymi i mniej lub więcej udanymi przemowami, co wszystko Stefę peszyło. Wreszcie do Nawojowej zjechaliśmy z Krakowa autem „Lorain-Dietrich”.

W Szczawnicy bawiła wtedy na kuracji babka moja Jadwiga z Sanguszków Sapieżyna, pojechaliśmy więc zaraz do niej. Pamiętam, że choć nas umieszczono w najlepszych, oczywiście, pokojach jakimi podówczas Zakład dysponował, willa „Pod Batorym”, było bardzo prymitywnie, a mimo bram tryumfalnych gryzły nas w nocy pluskwy. Taki był stan Zakładu po objęciu go od Akademii Umiejętności.

Odbywały się wtedy w Nowym Targu manewry, w których uczestniczył arcyksiążę Leopold Salvator<sup>289</sup>. Gdy się dowiedział o pobycie buni Jadzi w Szczawnicy, przyjechał tam, by złożyć jej uszanowanie. Pojechałem więc po niego moim autem. Arcyksiążę, będąc we Lwowie, mieszkał w pałacu Sapiechów, na ul. Kopernika 40, a także byli arcyksiężstwo z wizytą w Krasieczynie u dziadostwa Adamów, stąd była znajomość i pewna zażyłość. Wtedy w Krasieczynie bardzo się podobałem arcyksiężnie Blance, miałem wtedy może 8 czy 9 lat i ładne blond loki, jak na portrecie Froschla<sup>290</sup> z 1887 r. To jeszcze pamiętam. [...] <sup>291</sup>

<sup>289</sup> Arcyks. Leopold Salvator Habsburg (1863–1931).

<sup>290</sup> Carl Fröschl (1848–1934), artysta-malarz.

<sup>291</sup> Opuszczono opis przyjazdu i powitania w Nawojowej 3 VIII 1910 r. pióra Stanisława Malinowskiego, druk. w „Czasie”, 5 VIII 1910 r.

W czasie rykowiska pojechaliśmy ze Stefą do Frainu, gdzie zabiła swego pierwszego jelenia w tym samym miejscu, gdzie ja mego pierwszego w 1901 r. zabiłem. [...]

Po zimie spędzonej w Nawojowej pojechaliśmy na Wielkanoc do Bielic. W drodze, wysiadając ze sleepingu w Warszawie, Stefa zgubiła śliczny łańcuch złoty z zegarkiem i brelokami, co nas bardzo speszyło. Zaraz w poniedziałek wielkanocny musieliśmy wyjechać do Wiednia, gdyż przyszła wiadomość o śmierci tamże babci Ludki, matki mojego ojca. W Żyrdowie spotkaliśmy się z Michasiami Woronieckimi, którzy nam miejsca sypialne zatrzymali.

Po pogrzebie, który odbył się w Wiedniu do prowizorycznego grobowca, skąd później przewieziono zwłoki do Charzewic koło Krysowic, Stefa zaśląbla i poroniła pierwsze dzieciątko, córeczkę uduszoną pępowiną, stało się to w hotelu „Erzherrzogkarl”, gdzie zawsze cała rodzina zamieszkiwała podczas pobytów w Wiedniu. Wezwany za poradą ks. Marii Lubomirskiej prof. dr Halban, który bardzo troskliwie się Stefa zajął, polecił przewieźć ją do sanatorium „Löw”. Tam leżąc biedula zalewała się łzami, to znów dostawała ataków śmiechu, gdyśmy ją czymś rozweselali, myślała bowiem, że już dziecka mieć nie będzie mogła. Ale to były tylko nerwy rozdrażnione tym wypadkiem.

Po wyzdrowieniu i dowiedzeniu się od prof. Halbana, że dzieci będzie mogła mieć, ile zechce, i po załatwieniu formalności testamentowych, na mocy którego to testamentu ja zostałem właścicielem Frainu, pojechaliśmy tam z mamą i Maryką, gdzie spędziliśmy jakiś czas przed powrotem do Nawojowej. Prof. Halban asystował potem przy porodzie Helusi we Frainie 7 XI 1914 r. [...]

W 6 III 1912 r. urodziła się w Nawojowej Marysia, ten fakt przeszkodził mi w uczestniczeniu w konsekracji i ingresie wuja mego Adama Stefana Sapiehy<sup>292</sup> na biskupa krakowskiego.

W maju 1912 r. wybraliśmy się na objazd rodziny w Poznańskie. Najpierw byliśmy na ślubie Wisienki Mańkowskiej z Michałem Popielem z Wójczy, u wujostwa Stefy Waclawów Mańkowskich – ona Chłapowska Antonina, potem w Turwi u Zygmunta Chłapowskich – ona Uja, siostra cioteczna Stefy, siostra Wisienki z Brodnicy. W Turwi i pałac wspaniały i gospodarstwo pod każdym względem wzorowe. Uja (Tekla) wyszła za swego kuzyna Zygmunta Chłapowskiego po wypadku strasznym na polowaniu, gdy Zygmunt przypadkiem zastrzelił Kazia Mańkowskiego, jej brata. Stamtąd odwiedziliśmy w Kopaszewie starego pana Chłapowskiego, a potem w Rogaczewie Mieczysławów Chłapowskich, ona Potworowska. Następnie byliśmy u Kwileckich Stefanów w Jankowicach, utkwiał mi [w] pamięci śliczny pałacyk w stylu *empire*, podobny bardzo do później widzianego w Jurze francuskiej<sup>293</sup> pałacu państwa Carnot w Siam. W obu tych pałacach była hala otoczona krużgankiem na I piętrze, zupełnie jak w muzeum i Bibliotece Krasińskich na Okólniku, zniszczony niestety w czasie

<sup>292</sup> Konsekracji i ingresu ks. Adama Stefana Sapiehy dokonał 17 XII 1911 r. papież Pius X w obecności wielu Polaków, witając zebranych powiedział po polsku: „Biskup wasz będzie bardzo dobry”.

<sup>293</sup> Jura – departament we Francji pld-wsch.

bombardowania i palenia Warszawy w 1944 i 1945 r. Następnie u Franciszków Kwileckich w Dobrojewie, ona Jadwiga Lubomirska, siostra Zdzisława<sup>294</sup>, późniejszego Prezydenta Warszawy i regenta. Tam przemiłe dzieci uwijały się konno przed pałacem. Stamtąd pojechaliśmy do Łąckich w Lwówku i do Posadowa, a dalej do Oporowa Kwileckich i do Wielichowa, chwilowej rezydencji Kazimierzostwa Lubomirskich.

Jesienią tegoż roku pojechaliśmy na objazd rodzin spokrewnionych na Podole, więc znów przez Jurkówkę do Borówki, Sainki i Mańkowa, dziadostwa, względnie wujów Stefy, Mańkowskich. Potem do Sokołówki Karolów Brzozowskich, ona Zosia Krasieńska, moja siostra cioteczna, skąd odwiedziliśmy Żabokrzesz Władysławów Brzozowskich, ona Ostrowska, oraz Obodówkę państwa Michałów Sobańskich, ona Wodzicka, a wreszcie Petniczany Zdzisława Grocholskiego<sup>295</sup>, Jakuszyńce Olesia Russanowskiego, żonatego z Zońką Łubieńską, też kuzynką Stefy. Na zakończenie byliśmy w Sławucie u wuja Romana Sanguszki, brata mojej babki, który nas niezmiernie serdecznie i łaskawie przyjął, ceniąc wysoko pana Emeryka Mańkowskiego, dziadka Stefy. Wracając przez Lwów zamierzaliśmy odwiedzić moich stryjostwa Stanisławów Stadnickich w Kryśowicach, niestety jakieś interesa przeszkodziły memu stryjowi, odłożyliśmy wtedy, a podczas wojny światowej stryj zmarł w Wiedniu, a Kryśowice uległy zniszczeniu.

W maju 1913 r. urodziła się nam w Nawojowej druga „malusia” Jadzia<sup>296</sup>, była prawie uduszona za długą pępowiną, która jej się koło szyi owinęła, ale przytomność umysłu i energia akuszerki Kreisowej, która była też przy porodzie Marysi, ją uratowała. Maj tegoroczny był bardzo burzliwy i gorący, ukazała się też kometa Haleya, przepowiadano jakieś katastrofy, przyszły one jednak dopiero w 1914 r. W lecie tego roku pojechaliśmy, już jako właściciele, do Frainu, gdzie, prócz wymienionego Leona Janusza, był służący Michał Frączek pochodzący z Nawojowej, portier Hanauska, kucharka, bardzo dobra Fanny Nowak i przyjęty przed rokiem stangret Michał. [...] Do dzieci była też „biała Stefka” Ruchałówna, bona. Tego lata przyjechała do Frainu z moją matką buńcia Jadwiga Sapieżyna, Marysia półtoraroczna wręczyła jej bukiet, co jest na fotografii uwidocznione. Byli wtedy też we wrześniu we Frainie rodzice Stefy z Maryjką. Polowaliśmy na jelenie, wozili gości po okolicy korzystając z pogody i spokojnych jeszcze zupełnie czasów. [...]

Byłem też raz – z okazji 60-letniego jubileuszu panowania – na wielkiej audjencji dla Polaków w Burgu, udzielonej przez cesarza Franciszka Józefa I.

Zanim opiszę dalsze wypadki i przeżycia lat dwudziestych, muszę jeszcze powrócić do niektórych epizodów sprzed I wojny światowej i przedstawić ówczesne warunki życia, które było spokojne, beztrioskie co do przyszłości. Nikt

<sup>294</sup> Zdzisław Lubomirski (1865–1943), ziemianin, polityk, prezydent Warszawy, regent.

<sup>295</sup> Zdzisław Grocholski (1881–1968).

<sup>296</sup> Jadwiga Stadnicka (1913–2010), ż. Adama Czartoryskiego.



nie żywił żadnych obaw – zdawało się, że świat i sposób życia zmienić się nie może.

Nasz stały pobyt we Frainie (1914–1917) był przemiły, w poczuciu bezpieczeństwa – daleko od wszelkich frontów, wówczas naloty i bombardowania z powietrza były nieznanne, w dobrobycie, w warunkach absolutnej praworządności i sprawiedliwości, jakie zapewniał ustroj monarchiczno-konstytucyjny starej monarchii austro-węgierskiej, nic, jak się zdawało, zagrozić nie mogło.

Otoczeni życzliwością całej ludności od wieku żyjącej z naszą rodziną, spędziliśmy tam wśród pięknych lasów we wspaniałym zamku szczęśliwe życie rodzinne. Przemiłe nasze córeczki przychodziły na świat bez żadnych komplikacji. Gdy Stefa była w odpowiedniej kondycji, towarzyszyła mi po południu na rogacze, lub odwiedzała mnie „na froncie” w pociągach maltańskich. Kąpiele w Taji (Dyji) i pływanie z dziećmi łódką, gry w tenisa najpierw na placu miejskim, a później na własnym wśród lasu na „Gräfinwiese”<sup>297</sup>, która bywała też celem spacerów i zabaw dzieci, to były nasze stałe i miłe rozrywki.

Połowania jesienne i zimowe na drobną zwierzynę z Czartoryskimi i wujem Janem Stadnickim w czasie ich pobytu we Frainie oraz z przyjeżdżającymi często z Wiednia wujem Andrzejem Lubomirskim<sup>298</sup>, Eugeniuszem Lubomirskim<sup>299</sup>, do dziś są dla mnie miłymi wspomnieniami.

Na rykowiska jeleni, tak przed wojną jak i po niej, przyjeżdżało wielu krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy wywozili często piękne trofea. I tak gośćmi bywali: Leon, Adam i Paweł Żółtowscy, Romi i Dominik Radziwiłłowie z Balic, Eustachy Sapięha, Janek Taczanowski<sup>300</sup>, Michaś Woroniecki, teść mój Paweł Woroniecki, Kazimierz Pochwalski<sup>301</sup>, artysta malarz, opowiadający ciekawe swe przeżycia z cesarzem Franciszkiem Józefem, z sąsiadów ks. Luigi Frasso-Dentice, Gerardo i Piero Dentice di Frasso, Trauttmansdorff Fertsch i Vicki z żoną, z domu Lichtenstein, ojciec jej Lichtenstein, baron Wambolt, Christian Salm-Reiferscheid, Ali Pallavicini, poseł włoski w Wiedniu Preciosi, którego Frassowie z Kravska<sup>302</sup> przywieźli. W latach późniejszych, gdy ja na rykowisko nie przyjeżdżałem, mając lepsze jelenie i dużo zajęć w Polsce, odstąpiłem Jasiowi Gawrońskiemu<sup>303</sup>, wówczas posłowi naszemu w Wiedniu, odstrzał jeleni i używalność zamku dla niego i jego gości. Mając zobowiązania towarzyskie w kołach dyplomatów akredytowanych w Wiedniu, zaprosił m.in. w 1936 r. także niemieckiego ówczesnego ambasadora von Pappena<sup>304</sup>, który wpisał się w książkę gościnną, co posłużyło Czechom za pretekst aresztowania mnie w 1945 r. pod zarzutem, że „przygotowywałem rozbiór Czech”. W ogóle wtedy tam nie byłem i Pappena w życiu swym nie widziałem. Tak powstają plotki i zarzuty

<sup>297</sup> Łąka hrabiny.

<sup>298</sup> Andrzej Lubomirski (1862–1953), ordynat przeworski.

<sup>299</sup> Eugeniusz Karol Lubomirski de Vaux (1895–1982).

<sup>300</sup> Jan Taczanowski (1893–1959), działacz samorządowy.

<sup>301</sup> Kazimierz Pochwalski (1855–1940), malarz-portrecista.

<sup>302</sup> Kravsko, m. na Morawach.

<sup>303</sup> Jan „Jaś” Gawroński (1892–1983), dyplomata, pisarz.

<sup>304</sup> Franz von Pappen (1879–1969), polityk i dyplomata niem.

polityczne, jeżeli chodzi o usunięcie kogoś w danej chwili niewygodnego. Nie chciano mi bowiem oddać majątku po wojnie. [...]

W 1913 r. pojechałem na pogrzeb babuni Tekli z Lipkowskich Emerykowej Mańkowskiej do Borówki<sup>305</sup>, Stefa wskutek odmiennego stanu, z Jadzią, jechać nie mogła. Podróż odbyłem z Pawłem i Michałem Popielami, obydwaj żonaci byli z dwoma siostrami Mańkowskimi, córkami Waclawa i Antoniny z Chłapowskich z Brodnicy. Pamiętam wspaniały dworzec w Żmerynce<sup>306</sup> i używanie nasze na bajecznych pieczonych, a podanych jak chyba tylko w Paryżu, jarząbkach. W ogóle koleje w Rosji wtedy były niesłychanie luksusowe. Każdy wagon miał swego „prowodnika”, który dbał o podróżnych, warzył herbatę, słał łóżka i usługiwał, byli to przeważnie Polacy, którym piastowanie urzędów było wówczas zakazane.

Spotkałem się wtedy powtórnie z rodziną Stefy. Pan Emeryk, dziadek Stefy, był starszkiem niezmiernie sympatycznym, typem twardego dla siebie i innych podolskiego ziemianina. Był właścicielem kilku majątków i cukrowni, bardzo pracowity i dokładny w rachunkach, mawiał, że „trzeba rachować kopiejki”, gdyż z małych rachunków i wydatków rosną potem wielkie. Taką zapobiegliwość i dokładność nie często spotyka się wśród ziemiaństwa podolskiego. To był drugi i ostatni mój pobyt na Podolu. Żałuję, że nie skorzystałem z zaproszenia teścia mego pojechania z nim na „kontrakty kijowskie” – byłbym poznał to miasto i te ciekawe tam zebrania. Potem przyszła „Pożoga”<sup>307</sup> i całe życie i dobrobyt nie tylko ziemiaństwa, lecz całej polskości Ziem Zabrzanych się tragicznie skończyły. Dziadunia Emeryka zamordowano w 1917 r.

Nastał rok 1914. Po latach życia spokojnego, bez trosk i obaw o przyszłość, spadła na nas i na cały świat, jak grom z jasnego nieba, wieść o austriackim ultimatum do Serbii wskutek zamordowania w Sarajewie arcyksięcia<sup>308</sup>, następcy tronu i jego żony, przez spiskowca serbskiego<sup>309</sup>, a następnie o wypowiedzeniu wojny temu krajowi. Byłoby się skończyło na poskromieniu tego kraju szerzącego zawsze nienawiść do Austrii, gdyby Rosja nie była się też do wojny wnieszała, co wywołało wojnę światową, gdyż po stronie Austrii stanęły Niemcy, a po stronie Rosji, Francja i Anglia. Dla mnie było niezrozumiałe, jak mógł car rosyjski<sup>310</sup> stanąć w obronie królobójców. Ale stało się. Gdyby ci trzej cesarze, austriacki, niemiecki i rosyjski, byli przeczuli koniec, z pewnością wojny nie byliby pozwolili rozpętać. Ale stary cesarz Franciszek Józef był już zdzieciniały, a zdaje się, że we wszystkich tych państwach decydowały jakieś klikki wojskowe, a może inne mocy szatańskie, którym na zamęcie i zagładzie dawnego świata zależało. Dosyć, że wojna wybuchła w ostatnich dniach lipca i pierwszych sierpnia 1914 r. Musiałem zgłosić się do wojska. Pojechałem więc z Frainu, gdzie

<sup>305</sup> Borówka, k. Jampola, majątek Mańkowskich.

<sup>306</sup> Żmerynka, m. k. Winnicy na Ukrainie.

<sup>307</sup> Aluzja do powieści *Pożoga* Zofii Kossak-Szczuckiej.

<sup>308</sup> Arcyks. Franciszek Ferdynand (1863–1914).

<sup>309</sup> Gawriło Princip, bojowiec serbski.

<sup>310</sup> Mikołaj II Romanow, car rosyjski (1894–1918).

byliśmy z Marysią i Jadzią, do Nowego Sącza, gdzie mi powiedziano, że na razie nie jestem powołany i mam czekać, wybrałem się z powrotem do Frainu. Po drodze wszystkie pociągi były przepełnione i widziałem ogromne transporty wojska, jeszcze w pokojowych mundurach, kawaleria w czerwonych portkach, jadące na wschód z mniejszym lub większym animuszem. W Tarnowie na stacji widziałem „strzelców” naszych, organizację stworzoną przez Piłsudskiego do „walki czynnej” z Rosją. Tertil<sup>311</sup>, burmistrz Tarnowa, przemawiał gorąco do tych chłopców nieletnich, źle odzianych i jeszcze gorzej uzbrojonych, wzbudzając w nich uczucia patriotyczne. W sleepingu, do którego wsiadłem, spotkałem Agenora Gołuchowskiego<sup>312</sup>, byłego ministra spraw zagranicznych, jadącego do Wiednia. W rozmowie, która się tyczyła oczywiście wojny, powiedział, że ta może trwać najwyżej trzy miesiące, gdyż żadne państwo finansowo dłużej nie wytrzyma. Sądził, że Anglia pozostanie neutralną, a że z Rosją i Francją damy sobie radę. Powróciłem do Frainu. Zjechali tam wkrótce zaproszeni przez nas, a wypędzeni działaniami wojennymi z swych siedzib, wujostwo Witoldowie Czartoryscy<sup>313</sup> z dziećmi młodszymi, starsi chłopcy byli już w wojsku – Kazio i Włodek, dalej wujostwo Janowie Stadniccy z Wielkiej Wsi, i dużo innych, m.in. adwokat nasz Bednarski z rodziną z Krakowa, mój administrator Maniecki z córkami, Brodziński, nadleśniczy z Bilcza i in. Nadto odwiedzało nas wiele osób z Wiednia. W październiku Stefa kazała mi przywieźć z Nawojowej rzeczy zimowe oraz potrzebne do porodu, a na moją obietnicę, że wojna się przedtem skończy, powiedziała mi: „Jak się to trzecie będzie rodzić – to Moskale będą w Nawojowej”. Jej proroctwo się spełniło, a nie Gołuchowskiego. Helusia urodziła się we Frainie w asyście prof. Halbana i akuszerki Klimek 7 XI, 12 XI weszli Moskale do Nawojowej. Tamta wojna była prowadzona jeszcze po rycersku. Walczyły ze sobą armie, a z ludnością obchodzono się względnie dobrze, toteż pomimo, że nas w domu nie było i że prawie niczego nie wywieźliśmy, nic nie zginęło, poza jedną parą moich wysokich butów, które oficer kozacki wziął, mówiąc do pana Stormkego, ówczesnego naszego głównego księgowego: „Może Graf nie będzie się gniewał o to”. Przed ofensywą „gorlicką” w końcu kwietnia 1915 r. kwaterowali oficerowie niemieccy w zamku w Nawojowej, jedli w sali jadalnej na naszej porcelanie i srebrze i też nic nie zginęło, a po roku czy dwóch, miałem w związku z tym ciekawe spotkanie w oddziale niemieckim ministerstwa wojny w Wiedniu [...]. Aby się uchronić przed służbą frontową – do czego byłbym zmuszony w razie zaasenterowania<sup>314</sup>, zapisałem się, za poradą sąsiada i przyjaciela ks. Toniego Khevenhüllera<sup>315</sup>, do Zakonu Kawalerów Maltańskich<sup>316</sup>, wpłacając pewną kwotę na cele humanitarne tego zakonu, co mi zapewniło stanowisko subkomendanta pociągu szpitalnego maltańskiego. Zamiast

<sup>311</sup> Tadeusz Tertil (1864–1925), prawnik, długoletni burmistrz Tarnowa, poseł do Rady Państwa w Wiedniu i Sejmu Krajowego Galicji, członek Polskiej Komisji Likwidacyjnej.

<sup>312</sup> Agenor Gołuchowski (1849–1921), dyplomata austr., 1895–1906 min. spraw zagranicznych Austro-Węgier.

<sup>313</sup> Witold Czartoryski (1864–1945) i Jadwiga Czartoryska (1867–1941).

<sup>314</sup> Asenterunek, przymusowy pobór do wojska austriackiego.

<sup>315</sup> Antoni Khevenhüller, arystokrata austr.

<sup>316</sup> Joannici, kawalerowie maltańscy, zakon rycerski (1530–1798), od 1913 r. podlegają Watykanowi.

mordować współbraci, Polacy byli bowiem we wszystkich armiach, albo dostać samemu kulę, wołałem uczestniczyć w tej służbie przynoszącej bądź co bądź – zamiast śmierci, ulgę w cierpieniach setkom tysięcy ludzi. Tymi pociągami maltańskimi jeździłem przez dwa lata na wszystkie fronty, od Brodów, Maniewicz, Czerniowiec po Mattarello, Trydent, Pergine, Nabresinę, jednym słowem po całej ówczesnej monarchii, wracając zawsze co parę tygodni do Frainu, do rodzinki i krewnych. Raz Stefa dojechała do mnie do Miskolca, i wtedy pojechaliliśmy pociągiem maltańskim<sup>317</sup> z Klemensem Metternichem<sup>318</sup> i jego żoną, Silvą, późniejszą Władysławową Skrzyńską<sup>319</sup>, do Nowego Sącza i Nawojowej. Było to zaraz po ofensywie w maju 1915 r. Wtedy już było cicho, ale przedtem w Nawojowej było słyhać bez ustanku huk armat spod Gorlic.

Muszę powrócić do zdarzeń roku 1914/1915, które niestety tylko częściowo sam przeżyłem, ale powtarzam opowiadania, które na gorąco słyszałem. Otóż w październiku 1914 r. pojechałem do Nawojowej, jeszcze jako cywil. Wobec tego, że kwatera główna austro-węgierska była wtedy w Sączu, kursował bardzo dobry pociąg pospieszny bezpośredni między Wiedniem a Nowym Sączem przez Pressburg (Bratysławę), Żylinę, Nowy Targ, Chabówkę, więc bardzo szybko i wygodnie jechałem. W Nawojowej było zupełnie cicho, spokojnie, przy cudnej pogodzie kopaliśmy ziemniaki, jeździłem konno po polach i Trzycierzu na starej „Gamie”, świetnej wierzchówce półkrwi, darowanej mi przez dziadzię Adama jeszcze w 1896 r. Ledwo wróciłem i 7 XI Helusia się urodziła, przyszły groźne wieści o olbrzymich siłach rosyjskich („*Die Dampfwalze*”)<sup>320</sup>, prących na zachód. Nawojowa została też zajęta, wyobrażaliśmy sobie, że już domu nigdy nie zobaczymy. Tymczasem skutek walk pod Marcinkowicami i Limanową, a naporu armii węgierskiej pod gen. Szurmayem<sup>321</sup>, Moskale wycofali się. Artyleria austriacko-węgierska ostrzeliwała Nawojową z Frycowej, a rosyjska stała zasłonięta zamkiem i parkiem w „dolinach” pod Trzycierzem. Nastąpiła wtedy wielka mgła, pod której osłoną Rosjanie wycofali się 12 XII. Dowódca artylerii austriackiej opowiadał moim urzędnikom Kozłowskiemu czy Sztormkemu, że gdyby nie byli ustąpili, byłby zbombardował wieżę pałacową, bo był przekonany, że tam był punkt obserwacyjny artylerii rosyjskiej. Na szczęście obeszło się bez tego. Tylko komin od tartaku dostał trzy granaty, które go jednak nie zwały, a w pałacu tylko kilka szyb wybiły kulki karabinowe. Siostry dominikanki opowiadały nam później, że widziano podobno w czasie bitwy Matkę Boską zasłaniającą płaszczem Nawojową, co ją ocaliło tym płaszczem, była właśnie ta mgła, może przez Pannę Najświętszą zesłana, bo kościół w Nawojowej jest pod wezwaniem Nawiedzenia N.M. Panny. W marcu 1915 r. byłem znów w Nawojowej, polowaliśmy na dziki przy akompaniamencie huku odległego dział cięż-

<sup>317</sup> Pociąg maltański (sanitarny).

<sup>318</sup> Klemens Metternich, arystokrata austriacki.

<sup>319</sup> Władysław Skrzyński, prawnik, dyplomata.

<sup>320</sup> Walec parowy.

<sup>321</sup> Sándor Szuramy (1860–1945), generał, dowódca wojsk austro-węgierskich pod Nawojową, późniejszy minister obrony Węgier.

kich spod Gorlic, gdzie się wówczas front ustalił na kilka miesięcy. Odwiedził mnie wtedy w Nawojowej mój kolega chyrowski, a potem leśniczy w Szlachtowej, Józef Bielecki, pełniący wtedy służbę jako oficer artylerii pod gen. Rozwadowskim<sup>322</sup>. Przyjechał konno wprost z frontu przez góry. Spotkałem też wtedy w Sączu Olesia Skrzyńskiego<sup>323</sup> z Zagórzeń, kolegę z Monachium w mundurze wachmistrza ułanów, wstąpił jako ochotnik i był przy gen. Rozwadowskim. Był przy całej swej flegmatyczności bardzo odważny, miał odznaczenie najwyższe za odwagę (*die grosse silberne Medaille*)<sup>324</sup>.

W czasie służby w pociągach maltańskich wieźliśmy we wrześniu 1915 r. duży transport rannych z Brodów i Lwowa na Węgry. W Sądowej Wiszni doczepiono nam też kilka wagonów koni z tamtejszej stadniny. Jechaliśmy przez Przemysł na Zagórze – Łupków do Mezölaborcz<sup>325</sup>. Deszcz mżył, była 9 godz. wieczór. Siedzieliśmy, rozmawiając po kolacji w naszym wagonie jadalnym: Wambolt, komendant pociągu „E”, ojciec Weber, benedyktyn, kapelan i dwaj lekarze. Zjeżdżaliśmy wolno łagodną serpentyną z Karpat ku Węgrom. Wtem silne uderzenie, wstrząs i sygnały alarmowe lokomotyw. Wypadamy na platformę wagonu, a tu na tyle naszego pociągu widzimy morze płomieni, słupy ognia czerwone, żółte buchają w górę i na boki, wydając ryk niesamowity. Te płomienie – „Stichflammen”<sup>326</sup> – wydające ten ryk, szum pary, świst lokomotyw, krzyki ludzi, kwik i rzenie przerażonych koni, a przy tym wystrzały, jakby salwy karabinowe. Nikt nie wie, co się stało, niektórzy myślą, że to napad nieprzyjaciela, jednym słowem dantejskie piekło. Przy świetle pożaru widać tylko trzy lokomotywy, kilkanaście wagonów spiętrzonych na sobie lub rozbitych albo wbitych w siebie, a pod tym wszystkim płynie palący się potok, jakby lawy z wulkanu. Po stoku góry, której zboczem prowadził łagodnym łukiem tor kolejowy, płyną także potoki płonące, a przed nimi i obok nich katulają się<sup>327</sup> ludzie w panicznej ucieczce przed ogniem i śmiercią. Za naszym właściwym pociągiem maltańskim, w którym byli ciężko ranni, leżący chorzy, było kilka wagonów z lżej rannymi żołnierzami, tak austriackimi jak rosyjskimi, a wreszcie te wagony z końmi. Ja z Ojcem Weberem i ślusarzem pociągu próbujemy otwierać względnie rozrywać ściany wagonów, z których dobywają się jęki i krzyki o ratunek tam zamkniętych, daremnie. Potok płynący po torach między szynami sięga nam już wyżej kostek, a zapach ropy naftowej sprawia, że zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje. W pierwszej chwili myśleliśmy, że wskutek zderzenia pękły kotły lokomotyw i że to woda płynie, ale czemu się pali? Ogień ogarnął już kilka rozbitych wagonów z lekko rannymi. Biedacy krzyczą i błagają o ratunek. Niewielu tylko zdołało wyskoczyć przez rozbite ściany wagonów, uciekając katulowało się ku potokowi, gdzie

<sup>322</sup> Tadeusz Rozwadowski (1866–1928), gen. austr. i polski.

<sup>323</sup> Aleksander Skrzyński (1882–1931), polityk, prawnik, premier II RP.

<sup>324</sup> „Wielki srebrny medal”, austr. odznaczenie wojenne.

<sup>325</sup> Prawdopodobnie Mezö-Tür, m. w pñ. Węgrzech.

<sup>326</sup> Wysokie płomienie.

<sup>327</sup> Toczą, staczają.

las już też zaczynał się palić. Nie mogąc gołymi rękoma rozbić, ani otworzyć zaciśniętych i pogieętych drzwi od wagonów, daje im Ojciec Weber absolicję *in articulo mortis*<sup>328</sup>. Gdy płonący potok jest już przy nas, O. Weber odciąga mnie mówiąc, że już nic nie pomożemy, a sami zginiemy. W tej chwili, gdy ogień dosięgał już wagonów z ciężko rannymi i groziło niebezpieczeństwo, że zajmą się zbiorniki z gazem pod wagonami, a wówczas zginęłoby kilkaset rannych, pociąg nasz powoli ruszył. Komendant nasz Wambolt, zorientowawszy się co się dzieje, pobiegł naprzód i kazał lokomotywie naszej przedniej, która na skutek uderzenia była się urwała z kilku przednimi wagonami wrócić i wyciągnąć pociąg z morza płomieni. Z bólem strasznym i uczuciem rozpacz i bezsilności musieliśmy odczepić wagony rozbite i wykolejone wraz z zamkniętymi w nich ludźmi i końmi, by uratować przynajmniej to, co jeszcze było w naszej mocy uratować. Tak tedy musieliśmy niestety opuścić teren naszych bezowocnych wysiłków i zmagać z żywiołem potężniejszym. Co było przyczyną katastrofy? Za nami jechał pociąg z transportem ropy naftowej, coś kilkadziesiąt cystern, któremu zepsuły się hamulce. Nasz pociąg miał z tyłu dwie lokomotywy, nieprzepisowo, ale to nas po części uratowało od jeszcze większej katastrofy, gdyż one zatrzymały na sobie główny impet, ale wywołały pożar, gdyż tanki z benzyną i ropą wpakowały się na te lokomotywy, popękały, a ropa i benzyna zapaliły się od rozbitych także palenisk aż trzech lokomotyw. Przed tymi lokomotywami, a na tyle naszego pociągu, były te wagony z końmi i zwykłe wagony towarowe z lekko rannymi, to działało jak bufor, na nich zamortyzowało się uderzenie, tak że konie i część ludzi zginęła, ale nasz pociąg z około 400 rannymi nie uległ rozbiciu, tak że z naszego właściwego transportu nikt nie zginął. Zniszczeniu uległy oczywiście wszystkie trzy lokomotywy i ich obsługa zginęła. Znaczna część cystern z ropą, cały transport koni (70 sztuk) i ich konwojenci, część wagonów z lekko rannymi (przeważnie Moskałami), którzy mieli jeszcze przy sobie i dużo naboju karabinowych, ta eksplodowała w ogniu, co zrobiło wrażenie strzelaniny. Zginął podobno prawie cały personel pociągu z ropą oraz część lekko rannych. Był to jedyny ciężki wypadek, jaki podczas wojny przeżyłem. Za ratunek rannych i postawę naszą wobec niebezpieczeństwa otrzymał cały personel naszego pociągu maltańskiego „E” odznaczenia. Ja dostałem „*Franz-Josefs-Orden, mit der Kriegsdekoration*”<sup>329</sup>, było to jedyne odznaczenie, prócz krzyża Czerwonego Krzyża, jakie kiedykolwiek w życiu dostałem za czasów zaborczych, tego nie mam powodu się wstydzić! Powróciwszy do naszej bazy w Miskolcu<sup>330</sup>, spędziliśmy następnego wieczór przy dźwiękach muzyki cygańskiej, mając w uszach huk pożaru, przeżyte sceny makabryczne.

Jesienią 1916 r. nastąpiła proklamacja przez cesarzy Austrii i Niemiec „Królestwa Polskiego”. Było to pierwsze od rozbiorów uznanie istnienia Polski przez

<sup>328</sup> w niebezpieczeństwie śmierci.

<sup>329</sup> Order Franciszka Józefa, z wojenną odznaką.

<sup>330</sup> Miskolc, m. w pln. Węgrzech.

mocarstwa rozbiorowe, w owej chwili zwycięskie. Radość powszechna była wielka. Nam we Frainie, byłem tam właśnie w przerwie między jazdami pociągami maltańskimi, gratulowano. Choć niektóre czynniki, chcąc otrzymać więcej, gardziły tym aktem, był on pierwszym krokiem do odbudowania Polski. W Warszawie powstała Rada Regencyjna (Zdzisław Lubomirski, Józef Ostrowski<sup>331</sup> i kardynał Kakowski)<sup>332</sup>. W Krakowie odbyło się uroczyste dziękczynne nabożeństwo na Wawelu, w którym nawet Piłsudski wziął udział. Byłem na tym i pamiętam jak mnie to raziło, że i jego zwolennicy u stóp Wawelu wołali, gdy przechodził, zamiast „Niech żyje Polska” – „Niech żyje Piłsudski”. Był to pierwszy rozdźwięk namacalny. Mimo to zaliczam rok 1916 za najszczęśliwszy w moim życiu: Ojczyzna zmartwychwstaje, mam młodą, ładną, kochaną żonę, czworo milusich dzieci, i Rytro jest moje. Premierem pierwszym polskim został Jan Kucharzewski<sup>333</sup>, ministrem spraw zagranicznych Janusz Radziwiłł<sup>334</sup>. Definitywnie załatwienie kwestii polskiej miało nastąpić dopiero po wojnie.

W 1917 r. zostałem definitywnie zwolniony z wojska wskutek konieczności prowadzenia gospodarstwa oraz objęcia prezesury Sądeckiej Rady Powiatowej. Wobec tego dostałem bezterminowy urlop z pociągów maltańskich, a Stefa z dzieciarnią powróciła z Frainu do Nawojowej. Tymczasem dał nam Pan Bóg dwie dalsze córeczki: Annę<sup>335</sup>, zwaną „Danusią” w 1916 r. i Stefcię<sup>336</sup>, ur. w 1917 r. Na chrzest Danusi przyjechała ciocia Teońcia Chłapowska, Józefowa, jako matka chrzestna. Tak iż razem mieliśmy 5 córeczek.

Na tym skończył się nasz pobyt długoletni we Frainie, pełen wrażeń, był to dla mnie najmiłszy okres życia, mimo wojny uczuciu spokoju, bezpieczeństwa, trwałości i pewności posiadania oraz wzajemnej, niczym niezamąconej, miłości małżeńskiej, gdyż, przyznam to szczerze, wtedy prawdziwie pokochałem moją żonę za jej dobroć, spokój i energię. Była zresztą wtedy u szczytu rozwoju piękności i zdrowia. [...]

W 1917 r. zostałem na żądanie namiestnika Galicji, hr. Huyna<sup>337</sup>, zwolniony ze służby wojskowej i objąłem po Pawle Wittigu prezesurę Rady Powiatowej w Nowym Sączu oraz administrację całego mego majątku, obejmującego wówczas Nawojowszczyznę, Rytro, Szczawnicę (lasy i Zakład Zdrojowy) oraz Frain, co przy prezesurze Rady Powiatowej, prezesurze Składnicy Kółek Rolniczych w Sączu, a potem Związku Ekonomicznego Kółek Rolniczych w Krakowie, dawało dosyć pracy.

W maju 1916 r., stojąc z pociągiem maltańskim w Debreczynie<sup>338</sup>, napisałem do dr. Linnartzta, właściciela Rytra, że chcę podjąć przerwane wybuchem

<sup>331</sup> Józef Ostrowski (1850–1923), ziemianin, polityk konserwatywno-liberalny.

<sup>332</sup> Aleksander Kakowski (1862–1938), arcybiskup warszawski, od 1918 r. kardynał.

<sup>333</sup> Jan Kucharzewski (1876–1952), historyk, polityk.

<sup>334</sup> Janusz Radziwiłł (1880–1967), ziemianin, polityk.

<sup>335</sup> Anna ze Stadnickich Gostkowska (1916–2001).

<sup>336</sup> Stefania ze Stadnickich Jasińska (1917–1979).

<sup>337</sup> Karl Georg Huyn – generał-gubernator Galicji w l. 1917–1918.

<sup>338</sup> Debreczyn, m. na Węgrzech.

wojny pertraktacje o kupno Rytra. Odpisał mi, że jeżeli chcę teraz, podczas niepewnej sytuacji wojennej kupić, to gotów jest sprzedać znacznie taniej niż o tym była mowa przed wojną. Przed wojną żądał coś przeszło 5 milionów koron. Otrzymawszy miesięczny urlop, pojechałem zaraz do Nawojowej i oprowadzany przez personel ryterski zwiedziłem prawie wszystkie oddziały lasu, robiąc notatki co do stanu i zasobności oddziałów. Mając te dane, zaprosiliśmy ze Stefą starego dr. Linnartzta do Frainu, dokąd przyjechał w lipcu w towarzystwie swego sekretarza dr. Bothego. Tam goszcząc tych panów jak najlepiej i pokazując im lasy i okolice, ustaliliśmy cenę kupna na 3.700.000 koron, a termin podpisania kontraktu na 3 IX [19]16 r. w Krakowie. Gotówki nie miałem, a o zaciągnięciu pożyczki podczas wojny mowy nie było. Ustaliliśmy więc, że przejmuję zobowiązania Linnartzta wobec Banku Hipotecznego we Lwowie i Dominika Potockiego, a resztę 700.000 kor. będę spłacał z Frainu do rąk siostry dr. Linnartzta w Karlsbadzie. Z Dominikiem spotkałem się wkrótce we Lwowie, podczas następnej jazdy na front wschodni. Leżał on w szpitalu kontuzjowany podczas odwrotu spod Łucka. Jego należność: 1.000.000 koron spłaciłem zaraz w jesieni ze sprzedaży zapasów drewna przejętych w Rytrze. Zostałem tam około 30.000 m<sup>3</sup> drewna ściętego jeszcze w 1914 r., ale zdrowego i zdatnego do przetarcia i około 4000 m<sup>3</sup> tarcicy, a że ceny drewna zaczęły gwałtownie wzrastać, wystarczyły te zapasy na spłatę pierwszych potrzeb. Tak mogę powiedzieć, że mi Pan Bóg pobłogosławił i cel życia osiągnąłem, a Rytrę od dalszej dewastacji uchroniłem. [...]

Ustawa austriacka o ochronie lasów przewidywała obowiązek gospodarowania na podstawie planów urządzenia lasów. Początkowo robiono te plany systemem szablonowym, powierzchniowym, dopiero na podstawie nowożytnej postępowej szwajcarsko-niemieckiej oraz francuskiej nauki leśnictwa zmodernizowano i u nas systemy urządzenia gospodarstwa leśnego. Prekursorem i pionierem tych systemów był Henryk Strzelecki, kierownik gospodarstwa leśnego w Krasiczynie jeszcze za dziadka mego Adama Sapiehy, potem Stanisław Sokołowski i wielu innych. Jednym z pierwszych urządzieli lasów na terenie Galicji był dyrektor Lwowskiej Szkoły Lasowej Marian Małaczyński, któremu też powierzyłem pierwsze urządzenie moich lasów, przy czym współpracując razem z ówczesnym praktykantem, absolwentem Lwowskiej Szkoły Lasowej Konstantym Kowalczykiem, późniejszym dyrektorem lasów w Rytrze i adiunktem Piotrem Muchą, sam wiele skorzystałem, na kierunek przyszłej gospodarki wpływ wywierałem. Wykończenie pierwszego operatu urządzeniowego i wszystkie późniejsze rewizje wykonywaliśmy we własnym zarządzie, przy pomocy adiunktów: Adamskiego, Leszczyńskiego i inż. Kociołka, pod moim kierownictwem. Moje spostrzeżenia o wykonaniu racjonalnego gospodarstwa leśnego są zawarte w moich *Uwagach o gospodarstwie leśnym*, więc tu nie zatrzymuję się dłużej nad tym tematem, było to moim głównym umiłowanym zajęciem.



Po upełnoletnienu mnie w 1905 r. i zwolnieniu się ze służby wojskowej, objąłem wreszcie administrację majątku. Administratorem był Jan Maniecki, długoletni urzędnik jeszcze za czasów mego ojca, a potem w Zakopanem u wuja Władysia Zamoyskiego. Opowiadał mi zawsze wszystkie „walki” o Morskie Oko z żandarmerią węgierską i strażnikami ks. Hohenlohego<sup>339</sup>. Był on doskonałym praktykiem znającym się na wszystkich działach majątkowych, sam robił pomiary i odgraniczenia, był twardy dla ludzi, ale mimo to go lubiano, gdyż był sprawiedliwy, choć bardzo gwałtowny i nerwowy. Nie bardzo się z nim zgadzałem w sprawach hodowlano-leśnych, gdyż był pod tym względem starej daty, zwolennikiem czystych zrębów, które ja tylko jako zło konieczne uważałem, a raczej przy pomocy leśniczego Franciszka Lorenca, a potem Muchy na gospodarstwo przerębowe z naturalnymi odnowieniem przechodziłem. W 1906/1907 r. postawiłem w Nawojowej tartak parowy przy pomocy dzierżawcy hamer- ni Karola Kohuta<sup>340</sup>, z którym zakupiliśmy maszyny i całe urządzenie tartaku w Brnie i Wiedniu w firmach „Brand-Lhuilier” i „Topham”. Odtąd zerwaliśmy z Żydkami, a całe drewno z lasów nawojowskich na tym tartaku przerabialiśmy. Później założono stolarnię, która dostarczyła wszystkich elementów do budów i ich urządzeń w Zakładzie w Szczawnicy.

Podczas mojej pracy zawodowej na własnym, leśnym, warsztacie pracy, wszyscy prawie moi rówieśnicy, a także wielu ze starszej generacji – jak również i młodszy – brali bezpośredni udział we wszystkich pracach zawodowych, sami prowadzili, często wzorowo, swoje gospodarstwa rolne czy leśne oraz uprzemysławiali je, że wymienię tylko znane mi osobiście, jak: Gumniska, Przeworsk, Łańcut, Okocim, Dzików, Krasieczyn, Bielice, Lesko, Trzebień, Sucha i wiele innych, a prócz tego pracowaliśmy w organizacjach zawodowych jak Związki Ziemian, Zrzeszenie Właścicieli Lasów *etc.* Praca zawodowa w leśnictwie była dla mnie największą rozkoszą. Obserwowanie życia lasu, pielęgnowanie drzew i drzewostanów, pobyt całymi dniami w lasach było szczęściem i marzeniem. Zdawało mi się zawsze, że gdy wchodzę do lasu, to drzewa cieszą się, rozmawiają ze mną, opowiadają mi swoje zmartwienia i życzenia, którym zawsze starałem się czynić zadość, przez oględne, racjonalne z punktu widzenia hodowlanego, zabiegi gospodarcze. Tak moje majątki, jak i wiele innych, zwłaszcza położonych w górach, dawała znikome dochody, a nieraz wobec wysokich podatków z progresją i przeróżnych „danin” bardzo poważne straty tak, że znalezienie pokrycia na bieżące wypłaty, podatki, raty bankowe [wymagało] nieraz sztuk karkołomnych, by podołać tym wielkim zobowiązaniom.

Ziemiaństwo „kapitalistami” nie byli, kapitałów, czyli gotówki nie mieli, czego dowodem przeważnie wysokie zadłużenie wszystkich prawie majątków ziemskich. Ziemię i majątki posiadane uważali za ojczyznę, kochali ją i trzymali się jej jak czegoś świętego, umiłowanego, woleli długi zaciągać, pasa przyciągać,

<sup>339</sup> Herman Hohenlohe (1832–1913), namiestnik ces. Prus. Zob. O. Balzer, *O Morskie Oko. Wywód prawa polskiego przed sądem w Grazu*, Lwów 1906.

<sup>340</sup> Karol Kohut, współwłaściciel firmy „Bracia Kohut fabryka maszyn, odlewnia żelaza i metali”, zwanej hamernią w Nawojowej.

żyć skromnie, byle warsztatu umiłowanego nie stracić, owszem powiększać go i zostawić potomstwu w stanie wzorowym, by dalej na nim pracowali dla dobra kraju i społeczeństwa, mając jako jedyną nagrodę umiłowany warsztat pracy, dom rodzinny oraz miłość i wdzięczność ludności i swoich współpracowników. Nie pracowało się dla zysku, lecz z przywiązania do warsztatu (lasów), starając się, gdzie można wyrwać kawał ziemi i lasów z rąk spekulantów i uchronić przed dewastacją. Tak Władysław Zamoyski kupił lasy zakopiańskie, niszczone przez spekulantów, tak i ja nabyłem od Żydów węgierskich lasy szczawnickie zniszczone, później lasy ryterskie od Prusaków, zaciągając na to znaczne pożyczki, byle je uchronić od dalszego rabunkowego niszczenia.

Gdzie właściciele wskutek przeciążenia obowiązkami publicznymi, wieku lub niedostatecznych kwalifikacji fachowych, osobiście nie mogli kierować swymi majątkami, tam używali do tego fachowców Polaków, których nie brakowało, a pośród nimi byli pierwszorzędni leśnicy, że wymienię tylko panów Miklaszewskiego, Szymusika, Chlipalskiego. Często zdarzało się, że synowie gajowych dochodzili do stanowisk dyrektorów lasów, że wymienię tylko dyrektora Konstantego Kowalczyka, którego ojciec był długie lata gajowym w lasach nawojowskich, potem podleśniczym w Szczawnicy, a on sam nadleśniczym i dyrektorem lasów ryterskich. Istniał więc już wówczas „awans społeczny”, dzięki pomocy i poparciu finansowemu chlebobawców.

Celem zapewnienia wszystkim moim gajowym, było ich w nawojowskich lasach piętnastu, dachu nad głową w razie niezdolności do służby, zaprowadziłem zaraz po objęciu majątku w 1905 r. rodzaj ubezpieczenia prywatnego. Wówczas żadne ubezpieczalnie nie istniały poza Towarzystwem Urzędników Prywatnych, założonym przez właścicieli majątków, a kierowanych przez ziemian: Stefana Zamoyskiego<sup>341</sup>, Zdzisława Tarnowskiego<sup>342</sup>, Pawła Sapiechę<sup>343</sup>, wreszcie Zygmunta Zamoyskiego<sup>344</sup>, którzy byli prezesami tej organizacji. Otóż na rzecz każdego będącego w służbie gajowego wkładałem po 25 koron na książeczkę oszczędności, wtedy PKO nie istniało. Kwoty te pozostawały w obrocie Zarządu Dóbr i tam je księgowano na rachunku każdego gajowego. Uzupełniało się te wkłady premiami, dalszymi wkładkami i ewentualnymi oszczędnościami ubezpieczonych, z tych kwot potrącało się ewentualne kary porządkowe, by poborów normalnych tym nie obciążać. Po 25 latach służby miał każdy ubezpieczony na swoim koncie około 1000 koron, co przeliczono na złote w złocie, którą to kwotę opuszczając służbę mógł podjąć w gotówce lub otrzymać w zamian jedną morgę gruntu oraz 30 m<sup>3</sup> drzewa na budynki. Każden wybierał zwykle tę drugą alternatywę, dokupując zwykle sąsiednie grunta. Tak powstało wiele gospodarstw do byłych gajowych, względnie ich spadkobierców należących we Frycowej Łabowej i Nowej Wsi.

<sup>341</sup> Stefan Zamoyski (1904–1976), ziemianin, hodowca koni.

<sup>342</sup> Zdzisław Tarnowski (1862–1937), ordynat dzikowski.

<sup>343</sup> Paweł Jan Sapieha (1860–1934), ż. Matylda Windischgrätz (1873–1968).

<sup>344</sup> Zygmunt Zamoyski (1875–1931), ziemianin.

Wielkim i trudnym zagadnieniem u nas zawsze była kwestia ruska i kwestia żydowska. Przeważnie lud ruski był spokojny i pracowity. Nienawiść do Polaków szerzyli głównie rozmaici wichrzyciele nasyłani z różnych stron (Berlina, Wiednia, Kijowa). Ja bardzo naszych „Łemków” lubiłem i nigdy z nimi żadnych zatargów nie miałem. Gdy kandydowałem do sejmu (1928) prosili tylko, bym się starał, by mieli te same prawa, co mieli za Austrii. Nasz ówczesny rząd popełniał wobec nich wielkie błędy, co ich pchnęło w ręce naszych wrogów i do walki przeciwko nam doprowadziło. [...]

O lasach ryterskich, których kupno nie udało mi się w 1905 r. nie mogłem zapomnieć. Pertraktowałem z dr. Linnartztem i w 1911 i 1913 r., lecz wobec ceny, jakiej wówczas żądano, mowy o kupnie być nie mogło.

Podczas jazd pociągami maltańskimi, gdyśmy stali w Debreczynie, czekając na skierowanie po nowy transport, mieszkając we wspólnym hotelu „Pod Złotym Bykiem”, „Aranyi bika”, napisałem list do właściciela Rytra dr. Linnartzta z zapytaniem o Rytro. Odpowiedź brzmiała, że jeżeli reflektuję teraz podczas wojny na kupno, to możemy mówić o tym na podstawie znacznie niższej ceny. Otrzymawszy więc urlop na czerwiec, pojechałem do Nawojowej i w towarzystwie dr. Gärtnera, zięcia Linnartzta, oraz personelu tamtejszego obszedłem prawie wszystkie drzewostany ryterskie, robiąc sobie notatki co do wieku, jakości i obszaru. Mimo wielkiego spustoszenia tych lasów przez wyręby lat ostatnich, przyszedłem do przekonania, że normalnie można będzie użytkować rocznie około 16.000 m<sup>3</sup>, co umożliwi przy oszczędnej gospodarce nabycie tych lasów. W lipcu zjechał więc na moje zaproszenie do Frainu dr. Linnartzt, sympatyczny staruszek ze swoim sekretarzem Bothem. Tam obwoziłem ich po lasach i korzystając z tego, że był zachwycany Frainem, zamkiem, lasami i naszym przyjęciem, wytargowałem cenę Rytra na 3.700.000 kor. 3 IX 1916 r. podpisaliśmy kontrakt kupna w Krakowie w kancelarii mego adwokata dr. Bednarskiego i natychmiast do Rytra pojechałem obejmować majątek. Poprosiłem też dr. Linnartzta o odstąpienie mi pana Bothego, który był bardzo sprytnym młodym człowiekiem i zajmował się dotychczas Rytrzem jako kierownik administracji tego majątku. Interes kupna Rytra był dobry. Ceny kupna nie potrzebowałem płacić, gdyż lwowski Bank Hipoteczny miał na hipotece dwa miliony kor., pierwotna cena kupna pożyczona Dominikowi Potockiemu, dotąd nie spłacona, jeden milion należał się od Linnartzta temuż Dominikowi Potockiemu, a resztę 700.000 kor. miałem zapłacić siostrze dr. Linnartzta, mieszkającej w Karlsbadzie. Z Bankiem Hipotecznym ułożyłem się łatwo, gdyż dawałem, mając prócz Rytra Nawojową, Szczawnicę i Frain, większą gwarancję niż Dominik Potocki. Kwotę 700.000 kor. spłacał Frain. Chodziło o porozumienie się z Dominikiem. Był on jako wojskowy na froncie, ale przypadkowo właśnie wtedy leżał we Lwowie w szpitalu wojskowym, wskutek kontuzji odniesionej podczas ofensywy Brusilowa<sup>345</sup> pod Łuckiem, skąd armia austriacka

<sup>345</sup> Aleksander Brusilow (1853–1926), gen. rosyjski.

wiać musiała. Jako „maltańczyk” miałem łatwy dostęp do szpitala i z Dominikiem się porozumiałem, że mu do roku ten milion zapłacę. Na moje szczęście zastałem w Rytrze duże zapasy drewna, a to około 4000 m<sup>3</sup> desek przy tartaku oraz około 30.000 m<sup>3</sup> kłoców i dłużyc w lesie, tak iż bez ścinania drzewa z tej ilości uzyskaliśmy po przetarciu, a wobec wrastających gwałtownie cen drzewa, potrzebną kwotę, tak iż nawet przed upływem roku Dominika spłaciłem. W Banku Hipotecznym zaciągnąłem dodatkową pożyczkę, która razem z poprzednią miały być spłacone półrocznymi ratami do końca 1916 r. W ten sposób jeden z celów mego życia został osiągnięty, posiadałem nieprzerwany kompleks lasów obejmujący około 10.000 hektarów, z tartakiem dużym nad spławnym Popradem i przy stacji kolejowej. W parę lat potem ulegając namowom Edwarda Burgera<sup>346</sup>, a potrzebując gotówki na wprowadzoną „daninę leśną”, sprzedałem niestety rewir „Łomnicę”. Lepiej było sprzedać drzewo, a rewir zatrzymać, no stało się. Wobec ówczesnej już zaczętej dewaluacji pieniądza sprzedałem „Łomnicę” (około 700 hektarów) za 5 milionów kor. (czy już złotych)<sup>347</sup>, co zdawało się niesłychanym interesem, po przeliczeniu tego na „twardą walutę” okazało się, że nie był to dobry interes. Nigdy się nie traci kupując cokolwiek, a zawsze traci się, sprzedając, o tym przekonałem się nieraz. Jakoś w 1916 r. czy wiosną 1917 r. został Bothe powołany do wojska, ponieważ był mi w Rytrze niezbędnie potrzebny, a w Wiedniu przy ministerstwie wojny była ekspozytura sztabu armii niemieckiej, poszedłem tam w pełnym mundurze i zameldowałem się u szefa jakiegoś eleganckiego pułkownika. Ten usłyszawszy moje nazwisko zerwał się i zawołał: „Sind sie der glückliche Besitzer des wunderschönen Schlosses” (myślałem, że powie: „Frain”, tymczasem powiedział: „Nawojowa”), a dalej powiedział: „Der Hindenburg braucht Soldaten daher ist es unmöglich den Bothe frei zu geben, aber für sie wird das unmögliche geschehen – und der Bothe ist frei”<sup>348</sup>. W dalszej rozmowie dowiedziałem się, że był ze sztabem Mackensena przed ofensywą gorlicką (I V 1915) zakwaterowany w zamku w Nawojowej, stąd znał i pamiętał moje nazwisko – i to spowodowało tę niesłychaną uprzejmość. Podobne zdarzenie miałem w 1939 r. w Nowym Sączu, gdy poszedłem we wrześniu do komendy niemieckiej, urzędującej w gmachu sądu w sprawie broni mojej myśliwskiej. W biurze był jakiś major, czy pułkownik, który przyjął mnie bardzo uprzejmie pytając, czy to ja jestem właścicielem Frainu, gdyż on tam często lato spędzał, był bowiem wiedeńczykiem, znał wszystkich, pytał się o pana Nikodema i innych wspólnych naszych znajomych, mieszkańców Frainu. Pozwolenie na broń oczywiście zaraz dostałem. Gdyby armia niemiecka, ten korpus był złożony z samych Austriaków, była pozostała nadal, byłoby się uniknęło wielu przykrości, gdy władzę objęło gestapo, wszystko wzięło inny obrót – 9 XII 1939 r. całą broń mi odebrano. [...]

<sup>346</sup> Edward Bürger (1897–1948), kupiec, drzewiarz, hurtownik.

<sup>347</sup> Po 1919 r. rząd polski wprowadził marki, w 1924 r. złote.

<sup>348</sup> Pan jest szczęśliwym właścicielem tego cudownego zamku [...] Hindenburg potrzebuje żołnierzy i jest niemożliwe zwolnienie pana Bothe, ale dla pana niemożliwe jest inaczej i Bothe jest wolny.

Notuję te ciekawe przypadki jako dowód, że we wszystkich armiach we wszystkich czasach bywali ludzie uprzejmi, grzeczni, życzliwi, a że nie każdy Niemiec był wrogiem Polaków.

Dla ilustracji jeszcze jeden szczegół: w roku 1940 lub 1941 jakiś nieznanymi mi generał niemiecki został przez inspekcję leśną w Nowym Sączu upoważniony do odstrzału jelenia w moich lasach. Po dokonaniu tego odstrzału, przyjechał do Nawojowej w paradnym mundurze, by mi jako właścicielowi podziękować za to.

17 VI 1920 r. celem uregulowania już raz nieznośnych stosunków finansowych i spłacenia długów hipotecznych, które mimo ponownie korzystnej koniunktury pozornej, gdyż spowodowanej dewaluacją, są uciążliwe, postanowiłem sprzedać rewir „Łomnicę” oraz część lasów ryterskich. Jest to rewir wprawdzie dość zasobny w drzewo, lecz przerąbany i źle skomasowany, a przy tym tak odległy i niedostępny, że prawie nigdy być tam nie mogę. Nie ma też widoków, by kiedykolwiek miał być udostępniony.

„Łomnica” obejmuje 766 ha lasu z masą ogólną około 100.000 m<sup>3</sup>. Wobec ceny całego Rytra 5200 ha, w 1916 r. wynoszącej wraz z zapasami 3.700.000 koron, przedstawiała „Łomnica” wartość około 700.000 kor. Przy obecnej wartości pieniądza przedstawia wartość kilkakrotnie większą, lecz długi na Rytrze ciężące nie wzrosły, więc sprzedając „Łomnicę” za 5 i 1/2 [mln] marek polskich czyli: 32.351 dolarów = 177.430 zł w złocie, robi się względnie korzystny interes. Spłacając bowiem wszystkie długi 3.500.000 kor. = 2.450.000 marek, ma się jeszcze trzy miliony marek na kapitał obrotowy, rezerwę i na pożyczkę państwową, na którą muszę znaczniejszą sumę subskrybować, dałem dwa miliony marek. Wobec czego decyduję się na sprzedaż „Łomnicy” za 5.500.000 marek. Gdybym był przewidział dewaluację i tę sumę dostał od razu, byłbym wygrał.

Tymczasem Burger Edward (nabywca), były manipulant drzewny – dał *a conto*: 19 V 1920 r. – 230.000 Mk. + 20 VI – 80.000 Mk. + 210.000 Mk. + 29 VII – 1.855.164 Mk. (pożyczka odrodzenia) + 2 VIII – 644.336 Mk. + 4 VIII – 40.164 Mk. + 9 VIII – 100.000 Mk. + 16 VIII – 85.000 Mk. + 25 VIII – 70.000 Mk. + 28 VIII – 300.000 Mk + 27 VIII – 350.000 Mk. Reszty nie pamiętam kiedy.

Kwotę uzyskaną za „Łomnicę” chcę użyć następująco:

Na spłatę długów: Bank Hipoteczny	3.000.000 K. = 2.100.000 Mk.
Na pożyczkę „Odrodzenia”	2.000.000 Mk.
Udział w Polskim Zjednoczeniu Przemysłowo-Leśnym	105.000 Mk.
Udział w „Składnicy” w Nowym Sączu	10.000 Mk.
Udział w „Popradzie”	56.000 Mk.
Udział w Banku Ziemiańskim w Krakowie	100.000 Mk.

Udział w Syndykacie rolniczym	100.000 Mk.
Kapitał obrotowy (kupno koni lasowych)	500.000 Mk.
Kupno samochodu	765.000 Mk.
Razem	5.500.000 Mk.

1928 r. rezultat: Pieniądze uzyskane ze sprzedaży „Łomnicy” jednak zdevaluowały się i rozlały się. Długów nie spłaciłem, po części wskutek odmowy przyjęcia spłaty przez Bank Hipoteczny (dewaluacja), po części wskutek przepięcia stosownej chwili.

Burger lasy wyciął, a obecnie zaoferował mi kupno „Łomnicy” za 30.000 dol. Trzeba to odkupić, a sens moralny, by niczego nigdy nie sprzedawać, a tylko kupować. Na czym się nigdy nie straci.

1927/1928. Kupiłem drogą zamiany w 1927 r. z Aleksandrem, dając mu z folwarczku „Poręba” 27 morgów roli za 19 morgów lasu (reszta Trzycierza), z czego się bardzo cieszę.

28 XII 1928 r. Tę samą „Łomnicę”, bez oddziałów 2-go i 20-go, które sobie Burger zatrzymał, oczywiście zniszczoną, wyharataną, odkupiłem za 27.000 dol. plus 500 m<sup>3</sup> drewna okrągłego i 100 m<sup>3</sup> desek, razem za około: 29.500 dol., czyli za 261.075 zł. Była sprzedana za 5 i 1/2 miliona marek, czyli za 32.351 dol. = 177.430 zł, a Burger wyciął drzewa około 50 do 60.000 m<sup>3</sup>. Mimo to kupno obecne jest korzystne, bo całą „Łomnicę”, około 700 ha, kupuję za około 5000 m<sup>3</sup> desek, według cen po jakich teraz sprzedajemy deski w Rytrze.

5 I 1929 r. Burger zerwał umowę o kupno-sprzedaż „Łomnicy”, rzekomo dlatego, że mu 31 XII 1928 r. nie zapłaciłem 3000 dol, a jak się później okazało dlatego, że długi jego wynoszą: 31.680 dol., czego, rzekomo, przedtem nie wiedział. Więc nie chciał sprzedać za 27.000 dol. Chociaż miałem wszelkie widoki wygrania ewentualnego procesu, gdyż umowa ustna z 28 XII 1928 r. była istotną i ważną, zgodziłem się 5 I 1929 r. na podwyższenie ceny kupna do 31.000 dol. oraz dodanie 250 m<sup>3</sup> drewna okrągłego i 50 m<sup>3</sup> desek, taka umowa spisana i podpisaną została u dr. Lambora, adwokata. Sądzę, że mimo tej podwyżki jest to interes niezły, zapewniający w przyszłości tartakowi w Rytrze większy pobór drewna, no i ratujący 700 ha lasów przed dewastacją dalszą.

[...] W marcu 1928 r. zostałem wybrany posłem na sejm. Kandydowałem samodzielnie, nie z listy I sanacyjnej, tylko z listy nr 30, która szła pod hasłem „Współpracy z rządem Marszałka Piłsudskiego”. Uważałem bowiem, że walka z partyjnictwem i poparcie trwałego i silnego, choćby nie idealnego, rządu, jest obowiązkiem każdego Polaka, a mając pewne widoki powodzenia, zdecydowałem się na ten krok.

W sejmie wziąłem się całą parą do pracy, zostałem członkiem komisji budżetowej pod przewodnictwem prof. Adama Krzyżanowskiego<sup>349</sup> i referowałem budżet ministerstwa rolnictwa, potem pracowałem w komisji skarbowości, z ministrem Czechowiczem<sup>350</sup>, nad reformą podatkową, w komisji reform rolnych o drobnych dzierżawcach, gdzie broniąc stanowiska ziemiańskiego spotkałem się ze zdaniem Prezesa Sławka<sup>351</sup>: „[...] my reprezentujemy 1000 ludzi, a ludowcy, poseł Józef Putek<sup>352</sup>, z którym polemizowałem, kilka milionów, więc choć mamy rację, należy ustąpić”. Wobec tego z tej komisji ustąpiłem. Prace te jednak nie dawały mi zadowolenia, było się bowiem tylko pionkiem, zależnym od prezydium Sławka, a przy tym BBWR było w mniejszości, więc nic przeprowadzić nie było można.

Poseł prof. Adam Krzyżanowski powtarzał ciągle, że stoimy przed kryzysem gospodarczym światowym, spowodowanym nadmiernymi inwestycjami, które powodują zwyczaję stopy procentowej; radzi więc zaniechanie inwestycji tak państwowych, jak i prywatnych.

Tymczasem ja, względnie mój majątek, weszliśmy właśnie w stadium bardzo intensywnych inwestycji.

- 1) Przebudowa i dobudowa pałacu w Nawojowej rozpoczęta w 1928 r. ma być dalej prowadzona i ukończona w 1929 r., moja kancelaria i ogród zimowy.
- 2) Przebudowa oficyn i stajen pałacowych konieczne, wskutek pożaru 29 I 1929 r. Przeniesiono więc kuchnię do pałacu, do sklepionego składu pod starym pałacem, garaże i pralnię do dawnej oranżerii, a stajnię na folwark, gdzie dobudowano nową drogę wyjazdową.
- 3) W Szczawnicy rozpoczęto budowę hotelu Domu Zdrojowego; położono fundamenty. Gmach ten według planów architekta Mączyńskiego<sup>353</sup> miał stanąć na parceli mamusi, miał obejmować 80 do 100 pokoi z łazienkami. Miał być wykończony w 1930 r., a kosztować około 1.500.000 zł.
- 4) Dalej w Szczawnicy: wodociągi, kanalizację, drogę okrężną, aczkolwiek przez Komisję Zdrojową wykonać się mające, będą wymagały znacznych wkładów z mej strony, udział w spółkach itd., zaniechano.
- 5) Przebudowa i racjonalizacja tartaku w Rytrze, od dawna zamierzona, ma być wykonana w 1929 r. kosztem około 80.000 zł.
- 6) W 1928 r. wybudowaliśmy gajówki: w Barnowcu, Szczawnicy „na Sewerynowce”, Rzyczanowie, Roztoce Wielkiej.
- 7) Ma się budować willę z restauracją „na Sewerynowce”, zaniechano.
- 8) Pawilon myśliwski na Radziejowej, także w Roztoce Wielkiej.
- 9) Wreszcie dość niespodziewanie kupiłem od Burgera „Łomnicę” za 31.000 tysięcy dolarów. Jak się z tego wybrnie? Czy i które z tych zamierzeń moż-

<sup>349</sup> Adam Krzyżanowski (1879–1963), ekonomista, prof. UJ.

<sup>350</sup> Gabriel Czechowicz (1876–1939), polityk sanacyjny.

<sup>351</sup> Walery Sławek (1879–1939), płk, polityk sanacyjny.

<sup>352</sup> Józef Putek (1892–1974), działacz ludowy.

<sup>353</sup> Franciszek Mączyński (1874–1947), architekt.

na odłożyć? Czy ten kryzys będzie? Niektóre objawy: zakup zboża przez rząd, militaryzacja pewnych urzędów, ćwiczenia wojskowe jakoś dziwnie od kilku miesięcy każą myśleć o wojnie, kiedy, z kim? Ale trzeba się mieć na baczności.

W 1930 r. po rozwiązaniu sejmu do nowych wyborów nie stanąłem, uczyniłem to z tej przyczyny, że praca, a właściwie „pilne próżnowanie w sejmie”, mnie nie cieszyła. Było się pionkiem, którym się posuwało dla zakulisowej „belwiderskiej” gry politycznej, bez możliwości wypowiedzenia swego zdania, a nawet poinformowania się, co i dlaczego się dzieje. My posłowie niezależni byliśmy w BBWR stale majoryzowani, a to nie tylko w sejmie przez opozycję, ale i wewnątrz Bloku poprzez elementy lewicowe, a bliższe Belwederu. Zwłaszcza po unieważnieniu mandatu Janusza Radziwiłła i odroczeniu sesji.

29 III 1930 r. straciłem gust do dalszej „pracy”. Brzydziło mnie branie diet przy zamkniętym sejmie, i nie miałem już ochoty spędzania jeszcze jednej zimy w Warszawie jako pionek, a zaniedbywać przy tym swoje interesy, lasy i pracę na innych polach. Nie jestem stworzony, ani przyzwyczajony do zależności od kogokolwiek, proszenia o urlop, czy absencję itp.

Nie miałem wiary w to, by przy niezmienionej ordynacji wyborczej Blok Bezpartyjny uzyskał absolutną większość. Zgłosiłem więc Związkowi Ziemian w Krakowie i Stronnictwu Chrześcijańsko-Rolniczemu, że nie zamierzam kandydować, jednak na moje miejsce (mandat) zdobyte przeze mnie samodzielnie, innego ziemianina lub konserwatystę wystawić powinni. Nie chciało mi się jeździć po wiecach, agitować, wobec „kryzysu”, nie chciałem i nie mogłem wydać pieniędzy, jakich niechybnie byłiby ode mnie zażądali w razie mego kandydowania. Po wyniku wyborów, względnie już podczas akcji wyborczej, gdy widziałem jak sprawy stoją, że unieważniono inne listy, więc że BB przeprowadzi wybory uzyskując wszystkie mandaty w okręgu, a dalej, że ani w moim okręgu, ani w żadnym innym żadnego ziemianina ani konserwatysty nie postawiono, zrobiło mi się żal pewnego, obecnie straconego mandatu. Co prawda, że wobec aresztowań tylu byłych posłów opozycji i sposobu przeprowadzania wyborów, taki mandat wcale by mnie nie cieszył, i nie wiem, czy w razie wyboru – nie złożyłbym go. Bo co innego zdobyć mandat przez swoje własne imię i pracę, jak w 1928 r., gdzie występowałem jako czołowy, niezależny kandydat, nawet przeciwko liście nr 1 z Pierackim<sup>354</sup> na czele, a co innego tak „na ukaz” przejść, ale mimo to człowiek jest „ein Gewohnheitstier”<sup>355</sup> i łatwo przyzwyczajają się i polubi nawet rzeczy przykre, nawet „niewolę”. I ja mam „Katzenjammer”, że nie jestem już posłem. To głupie. Przyczyna, dla której byłem zniechęcony do posłowania była ta, że słysząc niedobrze, przy fatalnej akustyce w niektórych salach komisyjnych oraz w sale sejmowej, nie mogłem śledzić dyskusji i brać w niej udziału bez szalenie wyczerpującego i denerwującego wysiłku słuchu i uwagi; przy tym

<sup>354</sup> Bronisław Pieracki (1895–1934), gen. WP, polityk.

<sup>355</sup> „Zwierzę domowe”.



nierz przychodziły mi myśli i odpowiedzi na myśl – już poniewczasie. Nie mogłem ani fachowo, ani taktycznie do pracy w gronie tak szczwanych przeciwników [być] przygotowany, więc uważałem, że nie mogę dalej tej odpowiedzialności ponosić i wolałem ustąpić miejsca innym, po mnie weszli do sejmu: Leon Sapieha i Eryk Czapski. Prócz tego takie chwile jak beznadziejne nocne głosowania nad wnioskiem Putka o ochronie drobnych dzierżawców, nadto mnie denerwowały, a pożytku z tego nie było. Niestety przez zbyt wczesne zgłoszenie Sławkowi, iż nie zamierzam kandydować, utracono możliwość umieszczenia na liście kogoś z ziemian w naszym okręgu. Należało udawać do ostatniej chwili, że zamierzam kandydować, bo Sławek był na to przygotowany, jak mi później powiedział Sobolewski, a dopiero w ostatniej chwili oświadczyć, że gotów jestem zrezygnować na rzecz np. Fudakowskiego, Komorowskiego, Chmielewskiego, czy kogoś innego.

Ten błąd taktyczny przypisuję kierownictwu stronnictwa w Warszawie, Sobolewskiemu, Mackiewiczowi, czy nie wiem komu? Prezesem był Zdzisław Lubomirski, który takimi drobnostkami oczywiście zajmować się nie mógł. Zresztą taki wynik był dla mnie lepszy, gdyż nie wiem, czy nie byłbym wystąpił w obronie uwięzionych niesłusznie posłów, jak Witos<sup>356</sup>, a w rezultacie mogłem sam dostać się do Berezy.

30 XII 1928 r. Dziś był u nas w Nawojowej z wizytą rektor jezuitów z Nowego Sącza, ojciec Stafiej<sup>357</sup>, mój dawny znajomy, prefekt z Chyrowa. W rozmowie o stosunkach panujących wspomniał, że z Rzymu mieli instrukcję, aby się liczyć z możliwością wojny w 1929 r. Zgadza się to z przeczuciami Stefy i moimi. W jakiejś przepowiedni w „I.K.C.”<sup>358</sup> było powiedziane, że w styczniu umrze członek brytyjskiego domu panującego, a w lutym urodzi się potomek w tymże domu, a w marcu wybuchnie wojna na Bliskim Wschodzie. Wziąwszy to pod uwagę, należy wkłady ograniczyć, mieć zapas gotówki za granicą.

- 1) Kupno Łomnicy odroczyć lub zerwać (Burger zerwał).
- 2) Przebudowy tartaku w Rytrze w tym roku nie wykonywać.
- 3) Przebudowę domu w Nawojowej wstrzymać, wykańczając tylko rzeczy konieczne (skończono!).
- 4) Budowę hotelu w Szczawnicy prowadzić tylko o ile wpływy bieżące starczą, niestety wstrzymano.

Krótką historią moich majątków. Objąłem majątek Nawojową z Brzezną i Wysokim oraz Szlachtową, łącznie około 2800 ha lasów oraz około 800 użytków rolnych w 6-ciu folwarkach z długiem 140.000 kor. Majątek był zawsze nierentowny. Trzy wodne tartaki w dzierzawie żydowskiej będące, przecierały około 4000 m<sup>3</sup> drewna za bezcen przez Żydów kupione (po około 6 kor. za 1 m<sup>3</sup>). Folwarki były, prócz nawojowskiego, w dzierzawie, dzierżawcy płaci-

<sup>356</sup> Wincenty Witos (1874–1945), przywódca chłopski, trzykrotny premier II RP.

<sup>357</sup> Wojciech Stafiej (1869–1934), jezuita.

<sup>358</sup> „Ilustrowany Kurier Codzienny” wyd. w Krakowie.

li mało, musiałem nadto uregulować Brzeźniankę, co wykonałem wspólnie z dzierżawcą Skąpskim, używając do tego jeńców rosyjskich w czasie pierwszej wojny. Matka moja opłacała z własnych funduszy raty pożyczki Towarzystwa Kredytowego. Dziadek Edward Stadnicki mawiał, że Nawojowa, „to jak metresa dużo kosztuje, a nic nie daje”. Orientując się, że aby uzyskać dochód trzeba mieć większy warsztat pracy, zamierzałem kupić lasy ryterskie, gdy to się nie udało w 1905 r., kupiłem lasy szczawnickie od pani Lasockiej i od firmy węgierskiej Gasz i Szanto. Urządziłem gospodarstwo leśne. Wybudowałem tartak w Nawojowej, kasując trzy wodne tartaki i zrywając z żydowskimi kupcami. Postawiłem „zarządówkę” i willę „Kohutówkę”, na co Stefa, żona, dała pieniądze. W 1907 r. nabyłem Zakład Zdrojowy w Szczawnicy. Próbowałem przez lat trzydzieści ten Zakład dźwignąć z upadku, w jakim go objąłem. W tym czasie była ta praca dla mnie jakby złym snem, spotykałem tyle trudności, oszczerstw i złej woli, że praca w Szczawnicy, którą kochałem, została mi obrzydzoną, a jedynie życzliwość ludności po wywłaszczeniu osłodziła mi poniekąd doznane krzywdy. Od roku 1912 sprzedawałem i zamieniałem na enklawy leśne odleglejsze grunta.

Po kupnie Zakładu Zdrojowego i lasów szczawnickich, celem częściowej spłaty długów oraz w przeświadczeniu o konieczności bodaj częściowego zaspokojenia „głodu ziemi” małorolnej ludności, wziąłem się już przed pierwszą wojną światową, około 1912 r., do częściowej parcelacji moich „użytków rolnych”, a to gruntów odległych, pozostających częściowo w dzierżawie chłopskiej. I tak z Brzeźnej sprzedałem „Jedlane” i odleglejsze grunta, dalej część Poręby, Wysockie oraz Łabową. Niektóre grunta zmieniałem na enklawy śródleśne. Po kupnie Rytra w 1916 r. nabyłem w lasach ryterskich duże enklawy: „Konieczną”, „Skałkę” i „Magurzycę” od Wąchały, Pawlika i Buczka drogą zamiany za grunta nad Dunajcem w Brzeźnej.

1920–1930. Podniosłem znacznie majątek przez założenie przy tartaku w Nawojowej stolarni, produkującej meble rozmaite (leżaki), a także drzwi, okna, parkiety itp. Pobudowałem gajówki w Homrżyskach, Barnowcu, Złotnem, Łabowcu, Feleczynie, Graniczniku (Ostra), a w lasach ryterskich w Rzyczanowie dwie, w Przysietnicy, Roztoce Małej, Roztoce Wielkiej, Młodowie, a w lasach szczawnickich „na Sewerynowce” i „na Skalskiem”. Wreszcie rozszerzyłem pałac w Nawojowej, modernizując go (centralne ogrzewanie, wodociągi, oświetlenie elektryczne). Oświetlenie elektryczne też w całym folwarku. Prądu dostarczał tartak, w tym celu założono tam baterie akumulatorów.

Mimo to popełniłem kilka wielkich błędów i niedopatrzeń, które się mszczą na mnie i straty wielkie powodują. I tak sprzedałem z lasów ryterskich rewir „Łomnicę”, sprzedałem niepotrzebnie i za tanio w czasie inflacji, bez zabezpieczenia się przed spadkiem wartości siły nabywczej pieniądza, z zamiarem spłaty długów i podatku majątkowego. Tymczasem nabywca (Burger) spłacał ratami (od kwietnia do listopada 1920 r.), tak że pieniądze się zdewałuowały i rozlażyły na drobnostki. Sprzedaż nastąpiła za 5 i pół miliona marek = 32.351 dol., a gdy

Burger płacił ostatnią ratę coś 700.000 marek – to pudełko zapalek kosztowało tyle samo. Dalej nie spłaciłem długu Banku Hipotecznego na Rytrze, w czasie gdy to było możliwe drobną sumą dolarów (do maja 1924), przeoczywszy termin ostatni, a potem dług został zrewaloryzowany bardzo niekorzystnie dla dłużnika. Na szczęście ówczesny administrator dopilnował spłaty długu Tow. Kredytowego Ziemskiego (300.000 koron). Niespłacenie Banku Hipotecznego naraziło mnie później na wielkie straty i przykrości! Mimo tych błędów, majątek dźwignął się po kryzysie, dzięki oszczędnej gospodarce i racjonalnym inwestycjom [w latach 1930–1937].

Inwestycja w Zakład Zdrojowy w Szczawnicy wyniosła w latach trzydziestych przeszło pół miliona złotych (inhalatorium, łazienki, pijalnia wód mineralnych, ujęcie źródła).

Myślą moją przewodnią było i jest: przeniesienie centrum Zakładu Zdrojowego na południowe, słoneczne stoki Bryjarki, przez udostępnienie ich drogą „okrężną” od Dunajca w Szczawnicy Niżnej w połowie stoku, ponad parkiem Kołaczkowskiego, łukiem przez Języki, aż na siodło nad Nowym Parkiem, a dalej aż do „Sewerynowki”. To mimo mych starań, kosztów poniesionych, a planów wygotowanych przez inżynierów Wydziału Krajowego, wykonanym nie zostało. [...]

Wspólnym kosztem moim i Stefanów Świeżawskich zbudowaliśmy wилę „Pod Modrzewiami” na parceli w Nowym Parku, założonym przeze mnie w 1911 r., darowanej córce Marii Świeżawskiej jako część jej mienia.

Politykiem nigdy nie byłem, wstrętem mnie przejmowała nienawiść stronnictw między sobą. Uważałem zawsze, że partyjnictwo nas zgubi i osłabia spójnię narodową, tak było w przeszłości i jest do dzisiaj. Do stronnictwa konserwatywnego krakowskiego ciągnięto mnie od chwili, jak zostałem członkiem Komitetu Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego. Głównie Zdziś Tarnowski starał się o to, zapraszał mnie na polowania do Dzikowa, może i były w tym jakieś zamiary matrymonialne, przyznam, że mi się Różia Tarnowska podobała, ale o małżeństwie wtedy nie myślałem.

Do Stronnictwa Krakowskiego zupełnie zniechęciły mnie zabiegi Bobrzyńskiego<sup>359</sup> i innych, chcących nawiązania stosunków ze Stapińskim<sup>360</sup>, podówczas prezesem Stronnictwa Ludowego. Na zebraniu w Radzie Powiatowej Krakowskiej, gdzie o tym dyskutowano, jedynie Imuś (Hieronim) Tarnowski<sup>361</sup> i ja byliśmy w opozycji, stojąc na stanowisku, że będąc za jak najlepszą współpracą i zgodę z włościąństwem, uważamy, że nie można identyfikować Stronnictwa Ludowego, a zwłaszcza jego prezesa Stapińskiego z ogółem włościąństwa polskiego, tak jak nie można identyfikować krakowskiego Stronnictwa Konserwatywnego stańczyków z ogółem szlachty polskiej czy ziemiaństwa polskiego, w którym są różne zapatrywania i rozmaite nastawienia i sympatie polityczne.

<sup>359</sup> Michał Bobrzyński (1849–1935), historyk, prof. UJ.

<sup>360</sup> Jan Stapiński (1867–1946), przywódca chłopski.

<sup>361</sup> Hieronim Jan Tarnowski (1884–1945), ziemianin.

Owszem zawrzeć zgodę i nawiązać współpracę ziemiaństwa polskiego z chłopstwem polskim, a nawet ruskim – za tym jesteśmy, ale nie za sojuszem niezdrowym konserwatystów krakowskich (Bobrzyńskiego i Jaworskiego ze Stapińskim). Od tego czasu przestano mnie zapraszać na zebrania stańczyków i nigdy do żadnego stronnictwa nie należałem.

Sympatie moje były raczej, może w myśl tradycji ks. Adama Sapiehy, po stronie podolaków<sup>362</sup> czy nawet endeków. Byłem zawsze blisko z ks. Adamem Sapiehą, biskupem krakowskim, moim wujem, Witoldem Czartoryskim<sup>363</sup>, Żółtowskimi z Niechanowa i innymi. Ale też do żadnego z tych stronnictw nie przystąpiłem. Wiem, że Narodowa Demokracja miała mi za złe przynależność do BBWR w latach 1928–1930, lecz wszedłem tam jako niezależny, wybrany z własnej listy nr 30.

Na uroczystość wręczenia mu dyplomu Obywatela Honorowego miasta Nowego Sącza zjechał w 1921 r. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. Jako ówczesny prezes Rady Powiatowej musiałem go witać. Na dworcu po przyjeździe Piłsudskiego, miałem do niego krótkie przemówienie, którego wobec gry orkiestry wojskowej i panującego zgiełku, prawie nikt nie słyszał, powiedziałem mniej więcej, prócz innych słów powitania, „że mamy nadzieję, że ten gród jagielloński powita go kiedyś nie tylko jako Marszałka i zbawcę Polski, lecz także jako króla polskiego”. Na to z wyrazem zdziwienia, lecz i zadowolenia na mnie spojrział, ale nic nie odpowiedział.

Na wieczornym przyjęciu w ratuszu Stefa, żona moja, cały czas siedziała przy Piłsudskim, bawiąc go, z czego zdawał się być zadowolony i dość ciekawe rzeczy powiedział. I tak m.in., wobec słabości i ciągle zmieniających się rządów i braku stałej większości, Stefa podsunęła mu myśl jakiegoś radykalnego środka, np. zamachu stanu w rodzaju dokonanego przez Eustachego Sapiehę przeciwko rządowi Thugutta<sup>364</sup>, nieudającego co prawda, ale wskutek którego rząd ten ustąpił! Na to Piłsudski powiedział, że czuje się chory i za słaby na to, mówiąc: „Łatwo drzwi otworzyć, ale kto je potem potrafi zamknąć”. Mawiał i pisał zawsze trochę niejasno, tak że trudno odgadnąć, co właściwie myśli. Smakował mu bardzo chleb nawojowski i zapraszał, by go czasem w Belwederze odwiedzić, ale nigdy z tego zaproszenia nie skorzystaliśmy. Po pięciu latach dokonał słynnego „zamachu majowego”, rząd obalił, władzę ujął, przeciwników zgnębił, ale czy to się stało z pożytkiem dla Polski? Z jakich pobudek to uczynił? Może historia kiedyś wyjaśni. Był to człowiek dziwny, bardzo zarozumiały, zamknięty w sobie, że trudno było odgadnąć, co czyni z miłości Ojczyzny, a co z wybujałej, może nad miarę, ambicji i samolubstwa. Sądzę, że dokonując tego zamachu stanu, powinien był mieć gotowy plan działania oraz projekt nowej konstytucji, tego nie było, rządowano nadal nieudolnie, opozycję zwalczano środkami niegodnymi. Partia Marszałkowska, zwana później Blokiem Bezpartyjnym Współpracy

<sup>362</sup> Podolacy – ziemiańskie ugrupowanie polityczne w Galicji Wschodniej.

<sup>363</sup> Witold Czartoryski (1864–1945), polityk galicyjski.

<sup>364</sup> Stanisław Thugutt (1873–1941), działacz chłopski.

z Rządem (BBWR) była w mniejszości, a mówiono podkpiwając, że „większość to BBWR plus szwadron szwoleżerów”. Rzeczywiście raz podczas jakichś zaburzeń w sejmie, aby zniewolić czy zastraszyć opozycję, zobaczyliśmy w kularach mnóstwo oficerów, a w westybulu szwadron szwoleżerów. Dopiero po śmierci Piłsudskiego nową konstytucję, już przy większości BBWR uchwalono, konstytucję niezłą, ale przystosowaną do osobistych rządów jednostki wybitnej, Piłsudskiego, którego tymczasem zabrakło, a jego epigonowie „pułkownicy” zawiedli zupełnie.

Na początku lat dwudziestych zjechał do Sącza jako premier Wincenty Witos, przywódca ludowców „Piastowców”, chłop radykał z Wierzchosławic, ale dobry Polak. Jechał pociągiem od Limanowej, a powitanie jego miało nastąpić na rampie kolejowej „na Helenie”. Tam pojechałem, jako prezes Rady Powiatowej, po niego powozem eleganckim, pięknymi końmi, jakie wtedy jeszcze posiadaliśmy. Gdy jadąc z Witosem, przejechaliśmy most na Dunajcu, rozentuzjasmowane chłopstwo widokiem „swego premiera” wyprzęgło nasze konie i sami zaciągnęli powóz aż przed ratusz. Przy powitaniu oficjalnym powiedziałem m.in.: „Salus reipublice suprema lex esto” (dobro Rzplitej niech będzie naczelnym prawem), na co Witos odpowiedział: „Pamiętamy o tym zawsze”, po czym odbyły się audiencje w starostwie. Zgłosiła się m.in. grupa chłopów z Maciejowej, roszcząca sobie jakieś nieuzasadnione pretensje do mego lasu w Magurzycy z Połyniakiem, znanym warchołem na czele. Gdy wchodził na salę przyjęć, nie uklonili mi się nawet, tak byli pewni tryumfu. Witos przyjął ich w mojej obecności, a wysłuchawszy ich pretensji powiedział: „Tylko żadnych gwałtów, jeżeli macie uzasadnione pretensje, zwróćcie się na drogę sądową” i pożegnał ich chłodno. Proces sądowy już byli dawno przegrali, liczyli tylko na przewrót i chłopskiego premiera. Gdy wychodziłem ze starostwa, kłaniali mi się już do samej ziemi! A spór o Magurzycę ucichł już raz na zawsze. Tak poskutkowało trzeźwa, a praworządna odpowiedź tego trybuna ludu! Był to dawniej demagog, jednak od dojścia do władzy zmienił się znacznie, choć później za czasów sanacji poszedł na lewo, ale gwiazda jego zblakła. Później prześladowany niesłusznie, siedział nawet w Berezie, po czym wyemigrował do ČSR [Česko-Slovenská republika – Czechosłowacja]. Po wojnie był już stary i niestety nie wziął udziału w rządach, nie byłby, sądzę, dopuścił do komunizmu, gdyż był dobrym Polakiem. [...]

Uspсобiony byłem zawsze właściwie „lewicowo”, pragnąłem, by wszystkim było jak najlepiej, dbałem o ludzi podwładnych, chciałem by nie było nierówności, mimo wielkiego przywiązania do rodziny, tradycji, zwyczajów, pamiątek, a zwłaszcza do majątku i lasów, raziły mnie wielkie różnice w stopie życiowej, w wychowaniu i zamożności, miałem nieraz wyrzuty sumienia, że ja posiadam tysiące hektarów lasów, a chłopci, sąsiedzi, prawie nic nie mają. Wiedziałem jednak, że ja dobrze gospodarując na największym obszarze mogę im w każdej chwili przychodzić z pomocą w drzewie i dawać zarobki, podczas gdy oni swoje lasy

nawet, gdy je posiadali, krótkowzrocznie niszczyli, sprzedając drewno Żydom i trwoniąc pieniądze uzyskane w krótkim czasie, przeważnie na wódkę. [...]

Wielką bolączką były udzielane przez banki kredyty wekslowe, pomyślane jako powojenna „pomoc dla odbudowy kraju”, wymagane były wzajemne żyra<sup>365</sup> dwóch ziemian, rezultat był taki, że niejedyn popadłszy w trudności finansowe z winy własnej, czy przez jakieś kataklizmy żywiołowe lub rodzinne, nie mógł wywiązać się z zobowiązań, a wówczas ci żyrancie „grzecznościowi” czy sąsiedzcy musieli za nich „z grzeczności płacić, jak z grzeczności żyrowali”. Odmowa takiego żyra była właściwie niemożliwą, gdyż równało się to odmowie kredytu ze strony banku, a co za tym szło, niemożności zakupu narzędzi czy ziarna siewnego i upadłości gospodarstwa, do czego zdawało się solidarność ziemiańska nie powinna być dopuścić. Na własnej skórze odczułem skutki takich żyr, gdy moja kuzynka Joanna Stadnicka z Wielkiej Wsi, kupiwszy od matki Rożnów, by ocalić majątek przed przejściem w obce (żydowskie) ręce, co zresztą uczyniła za moją doradą, nieco przepłacając ten interes, bez mej wiedzy, nie mogła podolać w płaceniu wysokich, za wysoko oprocentowanych rat, zwróciła się do mnie o żyra na sumę około 350.000 zł. Zgodziłem się na to, by umożliwić jej tańszy kredyt. Niestety wskutek złej gospodarki długi rosły, tak iż wreszcie część długu, w wyniku moich żyr zapłacić musiałem, względnie Stefa, żona moja zapłaciła z sum otrzymanych ze sprzedaży placów na Wierzbnie w Warszawie. [...]

„Ideologią ziemiańską” dalej było dobre gospodarowanie, tak na roli jak w lasach, dostarczanie na rynek wszelkich płodów po cenach umiarkowanych, a wystrzeganie się tzw. paskarstwa, któremu hołdowali przede wszystkim Żydzi, chłopcy i niektórzy mniejsi ziemianie, mający „nóż na gardle”. Bardzo wielu ziemian pomagało bezinteresownie ludności miast, dostarczając żywności podczas okupacji hitlerowskiej, jak np. Hieronim Radziwiłł z Balic, wywieziony i zamordowany przez Moskali w 1945 r. Ja, mając małe [...] gospodarstwo rolne, dostarczałem corocznie po kilka wagonów opału bukowego różnym instytucjom, jak braciom albertynom w Krakowie, klasztorowi Klarysek w Starym Sączu i innym prywatnym. Muszę tu przypomnieć znamieny wypadek świadczący o wielkiej wdzięczności, której doznałem. W Krynicy był malarz pokojowy Grzesicki. Gdy raz poszedłem do niego w sprawie omalowania czegoś dla syna Józia, ten Grzesicki, poznawszy mnie uściskał mnie i powiedział, że nigdy nie zapomni faktu, który się zdarzył, zdaje się za pierwszej wojny światowej. Mieszkał z rodzicami pod Sączem i marzli, nie mając opału. Wtem widzą dwie fury z drzewem, jadące ku ich domowi. Gdy zapytali furmanów dokąd jadą, otrzymali odpowiedź, że do nich od hrabiego z Nawojowej. Radość była niezmierna. Odtąd Grzesicki z wdzięczności wykonywał wszelkie roboty malarskie u Józiołów bezpłatnie, nie chcąc przyjmować za to zapłaty. Nie pamiętałem zupełnie o tym zdarzeniu, widocznie stary Grzesicki poprosił o to kiedyś przy okazji moich częstych bytności w Sączu. Tak dobry uczynek bywa nagrodzony wdzięcznością wiele lat póź-

---

<sup>365</sup> Żyro – poręczenie pieniężne.

niej, gdy potomek obdarowanego ma się lepiej niż ofiarodawca, względnie jego potomstwo.

W pierwszych latach po objęciu majątku, celem zabezpieczenia bytu na starość moim gajowym, zaprowadziłem pewnego rodzaju ubezpieczenie [...], składając dla każdego malutki kapitał po 25 zł na książeczkę, do której dopisywało się prócz procentów wszelkie premie, nagrody, a od salda potrącając ewentualne kary porządkowe. Po kilkudziesięciu latach służby, gdy suma urosła do 1000 kor., mógł ją ubezpieczony podjąć, względnie mógł wedle własnej decyzji otrzymać morgę gruntu i drzewo na budowę domu. Wszyscy ubezpieczeni (jak np. Wilhelm Zaczyk, Jan Słaby, Żerotyński, Czesław Baran i inni) wybrali to ostatnie, dokupując jeszcze do tego więcej pola. Przez to oraz przez dar mój dla ochotników w wojnie „świętej” o niepodległość w roku 1920, dla których kilkadziesiąt morgów w Łabowej ofiarowałem, powstały dwie niewielkie [...] kolonie polskie w Łabowej, wówczas osadzie czysto rusko-żydowskiej, i we Frycowej. W Łabowej potem wspólnie z Towarzystwem Szkoły Ludowej wystawiliśmy kościółek polski i plebanię oraz powstała czytelnia polska TSL, prowadzona przez leśniczego Zająca i ochotnika Oleksego, co razem ze szkołą polską założoną przeze mnie w dawnej destylarni wódki – stało się silną placówką polskości na Łemkowszczyźnie.

Dla urzędników prywatnych istniała instytucja pod nazwą Towarzystwo Urzędników Prywatnych we Lwowie, na czele którego stali kolejno: wuj mój Paweł Sapieha, Zdzisław Tarnowski, a wreszcie Zygmunt Zamoyski. Był to surrogat Ubezpieczalni Społecznej, na którą płacili nie tylko członkowie urzędnicy, lecz także właściciele majątków. To Towarzystwo wybudowało w Krynicy „Lwi Gród”, do dziś istniejący, ale prawdopodobnie nikt z ubezpieczonych ani z ofiarodawców grosza już potem z tego nie zobaczył.

Mówi się i słyszy obecnie dużo o „awansie społecznym” – dobrze, że jest, ale to nic nowego. Awans ten był od dawna i tak syn mego gajowego Błażeja Kowalczyka, na którego kształcenie łożyłem, a który skończył po maturze Wyższą Szkołę Lasową we Lwowie, został leśniczym, potem kontrolerem w dobrach łańcuckich, a potem u mnie dyrektorem lasów w Rytrze, na którym to stanowisku wytrwał do końca, był to Konstanty Kowalczyk. Drugi podobny przykład, to dojeżdżacz i strzelec wuja Witolda Czartoryskiego, Jędrus Szepczyński, późniejszy leśniczy w lasach pełkińskich, którego syn inż. Szepczyński został u mnie w Rytrze zarządcą lasów po Pawle Mikosie, a następnie nadleśniczym Nawojowej i dyrektorem Rejonu Lasów Państwowych w Nowym Sączu, już po 1945 r. [...]

Prócz zajęć we własnych warsztatach (rolno-leśno-przemysłowych) spoczywała prawie cała praca w instytucjach samorządowych, spółdzielniach oraz organizacjach gospodarczo-zawodowych – na barkach ziemian, którzy bezinteresownie pełnili funkcje prezesów rad powiatowych, co zajmowało dużo drogiego czasu. Przypominam sobie, gdy jak zwykle dwa razy w tygodniu podpisywałem stosy akt, dyskutując nad każdą sprawą z sekretarzem Rady Powiatowej Bolesła-

wem Kobakiem, przyszedł w interesie drzewnym kupiec Stein, a gdy mu powiedziałem, że teraz nie mam czasu, on kiwając głową z politowaniem powiedział: „Ny z tego to pan ma dużo dochodu”. Nie mogło mu się w głowie pomieścić, że właściciel znacznych lasów i tartaków, wyżej stawia pracę obywatelską bezpłatną, niż realne interesy finansowe własne.

Z innych czynności moich wspomnę m.in. niektóre, a prawie wszyscy ziemianie w swych okręgach (czy powiatach) mieli wiele podobnych obowiązków. A więc prezesura Rady Nadzorczej Składnicy Kółek Rolniczych w Nowym Sączu, którą to godność piastowałem od założenia Składnicy w 1912 r. bez przerwy przez 25 lat do 1937 r., prezesura Związku Ziemian Krakowskiego 1919–1922, a następnie członkostwo Wydziału Z.Z. do 1939 r., członkostwa Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich w Warszawie Wydziału Zrzeszenia Związków Właścicieli Lasów w Warszawie, Rady Związków Drzewnych w Warszawie, Prezydium, najpierw Krajowego Związku Uzdrowisk we Lwowie, a potem Polskiego Związku Uzdrowisk w Warszawie. Przez pewien czas członkostwa: Verband der Rein-Natürlichen Heilquellen Oesterreichs w Wiedniu, komisji porozumiewawczej państw produkujących papierówkę w Pradze czeskiej, Kuratorium Fundacji Kórnickiej w Kórniku i członkostwo Komisji Rewizyjnej tejże Fundacji, Fundacji Ossolineum we Lwowie, „jako kurator potomności”. Dalej w latach 1928–1930 posłowanie do Sejmu Rzplitej w Warszawie. Przez kilka lat członkostwo Rady Nadzorczej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie [oraz] Komisji Uzdrowiskowej w Szczawnicy. W związku z niektórymi powyżej wymienionymi funkcjami uczestniczyłem jako delegat Zrzeszenia Właścicieli Lasów i rządu w międzynarodowych konferencjach drzewnych w Brukseli, Paryżu, oraz jako członek sejmu w konferencji międzyparlamentarnej w Algierze w 1929 r. [...]

Wspomnieć muszę jeszcze krótko o przemyśle drzewnym. Jeszcze w połowie XIX w. eksploatacja lasów odbywała się przeważnie tak, że sprzedawano drzewostany rębne, wprowadzając na podstawie zatwierdzonych planów, kupcom żydowskim, którzy przerabiali surowiec w prymitywnych tartakach wodnych, niekiedy także w doraźnie stawianych parowych, które po wyeksploatowaniu drzewostanów rozbierano. Zysk właścicieli lasów był minimalny, gdyż nie mając kontaktu z rynkami zbytu, nie orientowali się w cenach, jakich powinni byli żądać, a mogli byli osiągnąć, sprzedawali surowiec drzewny przeważnie za bezcen. Zasadnicza zmiana nastąpiła właściwie dopiero pod koniec XIX w. Powstawały wtedy wzorowo urządzone tartaki, stolarnie, beczkarnie, w własnym zarządzie właścicieli majątków leśnych prowadzone, przerabiające surowiec drzewny na eksport oraz na rynek wewnętrzny, tak iż ta ekstensywna gospodarka leśna, zwłaszcza w większych majątkach leśnych ustała, a na jej miejsce zaczęła się wzorowa gospodarka. Jedynie lasy państwowe austriackie sprzedawały jeszcze różnym firmom znaczne kompleksy leśne na pniu do eksploatacji, przez co powstawały wielkie lite zręby zupełne, trudne do zalesienia (Karpaty Wschodnie). Właściwie dopiero ustawa o ochronie lasów z lat dziewięćdziesiątych XIX w.



wprowadziła obowiązek zagospodarowania lasów na podstawie zatwierdzonych przez władze, sporządzanych przez kwalifikowanych leśników, planów gospodarczych. Plany te początkowo dość szablonowe, oparte na systemie powierzchniowym (austriackiej taksy kameralnej), z czasem pod wpływem postępowej nauki leśnictwa (francuskiej, szwajcarskiej i niemieckiej), która do nas dotarła przez Henryka Strzeleckiego, Stanisława Sokołowskiego i innych, stały się racjonalniejsze i umożliwiły prowadzenie gospodarstwa leśnego na zasadach obserwacji przyrody i troski o podniesienie przyrostu, a tym samym produkcji lasów.

Kończywszy studia leśne w Monachium, powierzyłem przeprowadzenie planu gospodarczo-leśnego w lasach nawojowskich i szlachtetwskich Małaczynskiemu, ówczesnemu dyrektorowi Wyższej Szkoły Leśnej we Lwowie, w opracowaniu tych planów gospodarczych współpracowałem osobiście wraz z moim personelem leśnym, uważałem bowiem i uważam, że gospodarz leśnik mający według nich gospodarować, musi mieć wpływ na ich wykonanie, aby nie były oparte na teoriach „od zielonego stolika”, lecz rzeczywistym obrazem stanu lasów, ich odbitką. Las, jego życie i dobro są ważniejsze niż teoria, wykresy i mapy, które należy dostosować do potrzeb lasu, a nie próbować nigdy naginać i poprawiać przyrodę i życie lasu do takich czy innych teorii. Współpracownikami moimi w gospodarstwie leśnym byli m.in. Konstanty Kowalczyk, późniejszy dyrektor Rytra, Piotr Mucha, nadleśniczy w Nawojowej, obaj absolwenci Lwowskiej Szkoły Lasowej, z niższych wykonawców Paweł Mikos, Eugeniusz Ziller i Kazimierz Zajac. Przekonałem się, że nieraz ludzie bez akademickiego wykształcenia, ale rozumiejący las i chętnie stosujący się do fachowych wskazówek, są nieraz lepszymi leśnikami niż wysoko o sobie mniemający inżynierowie, którym jednak brak zamięłowania i zrozumienia potrzeb lasu. Wiele można było nauczyć się od starych kochających las i umiejących nań patrzeć gajowych, którzy byli moimi bliskimi współopiekunami lasów i przyjaciółmi.

Zasadą moją było obserwowanie lasu i jego życia, pomaganie mu w naturalnym odnawianiu się samosiewem z rodzimych najlepszych drzew i drzewostanów, utrzymanie typu i pomieszczenia takiego, jakie przyroda już od wieków wytworzyła. Gdy lasy objąłem, było w nich bardzo wiele drzewostanów pierwotnych, wspaniałych 300- do 400-letnich bukowo-jodłowych. Usuwało się stale co najgorsze, najstarsze, o zmniejszonym już przyroście, a pielęgnowało się drzewa i drzewostany najlepsze, w pełni rozwoju i przyrostu będące. Usuwało się stare opałowe buczyny, zastępując je częściowo świerkiem jodłą, jaworem, utrzymując jednak zawsze przymieszkę buka. Wprowadziłem z gatunków obcych, egzotycznych daglezie<sup>366</sup>, z której doczekałem się już nalotów naturalnych, modrzewia japońskiego, również zaczynającego się obsiewać. Pragnieniem moim było doczekać wyników mojej pracy, a w zamięłowaniu do lasów wychowywałem synów Józefa i Andrzeja, wtajemniczając ich w swe plany na przyszłość. Bowiem racjo-

---

<sup>366</sup> Daglezja, jedlina zielona.

nalna gospodarka leśna jest możliwa tylko na długą metę, gdy syn wie, do czego ojciec dążył, czemu tak a nie inaczej drzewostany prowadził, a następnie znowu następnej generacji przekazuje wiadomości zdobyte przez poprzednie generacje. Tak było u nas. Po dziadku i ojcu ja odziedziczyłem zamięłowanie i pieczołowitość, którymi od stu lat lasy nasze były hodowane i pragnąłem przekazać je wraz z lasami synom. Niestety wypadki dziejowe i nieubłagana śmierć synów przewrały te plany. Lasy zostały upaństwowione, ciągłość pracy i trudu przerwana. Daj Boże, by nie zostały całkiem zniszczone zgubnym szablonem, jaki niestety w lasach państwowych panuje, a częstą zmianą personelu jeszcze pogorszony bywa. Troska o lasy i ich przyszłość była moją myślą przewodnią<sup>367</sup>. [...]

Lasy były moim umiłowaniem, dążyłem do ich wzorowego zagospodarowania, a że to jest niemożliwe bez rentowności, a rentowność lasów zależną jest od przyrostu rocznego, który znów zależy od obszaru, co łącznie stanowi o ich produkcji, czyli użytku. Starałem się o wydatne powiększenie warsztatu pracy, by gospodarując racjonalnie mieć środki do życia i piękne lasy. To było celem mego życia, a dopiąłem go przez nabycie lasów szczawnickich i ryterskich, co utworzyło kompleks około 9000 ha.

Chcąc zachować w stanie pierwotnym niektóre przynajmniej części wspaniałych pierwotnych drzewostanów i wyłączyć je od użytkowania, ustanowiłem kilka, małych co prawda, rezerwatów, aby przyszłe generacje widziały, jakie lasy pokrywały ongiś całe prawie Karpaty.

Jeden taki rezerwat ustanowiłem w Łabowcu w oddziale 59, w tym rezerwacie gościłem w 1928 r. Piąty Zjazd Międzynarodowy Botaników. Obejmował on pierwotnie 10 ha, gdy jednak władze nasze nie uwzględniły mej propozycji przyjęcia tego rezerwatu w zamian za osławioną „danicę leśną”, na pokrycie której nakazano właścicielom lasów wycięcie dziesięcioletniego etatu rębnego, w ciągu lat pięciu, co było nakazem dewastacji lasów, zostałem zmuszony do ograniczenia powierzchni tego rezerwatu do mniej więcej 3 ha. Drugim rezerwatem był „Skalnik” w Barnowcu, oddział 42, obejmujący również niespełna 3 ha. Trzecim był tzw. „las dziewiczy” w lasach ryterskich w Roztoce Wielkiej w Baniskach oddział 75. Czwarty był w lasach szlachtowskich w „Starym”. Był to czysto świerkowy las różnowiekowy, z pięknymi naturalnymi podrostami świerka. Trzy pierwsze były to drzewostany typowe karpaccie regla dolnego jodłowo-bukowe, z kilku kolosami świerka w Barnowcu. Półrezerwatem był drzewostan jodłowo-bukowy, różnowiekowy w Uhryniu w oddziale 67, w którym była najgrubsza jodła w moich lasach o obwodzie 8 m, a 2 m średnicy. Jodły dochodziły do 46 m wysokości, a świerk najwyższy w oddziale 75 w Rytrze miał 55 m wysokości przy 1,5 m pierśnicy. [...]

Dla racjonalnego zużytkowania drewna zbudowałem w 1906/1907 r. tartak parowy w Nawojowej, uzupełniony później w latach dwudziestych stolarnią, a zniosłem trzy wodne prymitywne trzecie w Nawojowej, Łabowej i Nowej Wsi.

<sup>367</sup> Więcej na ten temat A. Stadnicki, *Uwagi o lasach i gospodarstwie leśnym dla leśników i miłośników lasu skreślone w latach 1945–1946*. Maszynopis w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie.

Prócz tarcicy o wymiarach krajowych i eksportowych do Francji, Anglii i Holandii produkowaliśmy w stolarni z buczyny (lichej) leżaki, wieszaki, krzesła, dostarczane przeważnie do Anglii na parowce. [...] Prócz tego produkowaliśmy stolarszczyznę do wszystkich budowanych domów w Szczawnicy („Inhalatorium” i „Modrzewie”), a to: parkiety, drzwi, okna i meble.

W Rytrze też objąłem tartak czterogatowy z innymi szwedzkimi maszynami do obróbki drewna. Tartak ten położony tuż przy stacji i nad spławnym Popradem, przecierał prócz własnego także drewno nabywane w lasach państwowych, [w czasie] okupacji uzupełniony stolarnią, został niestety spalony przez cofających się Niemców. Od tego samego losu uratowałem tartak nawojowski, zaprosiwszy Niemców, wysłanych celem dokonania tego, na wódkę i wytłumaczywszy im, że tartak jest niezbędny dla utrzymania pracujących w nim ludzi. Dali się uprosić i odjechali. [...]

W lasach nawojowskich przeważały stare drzewostany bukowe, użytkowane dotąd tylko na produkcję drewna opałowego, co oczywiście było nierentowne. Zresztą odnosiło się to do wszystkich lasów górskich. Jako przykład podam, że gdy pierwszy raz pertraktowałem o nabycie Rytra, wysłali moi opiekunowie pana Krausa, znanego leśnika, w celu oszacowania tych lasów, aby mnie ostrzec przed „wpadkiem”. Otóż Kraus przy ocenie tych lasów przyjął jako wartość około 2000 ha starodrzewi bukowych kwotę ujemną, oceniając ha po około minus 200 kor., gdyż jego zdaniem należało te bezwartościowe drzewostany usunąć i zalesić na nowo, kosztem mniej więcej 200 kor. na ha. Był to oczywiście błąd, polegający na krótkowzroczności i niedocenianiu przyszłej możliwości zużytkowania także buczyn. To było jedną z przyczyn, które mi uniemożliwiły nabycie Rytra jeszcze pełnowartościowego, niezdewastowanego późniejszą gospodarką Potockiego i Niemców, gdyż ocenił Rytro na 1.800.000 kor., a Liebig żądał jednego miliona guldenów, czyli 2 miliony koron.

Otóż objąwszy Nawojową, wziąłem się do możliwie korzystnego wygospodarowania czegoś z buczyn, gdyż racjonalna gospodarka wykluczała użytkowanie jedynie drzewostanów iglastych, a pozostawienie buczyn na pniu lub, w najlepszym razie, wyróbkę opału, na co zbyt był ograniczony, a przy tym nierentowny. Przystudiowałem wszelkie możliwości z dostępnych mi książek i zwiedziwszy różne zakłady przetwórcze, wziąłem się do produkcji łat meblowych, które dostarczaliśmy do fabryk mebli giętych w Buczkowicach i Jazowsku, a prócz tego wyrabialiśmy w lesie podkłady kolejowe, sprzedawane kolejom państwowym do impregnacji. Ta produkcja była jednak mało rentowna. Wymagania odnośnie łat meblowych były bardzo wygórowane (bezsęczne, niekręte), a transport podkładów, przy niskich cenach tego produktu, był zbyt wysoki. Zaczęliśmy więc wyrabiać beczułki bukowe, a gdy i to się nie udawało założyłem około 1928 r. stolarnię w celu wyrobu „galanterii drzewnej”, o czym już wyżej wspomniałem. Również w Rytrze przecierano buczynę. Tak iż ten, do niedawna deficytowy gatunek drewna, zajął już poważne miejsce w naszej produkcji,

która, gdyby nie światowy kryzys lat trzydziestych i następnych byłaby się stała rentowniejszą. [...]

Od roku 1912 przybyła mi praca związana z administracją majątku, przede wszystkim leśnego Vranov na Morawach. Tam lasy 5400 ha prowadziłem osobiście, gospodarstwem rolnym około 600 ha kierował dyrektor pan Nikodem. Po przeprowadzeniu tam upaństwowienia części majątku, 3200 ha lasu i 400 ha gruntów folwarcznych, za opłatą, która równała się daninie majątkowej w latach 1926–1927, pozostało mi dobrze skomasowanych 2200 ha lasów i około 200 ha gruntów rolnych. Pod kierownictwem pana Holuba postawiłem przy stacji kolejowej tartak o napędzie elektrycznym, a wobec sprężystej administracji Holuba, a po jego śmierci (1933) pana Breyara, dochód z tego nawet umniejszonego majątku wzrósł znacznie, tak iż miałem nawet pewne kapitały za granicą, które w 1938 r. sprowadziłem do Polski niestety.

W ciągu całego tzw. dwudziestolecia, czyli Polski wolnej i niepodległej, dużo czasu musiałem poświęcać pracom w Związkach Ziemiaków i Radzie Naczelnej Organizacji Ziemiańskich, skupiających prawie całe polskie ziemiaństwo. Organizacje te były konieczne ze względu na już wtedy rozpętaną demagogiczną walkę o tzw. „reformę rolną”, która od tego czasu jak „wąż morski” przewija się przez życie ekonomiczne wszystkich narodów i kontynentów. Ziemiaństwo rozumieło dobrze potrzebę „reformy”, lecz pojmowaliśmy ją zupełnie inaczej. Przede wszystkim należało podnieść oświatę rolniczą, następnie przez spółdzielnie dobrowolnie umożliwić wsi wyrwanie, ale spod wyzysku żydowskiego (lichwy i handlu paskarskiego), dalej przeprowadzić wszędzie komasację gruntów, zapobiegając fatalnej szachownicy, co uniemożliwiało jakąkolwiek racjonalną, postępową gospodarkę, w związku z tym przeprowadzić melioracje (drenowanie, nawodnienie *etc.*), wreszcie przez ustawodawstwo podobne do tego, jakie było już w b. Galicji przez Sejm Krajowy uchwalone w ustawie „O włościach rentowych”, zapobiec nadmiernemu i szkodliwemu rozdrabnianiu gruntów włościńskich. Następnie byliśmy zwolennikami parcelacji, umożliwiającej chłopom bezrolnym lub małorolnym powiększenie ich warsztatów pracy, lecz na podstawie kupna, na warunkach ulgowych, gruntów, bez przymusu i bez wywłaszczenia, za sprawiedliwym odszkodowaniem dla odstępującej swej posiadłości większej własności.

Zrzeszonemu ziemiaństwu chodziło o to, by bez niszczenia dobrze zagospodarowanych większych obiektów, które były głównymi producentami zbóż i żywności, bez krzywdy społecznej, umożliwić młodszemu bractwu rolniczym uzyskanie ziemi. Przeto ziemiaństwo zrzeszeni w Związkach Ziemiaków zaoferowali Państwu dobrowolnie w 1920/1921 r. około 2 miliony morgów użytków rolnych do parcelacji, z tym miały iść w pierwszym rzędzie obiekty źle zagospodarowane, grunta odległe, w dzierżawach będące, grunta „martwej ręki”, następnie folwarki w rękach obcych, nie polskich będące. Oferta ta nie została uwzględniona niestety – jak sądzę z przyczyny tej, że politycy różni woleli sami uchodzić za

„dobroczyńców”, na ziemiaństwo, jako klasę opierającą się postępowi, zrzucić odium, jako na rzekomo zagorzałych przeciwników sprawiedliwego rozdziału ziemi. Uchwalono wtedy najpierw ustawę „O reformie rolnej”, potem „O wykonaniu reformy rolnej” i państwo corocznie wydawało tzw. „listę imienną”, przeznaczając w niej pewne obszary do przymusowej parcelacji.

Na Radzie Naczelnej Organizacji Ziemiańskich ciążył odtąd obowiązek chronienia najlepszych gospodarstw i czynienia starań, by ta parcelacja nie niszczyła produkcji krajowej przez niszczenie najlepszych warsztatów. Drugą troską była ochrona większych warsztatów rolno-leśnych przed nadmiernymi podatkami, które wobec wprowadzenia progresji obciążały celowo większe warsztaty, tak by je tym sposobem zniszczyć i do sprzedaży na parcelację zmuszać. Podobne cele miały „daniny majątkowe jednorazowe”, odbierające ziemiańskim kapitał obrotowy, kto go miał, względnie znów zmuszające do likwidacji substancji majątkowej. Najgorszą odmianą tych podatków majątkowych była „danina leśna”, przewidująca wyręb dziesięciolecia w ciągu lat pięciu oraz przydzielanie drewna przez władze na cele „odbudowy wojennej”. Było to pociągnięcie zbrodnicze. W kraju zniszczonym wojną, gdzie lesistość była niska, a tendencja narodowa, raczej z niewielu wyjątkami, szła w kierunku i tak nadmiernego użytkowania lasów przy pomocy i pośrednictwie Żydów, należało po wojnie raczej przymusowo ograniczyć wyręby i nie zmuszać właścicieli do dewastacji lasów. Przydzielano drewno różnym paskarzom i spekulantom, niepotrzebującym go na odbudowę zniszczeń wojennych, gdyż prawdziwa biedota, bez względu na to, czy szkody poniosła od działań wojennych czy potrzebowała drewna na poprawę budynków czy opał, otrzymywała je przeważnie bezpłatnie od właścicieli lasów z ich własnej inicjatywy.

Wreszcie ochrona większej własności przed nadmiernymi „świadczeniami socjalnymi”, wzorowanymi na przebogatej Anglii, a zmierzającymi również do zubożenia ziemiaństwa, zresztą także wojną zniszczonego – to były główne troski i prace organizacji ziemiańskich wojewódzkich i centralnej (RNOZ).

Najwybitniejszymi działaczami i kierownikami RNOZ byli panowie: Kazimierz Fudakowski, Jan Stecki, Jan Lutosławski, Kazimierz Lubomirski, Zbigniew Grabowski, Aleksander Dworski, Adam Głazowski, Marian Rudziński, Jan Konopka, Henryk Leszczyński, Adolf Bniński, H. Szułdrzyński, Maurycy Zamoyski i wielu innych.

Po nadziejach i radości 1916 r., proklamacja Polski przez dwóch cesarzy, zasępiły znów czarne chmury horyzont polski. W lutym spadła jak grom wieść o zawarciu tzw. pokoju brzeskiego<sup>368</sup>. W tym traktacie mocarstwa centralne odstępowały bolszewikom nie tylko wszystkie dawne polskie Ziemie Zabrane, lecz także Chełmszczyznę, która nawet za caratu administracyjnie należała do Królestwa Kongresowego. Ten cios przyczynił się jednak do rozbudzenia patriotyzmu i złączenia się wszystkich klas narodu. Społeczeństwo polskie

---

<sup>368</sup> Pokój brzeski 9 II 1918 r.

w Galicji, mimo trwania wojny, więc „stanu wyjątkowego”, surowego zakazu wszelkich zebrań, wieców, a tym bardziej strajków, odpowiedziało na ten traktat jednodniowym strajkiem powszechnym. W dniu 18 II 1918 r. stanęło całe życie. Koleje, fabryki, co żyło dążyło na manifestacyjne zebrania do miast. My w nastroju świątecznym i poważnym dążyliśmy wśród tłumów do Nowego Sącza. Już po drodze widzimy, że na kolei i Warsztatach Kolejowych ruch wstrzymany, a wszystko udekorowane chorągwiami polskimi. Robotnicy pełniący warty pozdrawiają nas serdecznie. Ta manifestacja narodowa, pod obcym jeszcze zaborem w czasie trwania wojny, robiła wrażenie niesłychane. Pierwsza właściwie taka manifestacja wszystkich stanów od czasów Konstytucji Trzeciego Maja to było coś niesłychanego i niesamowitego, zwłaszcza że można było każdej chwili spodziewać się salwy karabinowej i rozpędzenia tych rozentuzjasmowanych, a spokojnych tłumów, przejętych tylko jedną, myślą: miłości Ojczyzny, chęcią jej obrony! Organizacja i uświadomienie tych tłumów były wspaniałe, niestety krótkotrwałe.

Na rynku, dokąd zdążyły pochody ze wszystkich stron, reprezentujące wszystkie stronnictwa i wszystkie klasy społeczne, ustawiono cztery mównice, na czterech rogach rynku, z których przemawiali przedstawiciele różnych stronnictw, wyjaśniając zebranym tłumom sytuację i powód manifestacji, kończąc protestem przeciwko takiemu pokojowi rozćwiartowującemu Polskę, jeszcze bezsilną przed jej właściwym powstaniem. W końcu odczytaliśmy ślubowanie wierności Polsce. Odczytali je do stutysięcznego tłumu: burmistrz Władysław Barbacki, robotnik kolejowy Bielat, chłop Narcyz Potoczek i ja, po czym odśpiewano *Rotę Konopnickiej*. Zszedłszy z trybuny padliśmy sobie z Narcyzem Potoczkiem w objęcia, co przyjęto owacyjnie. Odtąd zapanowała w Sączu prawdziwa zgoda i jedność wszystkich Polaków bez względu na przynależność klasową i zapatrywania polityczne, co znalazło wyraz potem jesienią w formowaniu Komisji Likwidacyjnej przejmującej władzę od Austrii. Rząd austriacki nie śmiał zastosować żadnych represji, mimo to, że te manifestacje i strajk były przeciw niemu zwrócone. Odnieśliśmy zwycięstwo nie tylko moralne, lecz faktyczne, gdyż zaraz potem Austria i Niemcy ruszyły naprzód, zrywając faktycznie ten niecny traktat, wynikający z ich chwilowej słabości i widma głodu. Zajęły całe Ziemie Zabrane wraz z Kijowem, co umożliwiło wielu Polakom odwiedzenie, a częściowo i odzyskanie części swej własności, Przypuszczam, że w innych miastach Galicji, a może i w Królestwie, odbyły się podobne manifestacje, czego jednak nie pomnę, gdyż gazety o tym pisać nie mogły.

Jesienią 1918 r., po powrocie z Balic, gdzie się zatrzymaliśmy wracając z rykowiska we Frainie, zachorowałem na „hiszpankę”. Straszna ta choroba, skutek wojny, zabrała w okolicy mnóstwo ofiar! Był to rodzaj dżumy. Gdy byłem bardzo chory, prof. Latkowski z Krakowa sprowadzony nie robił wiele nadziei utrzymania mnie przy życiu, przyjąłem ostatnie sakramenta, potem byłem nieprzytomny przy 40 stopniach gorączki, wtedy Stefa z mocną wiarą zrobiła mi

wieczorem kompres z wody z Lourdes, a rano temperatura spadła do 36 stopni, a wkrótce wyzdrowiałem zupełnie. Był to widoczny cud wymodlony wiarą i miłością Stefy oraz matki mojej i dzieci, pięciu córeczek, gdyż ja nie byłem godzien tego cudu i łaski. W miesiąc potem polowałem znów na dziki w Rytrze i brałem udział we wszystkich zebraniach politycznych w Sączu, Komisji Likwidacyjnej, zebraniach przedwyborczych itp. Na jednym z takich zebrań, gdzie przewodniczyłem jako prezes Rady Powiatowej i Związku Obrony Ziem Zachodnich, mowę kandydacką wygłosił premier Moraczewski<sup>369</sup>, jacyś komuniści zaczęli przeskadzać, wołając że chcą sowietów. Wielkim głosem wezwałem do spokoju i zawołałem, że wszyscy tylko dla Polski pracować powinni, tych opozycjonistów ze sali usunęto. Odbywało się to zebranie w Domu Robotniczym na kolei w Nowym Sączu.

Po zakończeniu I wojny światowej 11 XI 1918 r. zaczęła się organizacja Państwa Polskiego. Najpierw trudności, na jakie natrafiła Rada Regencyjna, potem bolszewizujący „rząd lubelski”, do którego Witos nie przystąpił, a Piłsudski uwolniony z Magdeburga, gdzie był przez Niemców trzymany, rząd ten rozwiązał i zamianował inny centralny pod Moraczewskim. Te rządy ciągle się zmieniały, gdyż nie było niestety w Warszawie zgody i jedności, a stronnictwa żarły się między sobą. Niestety nie było jedności nawet w chwili tak decydującej, jak tworzenie się niepodległej Polski. Na szczęście przecie udało się Piłsudskiemu opanować sytuację. Poczęto tworzyć armię polską z szczątków armii zaborczych oraz z Legionów. Najpierw rozbrajano Niemców i Austriaków, potem przyszły krwawe i ciężkie walki o Lwów i Małopolskę Wschodnią, którą próbowali opanować Rusini (Ukraińcy), wspomagani przez cofającą się armię austriacką z Ukrainy. Wielu ochotników do obrony Lwowa się zgłaszało, m.in. młody Skąpski, syn Jana Skąpskiego z Brzeznej. W obronie Lwowa zginął mój kuzyn Staś Sapięha<sup>370</sup>, najmłodszy syn wuja Władzia.

Na wszystkich frontach zaczęła się „nasza wojna” o niepodległość. W Poznańskim walczono z wojskami niemieckimi, na Śląsku Cieszyńskim z Czechami, najważniejszym polem walki był oczywiście wschód. Na marsz Piłsudskiego na Kijów zapatrywano się rozmaicie. Planem jego zdaje się było przerzucanie terenu walki jak najdalej od granic Polski oraz spowodowanie powstania Ukrainy pod Petlurą przeciwko Rosji. Może siły nasze i Petlury były za małe na takie przedsięwzięcie, w każdym razie przerzucając front daleko od granic rdzennej Polski, dawało się możliwość sformowania tymczasem armii odpowiedniej w kraju. Wyprawa ta dała pole do wielu czynów mężnych i umożliwiła ewakuację wielu wartości z Podola Wołynia i Ukrainy. Niestety w wielu wypadkach przyszła za późno, po rozgromieniu wielu majątków, rozgromieniu i zniszczeniu dorobku kulturalnego polskiego na tych terenach i wymordowaniu wielu bezbronnych ludzi, którzy pracę życia w te ziemie i dobrobyt ludności wło-

<sup>369</sup> Jędrzej Moraczewski (1870–1944), polityk, działacz PPSD i PPS, premier w l. 1918–1919.

<sup>370</sup> Stanisław Sapięha (1896–1919), ziemianin.

żyli, jak osiemdziesięcioletniego ks. Romana Sanguszki w Sławucie, Emeryka Mańkowskiego w Borówce i wielu innych. Odwrót naszych armii był tragiczny, zdawało się, że to już koniec Polski, że ulegnie niezliczonym hordom bolszewickim. Kawaleryjska armia Budionnego<sup>371</sup> dotarła aż pod Lwów i Zamość. Główna armia bolszewicka pod Tuchaczewskim<sup>372</sup>, zajmwszy całą Litwę, której bronił generał Stanisław Szeptycki, chory wówczas na tyfus, szła na Warszawę i Płock z zamiarem przekroczenia Wisły, jak w 1831 r. pod Paskiewiczem<sup>373</sup>. Wtedy znów zgodnym porywem całego narodu powstała armia ochotnicza, zachęcona do czynu płomiennym wezwaniem premiera Witosa, która pod komendą gen. Józefa Hallera<sup>374</sup> broniła Warszawy, a Piłsudski z Rydzem Śmigłym zagroził tyłom armii radzieckiej od południa, znad Wieprza pod Kockiem, gen. Sikorski nad Wkrą, na północ od Warszawy, odciął armii radzieckiej odwrót odpieranej koło Torunia przez wojska poznańskie. Rząd i ambasady obce już opuściły Warszawę i przeniosły się do Poznania, jeden nuncjusz Stolicy św., Mons. Ratti, późniejszy papież Pius XI, nie zwątpił w opiekę boską i w Warszawie pozostał. Dnia 15 VIII w Święto Wniebowzięcia Najświętszej Panny los walk na wszystkich frontach rozstrzygnął się tym „Cudem nad Wisłą”, co spowodowało klęskę i ucieczkę zdemoralizowanej, źle wyposażonej armii bolszewickiej. Wypędzono wroga aż za Dźwinę i za błota pińskie, a następnie zawarto pokój ryski<sup>375</sup> dla nas dosyć korzystny w 1921 r. za ministra spraw zagranicznych Eustachego Sapiehy.

Bitwa pod Warszawą 15 VIII 1920 r., zwana „Cudem nad Wisłą”, była od trzystu prawie lat pierwszym zwycięstwem oręża polskiego, a lord D’Abernon<sup>376</sup> w swej książce, którąc tam najdonioślejszą bitwą w dziejach, gdyż ocaliła Europę przed najazdem dziczy bolszewickiej.

Jako ówczesny prezes Krakowskiego Związku Ziemian, nie uczestniczyłem w walkach orężnych, gdyż naszym zadaniem było organizowanie wszelkich dostaw dla armii: koni, sprzętu i ochotników. Tutek Tarnowski z Dzikowa stanął sam na czele oddziału złożonego ze służby majątku, a Zdzisław, ojciec jego, ofiarował ochotnikom ok. 300 morgów gruntu. Ja starałem się też ludzi zachęcać, dałem ochotnikom kilkadziesiąt morgów w Łabowej, zgłosiło się kilku, m.in. Oleksy i Janek Gądek, mój chłopak stajenny, który niestety zginął na froncie.

Rząd i misje zagraniczne opuściły Warszawę w przededniu bitwy, jedynie Mons. Ratti, nuncjusz, pozostał, ufny widocznie w moc modlitwy.

Ja byłem w Krakowie zajęty właśnie pracą pomocniczą w Związku Ziemian, wieści hiobowe nadchodziły z Warszawy. Wyjechałem nocą z 14 na 15 VIII do Nawojowej, przyjechawszy zastałem wszystkich już w kościele. Tego dnia była I komunія św. Marii i Jadzi. Siadłszy w ławce, szepnąłem do Stefy: „Strasz-

<sup>371</sup> Siemion Budionny (1883–1973), marszałek radziecki.

<sup>372</sup> Michał Tuchaczewski (1893–1937), marszałek radziecki.

<sup>373</sup> Iwan Paskiewicz (1782–1856), gen. carski.

<sup>374</sup> Józef Haller (1873–1960), gen. aust. i polski.

<sup>375</sup> Pokój ryski zawarty 18 III 1921 r. między Polską a ZSRR.

<sup>376</sup> E.V. D’Abernon (1857–1941), dyplomata ang., autor książki *18-ta decydująca bitwa świata*. Tł. pol. W-wa 1932.



ne wiadomości, kto wie, czy Warszawa już nie wzięta?” Na co Stefa spokojnie odpowiada: „Wszystko będzie dobrze, Matka Boska obroni, bo dziś jej święto i I komunია św. dziewczynek”. Drugi raz w życiu jej słowa się sprawdziły co do joty. Widocznie Duch św. ją natchnął!

Dzień 15 sierpnia odtąd był czczony jako podwójne święto Matki Boskiej Wniebowzięcie i „Cudu nad Wisłą”. [...]

W pierwszych latach organizowania się Państwa Polskiego powstawały we wszystkich powiatach tzw. Komisje Likwidacyjne, mające za zadanie przejmowanie władzy i organizowanie nowej administracji. W powiecie sądeckim, jako prezes Rady Powiatowej, byłem jej członkiem. Członkami byli znów reprezentanci wszystkich stronnictw i warstw społecznych. Komendantem placu został major Trzciniński<sup>377</sup>, b. rotmistrz ułanów austr., z którym, jak również z jego rodziną, zaprzyjaźniliśmy się.

Odbwały się wtedy liczne wiece przedwyborcze do Sejmu Ustawodawczego, na które zjeżdżali różni politycy i kandydaci. Przyjechał m.in. raz Jędrzej Moraczewski, późniejszy premier, czy przybył jako kandydat na posła, czy jako desygnowany premier, nie pamiętam. Wiec odbywał się w Domu Robotniczym, ja przewodniczyłem, nie pomnę z jakiego tytułu, czy jako prezes Rady Powiatowej, czy Towarzystwa Ochrony Kresów Zachodnich. Dostyc, że podczas dyskusji nad bardzo umiarkowanym referatem Moraczewskiego wyrwał się jakiś młody zapaleniec, komunista, który wraz ze swymi zwolennikami zaczął krzyczeć, domagając się „dyktatury proletariatu”, nie chciał słuchać wprowadzie radykalnych, ale w duchu polskim utrzymanych zapatrywań Moraczewskiego. Wtedy ja z tytułu przewodniczenia zawołałem głośno: że dziś nie czas na dzielenie się na klasy, stany czy partie, wszyscy jesteście Polakami, musimy współzawodniczyć w ofiarnej pracy dla Ojczyzny, inaczej zginiemy. To trafiło do przekonania większości, działo się w styczniu roku 1919. Oponentów zakrzyczano i zgodnie wiec zakończono. Tak to wtedy hasła miłości Ojczyzny i zgody społecznej jeszcze zwyciężały.

Z wydarzeń rodzinnych muszę wspomnieć o kilku ważnych.

W styczniu zmarł prawie nagle na anginę pectoris teść mój Paweł Woroniecki, cichy pracownik na swym warsztacie rolnym, człowiek dobry niezmiernie, powszechnie czczony i lubiany przez chłopów i sąsiadów.

Następnie 16 X 1919 r. dał nam Pan Bóg upragnionego syna Józefa, a w rok później 30 XI 1920 r. drugiego, Jędrka. Bóg wysłuchał nasze prośby, toteż moje *votum* wystawienia kościoła na tę pamiątkę, stało się aktualne w dziesięcioletnią rocznicę kupna Rytra, wystawiłem tam kościółek, pod wezwaniem Józefa, jako widomy znak wdzięczności.

W 1922 r. zrobiłem to głupstwo, że pozwoliłem Narodowej Demokracji, liczącej na moją popularność w powiatach tego okręgu wyborczego Nowy Sącz, Limanowa, Nowy Targ, umieścić się na liście kandydatów na posła do sejmku.

<sup>377</sup> Kazimierz Trzciniński (1893–1977), mjr WP, I d-ca garnizonu w Nowym Sączu.

Umieścili mnie jednak perfidnie na trzecim, beznadziejnym miejscu, aby „ciągnąć” ich nieznanego zupełnie w okręgu i nic nieznaczącego kandydata, jakiegoś Jachymiaka. Na wiecu w Starym Sączu, na który z ciekawości pojechałem, urządzony przez endecję w „Sokole”, socjaliści mający tam większość opanowali salę, wyrzucili endeckie prezidium. Endecy wszyscy wobec tego opuścili salę, namawiając mnie bym to samo uczynił, ale ja zostałem, bo byłem ciekawy końca. Nie obawiałem się o swą osobę, bo wiedziałem, że mnie tam, jak zresztą w całym powiecie, znają. Ponieważ endecy na liście kandydatów przy moim nazwisku napisali, dla niepoznaki, „rolnik”, gdyż była wtedy taka głupia psychoza, że myślano, iż tytuł i zawód „ziemianin” będą głosujących odstraszać. Stało się jednak wprost przeciwnie, gdyż jeszcze wtedy w Polsce tylko odwagą przekonań i prawdą można było coś zdziałać. Więc po opanowaniu sali i kontynuowaniu zebrania przedwyborczego przez socjalistów, ktoś zawołał: „A pokażcie nam tego «małorolnego» Stadnickiego”. Na to ja włożyłem na stół, z braku jakiejś trybuny, aby mnie sala lepiej widziała i powiedziałem: „Nie jestem żadnym «małorolnym», tylko hr. Stadnickim z Nawojowej, właścicielem Rytra, które z rąk niemieckich wykupiłem i od zniszczenia uchroniłem, wszyscy mnie znają, kto potrzebuje drzewa, to zawsze do mnie trafi, a że zarzucono mi tu, że zatrudniam także Ukraińców petlurowców<sup>378</sup>, to czynię to zgodnie z intencją marszałka Piłsudskiego, który ich przyjął do Polski, jako byłych sprzymierzeńców wojennych, nie po to, by gnili w obozach jeńców, lecz by pracowali, pomagając w odbudowie Polski, więc że pracę im daję w miejsce Niemców i Żydów, to żadna zbrodnia”. Potem mówiłem o konieczności pracy dla Polski bez różnic klasy społecznej i stanu. A na zapytanie, czy i do jakiej partii należę, odpowiedziałem, i to samo mówiłem zawsze na wszystkich późniejszych zebraniach i wiecach, gdyż tę zasadę święcie wyznawałem i wyznaję po dzień dzisiejszy: „Jako Polak uznaję tylko jedną partię: Polskę. Uważam podział społeczeństwa polskiego na zwalczające i nienawidzące się stronnictwa, czy partie, za klęskę i nieszczęście, a nawet zbrodnię wobec Boga i Ojczyzny, sprzeciwia się bowiem nie tylko przykazaniu o miłości bliźniego, osłabia Polskę. Gdyby dawniej zamiast partyjnictwa i prywaty, a obecnie zamiast partyjnictwa i paskarstwa było więcej zgody, miłości ojczyzny i pracy konstruktywnej, sumiennej, więcej bezinteresowności, to Polska nie byłaby upadła, a dziś byłoby wszystkim w niej lepiej. Wszystko co nas dzieli osłabia, a przez to gubi nas. Jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni wrogami, którzy dybią na całość naszej ojczyzny, jeżeli chcemy ją ochronić przed losem, jaki ją już raz spotkał, upadek, rozbiory, utrata niepodległości, to powinniśmy szczupłe siły nasze złączyć, zaniechać zwad i nienawiści partyjnej, więcej pracować i więcej produkować, czyli wytwarzać, dóbr potrzebnych, wtedy dojdziemy do siły i sąsiedzi szanować nas będą”. Gdy skończyłem, zerwała się burza oklasków, a po wiecu wyniesiono mnie na rękach ze sali do wózka i wiwatami żegnano. Takie to były

<sup>378</sup> Żołnierze atamana Szymona Petlury.

czasy wtenczas, gdyby nie fatalna lista endecka, z nieznanymi i słabymi ludźmi na pierwszych miejscach, mogłem łatwo zostać wybrany i dużo dobrego zrobić. Po tych nieudanych wyborach, gdyż ani jeden ziemianin w województwie krakowskim nie został wybrany, poczułem się odpowiedzialnym za to i godność prezesa krakowskiego Związku Ziemian złożyłem. Wolałem zająć się swoimi kochanymi lasami, mieć głowę wolną, niż parać się polityką. Aby dać wyjaśnienie do mojej powyższej przemowy, w której powołałem się na Piłsudskiego, należy pamiętać, że Piłsudski był wówczas jeszcze bożyszczem dla socjalistów, było to przed „zamachem majowym”, zerwaniem z Daszyńskim, dawno przed „rządami pułkowników” i „sanacją”. Był on wtedy może jeszcze socjalistą, ale w każdym razie dobrym Polakiem, wyżej ceniącym Polskę i jej dobro nad partię i klasowość. Znamiennym było jego powiedzenie do Polakiewicza<sup>379</sup> w czasie jakiejś konferencji w maju 1926 r., gdy tenże, radykalny poseł, były legionista, wyraził się lekceważąco o Zdzisławie Lubomirskim, mówiąc „pan Lubomirski”. Na to Piłsudski: „Nie pan tylko ksiązę Lubomirski i ksiązę Radziwiłł, wszyscy są potrzebni do budowania Polski: ksiązęta, szlachta, robotnicy, wszyscy, nikogo obrażać ani wykluczać nie wolno”. Odtąd większość szlachty i arystokracji, z wyjątkiem endeków, oświadczyła się za Piłsudskim, i już w tym obozie została. Czy obrała drogę właściwą? Zwłaszcza po śmierci marszałka czy nie należało obrać jakiejś innej linii politycznej? Niestety było za wiele stronnictw, zdań i kierunków, jak zawsze w dawnej Polsce, a nie było innego wybitnego przywódcy, ani nawet haseł, które mogły być wszystkich porwać. Mieliśmy Polskę niepodległą, własny rząd, własną armię, sojusze z Anglią i Francją, zdawało się, że jesteśmy zabezpieczeni na długo, zwłaszcza wobec pozornie słabej, a murem chińskim odgradzonej Rosji sowieckiej, rozbitych wojną Niemiec. Wielu z nas było tak zaślepionych siłą pozorną Polski, „bezpieczeństwem zbiorowym”, głoszonym przez Ligę Narodów, pozorną słabością i zgodliwością sąsiadów naszych, że oddawaliśmy się spokojnej, twórczej pracy, robiliśmy inwestycje i łudziliśmy się, że to będzie trwało ze sto lat. [...]

W trzy lata później Stefa przestrzeżona przez Stasia Szeptyckiego, że się coś przygotowuje, znowu wywozła w kwietniu dzieci do Frainu, ja z nią pojechaliśmy z początkiem maja na międzynarodowy kongres rolniczo-leśny do Rzymu, wstępując po drodze do Wenecji i Mediolanu na wystawę (względnie targi).

W Rzymie na jakiejś uroczystej akademii w teatrze widzieliśmy króla Emanuela<sup>380</sup> i „duce” Mussoliniego<sup>381</sup>, który był wtedy u szczytu chwały. Z Rzymu pojechaliśmy do Neapolu i na Capri z Kazimierzostwem Fudakowskimi. Byliśmy też na śniadaniu u Rufo di Calabria, żonatego ze znajomą Stefą z Louvain Orban de Xivry, Belgijką.

Podczas tego pobytu w Rzymie odwiedziliśmy ciotkę Stefę Aleksandrową Mańkowską z domu Falconieri di Carpegna, która z dziećmi od czasu przewro-

<sup>379</sup> Karol Polakiewicz (1893–1962), prawnik, działacz chłopski, poseł na Sejm II RP.

<sup>380</sup> Wiktor Emanuel III, król Włoch (1900–1946).

<sup>381</sup> Benito Mussolini (1883–1945), dyktator włoski.

tu bolszewickiego i owdowienia mieszkała w Rzymie. Jej najstarsza córka była za Kazimierzem Marianem Morawskim, moim kolegą monachijskim, a później znanym pisarzem historycznym, syn Sandro pracował w polskiej ambasadzie w Rzymie, a dwie córki zostały pannami, z których jedna Maria, była bardzo ładna. Także odwiedziliśmy Sandrów Cavazzów, ona Borghese, w ich majątku pod górami albańskimi<sup>382</sup>, gdzie wzorowe postępowe gospodarstwo rolne było. Ich znaliśmy już od 2 lat, od czasu pobytu w Rimini<sup>383</sup>.

Do Rimini wybraliśmy się z całą dzieciarnią i mamą w maju 1924 r. Mieszkaliśmy w hotelu „Savoia” (dawniej „Hungaria”), dokuczały nam tam komary i upały, ale plaża była cudowna i pobyt ten dobrze zrobił dzieciom. Przyjechali wtedy tam do nas Kazik i Maryjka Woronieccy, rodzeństwo Stefy, w powrocie z Egiptu, który biednemu Kaziowi nic nie pomógł na jego straszny reumatyzm *deformans*. Poznaliśmy wtedy też Cavazzów, których (jak również starych Cavazzów, rodziców Sandra) odwiedzaliśmy w Bolonii. Starzy państwo mieszkali w pięknym starym domu przy rynku w mieście, a młodzi w willi za miastem. Sandro zajmował się majątkiem rolnym. Zaproszony do ich willi przyjechałem tam popołudniu. Do eleganckiego obiadu usługiwał młody służący, ubrany we wspaniały frak liberyjny (przy białej krawatce). Wcześniej rano zbudziwszy się, była może piąta godz., i otworzywszy okiennice na wspaniały, słońcem zalany ogród, widzę ogrodnika sadzącego i zlewającego gazony wężem gumowym, ku memu zdziwieniu poznaję w nim tego samego eleganckiego kamerdynera. Po chwili tenże zobaczywszy, że już wyglądam przez okno, zjawił się u mnie już w fartuchu, jaki zwykle nosi służba hotelowa, zapytał o życzenia, przygotował kąpiel i wziął rzeczy do czyszczenia. Po pierwszym śniadaniu zaproponował Cavazza objazd gospodarstwa i okolicy. Zjechała więc limuzyna, a przy kierownicy jako szofer, ubrany w piękny mundur znów ten sam służący-ogrodnik. Po powrocie przy śniadaniu i „lunchu” znów ten sam w odpowiednim stroju! Zdziwiony zapytałem Sandra, czy to ciągle ten sam człowiek, czy może „bracia syjamscy”, na co on z śmiechem powiedział mi, że to wszystko jeden i ten sam, który nadto jest dozorcą całej willi z ogrodem, mieszkając tam stale z żoną. Czegoś podobnego nigdy nie widziałem, ani przedtem ani potem, a wszystkie funkcje spełniał ten człowiek świetnie z elegancją i znajomością fachów, których posiadał trzy, a żona jego była, zdaje się, równie wytrawną kucharką. Mając takich ludzi, można prowadzić dom na stopie prawdziwie wielkopańskiej bardzo małym kosztem. U nas niestety takich perfekcji nie ma.

Z Rimini wybraliśmy się wizytą do Carpegny<sup>384</sup>, do Falconierich<sup>385</sup>, on szwagier Aleksandra Mańkowskiego. Carpegna, mała średniowieczna miejscina, a w samym środku jej, w rynku, stoi ogromny pałac-zamek, podobny do florenckich pałaców Strozich czy innych, z bramą wjazdową, dziedzińcem, a z tyłu

<sup>382</sup> Jezioro Albano i góry na płd. od Rzymu.

<sup>383</sup> Rimini, m. i port 25 km od San Marino.

<sup>384</sup> Carpegna, m. odl. 25 km od San Marino.

<sup>385</sup> Falconieri, arystokratyczna rodzina włoska poch. z Florencji.

mały laszek piniowy, „pineta”, duma Falconierich. Przyjęli nas podwieczorkiem, pokazali ten pałac, zresztą skromnie umeblowany, gdyż zimy spędzali w Rzymie, gdzie mieli okazalszy apartament. W całym tym pałacu nie było pewnych dyskretnych miejsc, nawet „sławojki” nie było (boć to jeszcze przed „sanacją” i Sławojem). W jednej z sal pałacu były tylko nocniki, a po użyciu można było zawartość chlusnąć przez okno. Wprawdzie nie od ulicy, tylko na jakąś mniej uczęszczaną, ale za to dobrze nawożoną część ogródka.

Z Carpegny wracaliśmy malowniczą, okrężną drogą, przez góry i obok słynnego zamku San Leo<sup>386</sup>, gdzie mieściły się więzienia, w których kiedyś Cagliostro<sup>387</sup> siedział.

Podczas pobytu w Rzymie na tym kongresie rolniczo-leśnym w 1926 r. doszła nas wiadomość o przewrocie majowym. Ambasadorowie nasi, Władysław Skrzyński przy Watykanie, Stanisław Kozicki przy Kwirynale, nie orientowali się w sytuacji i w wielkiej niepewności, a może i strachu, woleli wtedy udawać chorych, by nie deklarować się po żadnej ze stron, dopóki się sytuacja nie wyjaśni.

Wtedy odbyła się też wycieczka leśników do lasów w Val Ombrosa<sup>388</sup>. Był to dawny klasztor Benedyktynów, którzy od VIII w. prowadzili tam racjonalne gospodarstwo leśne. Na paśmie górskim o wzniesieniu około 1500 m n.p.m., przypominającym nieco Radziejową, były piękne drzewostany jodłowo-dębowo-kasztanowe, *castanesa vesca*, kasztan jadalny i dąb zastępował tu naszego buka. Jodły o niesłychanym zwarcie, ale drzewostany powstałe podobno z sadzenia, a nie samosiewu. Takiego zwarcia u nas się nie spotyka, mimo stanowisk rodzimych i drzewostanów bonitacji<sup>389</sup>. Tłumaczono to wielkim naświetleniem słońca i klimatem południowym, co umożliwia życie i rozwój przy mniejszym dostępie światła niż u nas.

W tym samym roku 1926 z Frainu wybrała się Stefa z wszystkimi dziećmi nad morze do Westendy<sup>390</sup>, najęła tam willę, gdzie przy pomocy Angielki i panny Elze oraz najętej kucharki prowadziła cały dom, gotując nieraz sama, i pielęgnując dzieci, które kolejno chorowały. Ja tymczasem zajmowałem się jak zawsze administracją Nawojowej, Rytra, Szczawnicy, dojeżdżając nieraz do Frainu oraz do Gdańska i Gdyni, gdzie wtedy kończyliśmy budowę willi.

W Sopocie byliśmy przedtem raz w 1921 r. i wtedy poszliśmy piechotą nad morzem zobaczyć polskie wybrzeże, szukając miejsca, gdzie by można coś własnego nabyć. Gdynia była wtedy zupełnym pustkowiem, parę chałup rybackich i domek strażnika kolejowego, jako przystanek. Wróciliśmy koleją niezachwyceni tym, cośmy widzieli. Dopiero dwa lata potem, gdy powstało Towarzystwo Kąpeli Morskich w Gdyni i zaczęto parcelować place budowlane i coś niecoś budować, kupiliśmy plac „na Kamiennej Górze”, gdzie rozpoczęliśmy w 1924 r. budować willę, według planów arch. Zielińskiego z Warszawy, własnym mate-

<sup>386</sup> Zamek San Leo k. San Marino.

<sup>387</sup> Alessandro Cagliostro (1743–1795), „cudotwórca”, awanturnik.

<sup>388</sup> Vallombrosa, m. w pobliżu Florencji.

<sup>389</sup> Bonitacja, sprawdzanie jakości, szacowanie.

<sup>390</sup> Westende-Bad, m.k. Ostendy.

riałem sprowadzonym z Rytra i Nawojowej. W tym celu był zawsze eksponowany w Gdyni jeden z moich urzędników (Adamowski, Zawiliński). Budowa była kosztowna i ciągnęła się długo, tak iż dopiero w 1928 r. pierwszy raz pojechaliśmy tam na lato. Od tego czasu przez kilka lat tam bywaliśmy, z całym personelem i samochodem. Bliskość Sopotu, gdzie była Opera Leśna i Gdańska, gdzie można było wszystko nabyć, uprzyjemniały te pobyty. Prócz tego wiele osób bliskich nas tam odwiedzało, jak ciocia Marynia Żółtowska z Zosią, Tomasz nawet mieszkał stale w Gdyni, zajmując się handlem zagranicznym, także drzewnym, w czym był mi nieraz pomocny, z dziewczynkami grywał w tenisa na naszym korcie. Zawody hipiczne odbywające się na łące tuż koło naszej willi i obozy harcerskie były miłymi atrakcjami. Od roku 1931 wydzierżawiliśmy willę przemysłowcowi duńskiemu, a potem dyr. olejarni Kukuli, gdyż morze zanieczyszczane przez port w międzyczasie powstały w Gdyni, nie było już atrakcyjne.

Głównym moim zajęciem było gospodarstwo leśne w tych naszych cudnych lasach karpackich. Byłem sam swoim dyrektorem, nadleśniczym, a nieraz pełniłem funkcje leśniczego, czy nawet gajowego, biorąc zawsze czynny udział w wyznaczaniu cięć, trzebieży, przerębów hodowlanych, gdyż od należytego ich wykonania, pielęgnowania drzewostanów zależał ich przyrost, a tym samym możliwość produkcyjna, więc i dochodowość w przyszłości lasów, które pragnąłem mieć zawsze piękne i zostawić je kiedyś synom w stanie wzorowym.

Prócz radości z pracy zawodowej jako leśnik, dawała ta gospodarka i to życie największą rozkosz, jaką były łowy, czyli polowania w tych przepięknych kniejach i wśród wspaniałych widoków, zwłaszcza w zimie przy pięknej słonecznej pogodzie oraz na rykowisku. Podchody samemu po lasach na rogacze, zwłaszcza z wabikiem podczas rui, dawały niezapomniane nigdy rozkosze łowieckie. Nie tylko w lasach polskich, lecz także we Frainie spędziliśmy ze Stefą wiele miłych godzin, chodząc na rogacze lub jelenie podczas rykowiska. Sceneria tamtejsza, nad urwistymi skalistymi brzegami Dyji, wśród dziewiczych zupełnie lasów, była wspaniała, a nieraz kilka byków ryczących w tych ostępach dodawało uroku niesłychanego tym podchodom. Zapraszałem też na rykowisko wielu przyjaciół. I tak m.in. wywieźli piękne trofea i wspomnienia: Roni Radziwiłł, Dominik Radziwiłł z Balic, Eustachy Sapieha, Leon, Adam i Paweł Żółtowscy, Janek Taczanowski, Michaś Woroniecki, ojciec Stefy Paweł Woroniecki, z sąsiadów ksiązę Luigi Frasso-Dentice, Gerardo i Piero Dentice di Frasso, Trauttmansdorffowie Fertsch i Viki, Wambolt i inni. Łowy zimowe na dziki w Rytrze i Nawojowej przeważnie z psami były wysokiej klasy. Uczestniczyli w nich: Jan Borkowski, Jaś Gorayski, Włodek Dzieduszycki, syn jego Tadeusz zabił rysia, Czartoryscy: Włodek, Kazio, Adaś (zięć), Piotr i Witold, Zamoyscy: Staś, Stefan, Andrzej, Zdziś i Władzio, Eustachy, Jasiek i Stach Sapiehowie, jego wuj Andrzej Lubomirski, jego syn Jerzy [Rafał]<sup>391</sup>, [Jan Al-

<sup>391</sup> Andrzej Lubomirski (1862–1953) i jego syn Jerzy Rafał (1887–1978).

bin] Antoni Götz-Okocimski (1864–1931), baron, polityk galicyjski, filantrop, dawniej: August i Ksawery Krasicy, Staś Krasicki, Ewa Rzyszczewska, Adam i Antoni Starzeńscy, Eustachy Świeżawski, Roman Czartoryski. Raz urządziłem w 1937 r., na życzenie starostwa, polowanie dla Bernarda Biesterfelda, księcia, małżonka Juliany, późniejszej królowej holenderskiej (1948–1980). Bawili oni wtedy w Krynicy, skąd on na polowanie, a ona tylko na obiad wieczorem przyjechali, towarzyszył im także Stanisław Mycielski<sup>392</sup> i pan Wichliński. Prócz tego zapraszałem wielu myśliwych z okolicy, jak Jana Małeckiego, Migdała, Barbackiego i Kazimierza, Machnickiego, Wądryka, Feliksa Berskiego, Władysława Waltera, Fryderyka Augusta Brezę<sup>393</sup>, inż. Wężyka<sup>394</sup>, inż. Marcinkiewicz, wszystko to byli dobrzy myśliwi. Także Kazio i Antoś Mańkowscy, Christian Salm-Reifferscheid i Wiki Trauttmansdorf z zagranicy przyjeżdżali.

Prócz wymienionych gości oczywiście brali w nich udział domowi i najbliżsi współpracownicy, jak: Adaś Woroniecki z żoną, przemiłą Cesią oraz moi synowie Józio i Jędrrek, oraz prawie zawsze część córek: Jadzia, Marysia, Hela, Danusia i Stefcia, a często także Stefa, panie jednak nie strzelały, poza Ewą i Femcią Rzyszczewskimi. Śniadania myśliwskie: bigos lub zrazy z kaszą, wynoszono w specjalnych koszach (jak plecaki) na wskazane od wypadku do wypadku miejsca, wódki nigdy nie dawałem, gdyż napicie się jej w górach, przy mrozie i zmęczeniu byłoby niebezpieczne, odbiera bowiem zupełnie siły, tak że spożycie jej uniemożliwiłoby dalsze trudy marszu. Co innego na polowaniach na równinach, gdzie możliwe jest podjeżdżanie saniami do miotów, bez większego wysiłku fizycznego, tam kieliszek wódki dla rozgrzania był dopuszczalny.

Poza łowami u mnie, uczestniczyłem prawie corocznie w wielu wspaniałych polowaniach. I tak bywałem przez kilkadziesiąt lat stałym gościem w ordynacji Poturzyckiej<sup>395</sup> u Włodka Dzieduszyckiego, gdzie raz, mając dobre spotkanie, położyłem w ciągu trzech dni osiem dzików. Również w Spuszy<sup>396</sup> u Eustachego Sapięhy polowałem kilkanaście razy, tam zabiłem swoje dwa wilki i trzy kapitalne odyńce. Dalej polowałem w Siedliskach u wuja Pawła Sapięhy, w Bilczu, Krasicy, Oleszycach, Biłce, Bałtowie u Ksawerego Lubeckiego, w Lesku i Bachurcu u Krasickich, w Balicach pod Krakowem u Radziwiłłów, dalej w Stratyniu u Krasickich, w Hrudopolu i Iwacewiczach u Antolka Jundziłła, a nadto należałem do spółki dzierzawiącej rewir Turza Wielka od państwa, gdzie w towarzystwie Aleksandra Wodzickiego, majora Stanisława Wodzickiego i wuja Jana Stadnickiego, który także u mnie polował w Nawojowej i we Frainie – miłe wrażenia łowieckie przeżyłem, zwłaszcza w towarzystwie Edwarda My-

<sup>392</sup> Stanisław Mycielski (1891–1977), ziemianin, kapitalista.

<sup>393</sup> Fryderyk August Breza (1859–1908), właściciel ziemski w Witowicach k. Nowego Sącza.

<sup>394</sup> Leon Wężyk, inż. Wydziału Krajowego.

<sup>395</sup> Ordynacja Poturzycka zał. w 1893 r. przez Włodzimierza Dzieduszyckiego.

<sup>396</sup> Spusza, majątek Sapięhów k. Grodna.

cielskiego i Imusia Tarnowskiego, u którego w Rudniku z Berhemem, kolegą z Monachium, na rogacze jeździłem. Polowałem jeszcze w Dzikowie, Zarzeczu, Przeworsku i Kobielach Wielkich u Sobańskich, ona Joanna Tymowska – Skarzyńska z domu, w Bielicach, Radziejowicach i Trzebieniu. Może coś opuściłem, ale tyle powiedzieć muszę, że wszystkie te łowy i polowania były zawsze wzorowo po myśliwsku prowadzone, dawały zawsze sposobność spotkań z ludźmi podobnych zasad i przekonań oraz wymiany nieraz myśli i uwag poważnych, nigdy nie było ani pijatyk ani gier hazardowych, prócz po obiedzie taniutkiego brydża. W Spuszy bywał zwykle na polowaniach Maurycy Zamoyski, ordynat, Ludwik Czetwertyński, Stefan Szembek, Franciszek Pusłowski, którzy i w Rytrze u mnie polowali, dalej Jaś Lubecki, także mój gość stały. Moim gościem i towarzyszem łowów u znajomych bywał Jędrrek Żółtowski, zamordowany w Dachau i Władzio Radziwiłł.

O zwierzostan dbałem bardzo, wszędzie zakładano lizawki z solą, przygotowywano w lecie na zimę brogi z sianem i liściarki, lód na potokach czy źródłach był przerębywany w czasie silnych mrozów, by zwierzyna miała dostęp do wody, dla dzików kładziono niekiedy ziemniaki, sadzono po polanach bulwy. Toteż zwierzostan był bardzo dobry. Dzików padało rocznie około 25, przy stanie stałym około 100 sztuk, sarn było kilkaset – odstrzał roczny wynosił 10 do 15 sztuk, tak że i dla myśliwych i dla rysi nigdy ich nie zabrakło! Dziś ich w tych lasach nie ma, a mówi się, że rysie ich wyniszczyły, w to nie wierzę. Kłusownictwo zawsze było, ale mój liczny, a dobrze płatny personel leśny, dawał im radę.

O jeleniach słów parę powiedzieć muszę. Do pierwszej wojny w tych okolicach prawie jeleni nie było. Dopiero podczas działań wojennych w Karpatach Wschodnich jelenie zaczęły się pojawiać, najpierw same byki, później i łanie. Równocześnie wskutek przewrotu w ČSR został uszkodzony płot od zwierzynca ks. Hohenlohego w Tatrach – wówczas nastąpiło dziwne zjawisko: jelenie z Tatr przez Spiską Magurę i lasy niedzickie przyszły do nas i tam spotkały się z jeleniami napływającymi coraz liczniej ze wschodu. W roku 1929 słyszano już ryczące byki w lasach ryterskich, a od 1930 r. stale bywałem na rykowisku i jelenie obserwowałem. Znałem je zresztą z licznych zrzutów u mnie znajdowanych, zwłaszcza przez gajowego Topuziaka, Hucuła, świetnego myśliwego. Nie strzelca, gdyż personelowi strzelać zwierzyny łownej nie było wolno. Postanowiłem pierwszego jelenia zabić, gdy będzie ich dziesięć ryczało u mnie w lasach. To nastąpiło w 1934 r. i wtedy po wielu podchodach i widzeniu kilkunastu, przeważnie słabszych byków, spotkałem jednego, którego poznałem zaraz, gdyż zrzuty jego miałem już przez trzy lata z rzędu znalezione u siebie. Tego kapitalnego ośmnastaka zabiłem strzałem komorowym na około 200 metrów w oddziale 75 w Wielkiej Roztoce w Rytrze. Był w ciele, olbrzymi wieniec ważył 9,3 kg = 193 punkty Nadlera<sup>397</sup>.

<sup>397</sup> Strzał komorowy (trafienie w płuco-serce); wieniec (poroże) wagi 9,3 kg = 193 punkty w klasyfikacji Nadlera.



Słyszac często różne zdania mylne i tendencyjne, chcę dać świadectwo prawdzie o stanie szkolnictwa i organizacji rolniczej w powiecie nowosądeckim w czasach od 1880 do 1939 r. We wsiach należących wtedy do majątku zawojskiego, w dolinie Kamienicy Nawojowskiej, czyli w południowo-wschodniej części powiatu, w połowie wieku XIX, istniały przeważnie tylko spółki parafialne, prowadzone przez organistów, względnie diaków we wsiach ruskich. Takie szkoły były w Nawojowej, Łabowej i Nowej Wsi, te dwie ruskie. Około roku 1884/1885 założyła matka moja w budynku pokarczemnym tuż za kościołem szkołę normalną, sprowadzając do jej prowadzenia siostry zakonne dominikanki, które zarazem prowadziły ochronkę i zajmowały się pielęgowaniem chorych. Uposażone je, dając budynek, ogród murem ogrodzony oraz ordynację w zbożu w drzewie opałowym. W 1906 r. i w latach następnych podarowałem na szkołę polską w Łabowej budynek murowany w rynku, w którym dawniej była destylarnia spirytusu, a potem suszarnia nasion leśnych. Dalej darowałem w Homrzyskach grunt i ogród pod budowę szkoły oraz potrzebne drewno budowlane. Następnie grunt pod budowę szkoły w Nawojowej i całą potrzebną stolarszczyznę z mojej stolarni. Darowałem budynek „na Skałce” w Szczawnicy na ochronkę. Darowałem grunt i tanio sprzedałem karczmę na szkołę na Wysokiem, powiat Limanowa. Dalej darowałem parcelę i potrzebne drzewo budowlane Związkowi Nauczycielstwa Polskiego we Lwowie na budowę domu wypoczynkowego „na Sewerynowce” w Szczawnicy, a także na „Połoninach” Bratniej Pomocy Studentów U.J. w Krakowie oraz 11 hektarów lasu „na Obłazach” jako dotację na utrzymanie proboszcza. Przyczyniłem się do budowy kościoła i plebanii rzymskokatolickiej w Łabowej, dając grunt i materiały budowlane. Wreszcie darowałem budynek, dawną leśniczówkę w Barcicach na Dom Parafialny, w którym była sala teatralna i lokale na bibliotekę i inne pomieszczenia. W całym powiecie prawie w każdej wsi powstawały stopniowo szkoły, w końcu XIX w. i później. Tak że w dwudziestoleciu międzywojennym nie było już w powiecie wsi bez szkoły. W Podegrodziu powstała Szkoła Gospodyń Wiejskich z inicjatywy posła Stanisława Potoczka, założona i utrzymana przez Wydział Rady Powiatowej sądeckiej. Długoletnią kierowniczką była panna Gostkowska<sup>398</sup>. Czytelnia Towarzystwa Szkoły Ludowej było w powiecie kilka, m.in. w Łabowej, którą prowadził mój leśniczy Kazimierz Zajac, zamordowany w 1944 r. przez Niemców, względnie współpracujących z nimi Ukraińców, lecz nie przez miejscowych Łemków. W dobrach ryterskich w chwili ich nabycia przeze mnie w 1916 r. były szkoły w Rytrze, Barcicach, Przysietnicy i Młodowie.

Towarzystwo Rolnicze Okręgowe, jako filia Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego istniejącego od 1861 r. pod prezesurą Augusta hr. Brezy z Witowic, a następnie Jana Skąpskiego dzierżawcy Brzeznej, a wreszcie Narcyza Potoczka z Rdziosłowa, którego długoletnim sekretarzem był Kopaczyński, a następnie

<sup>398</sup> Maria Gostkowska, kierowniczka szkoły w Podegrodziu (1912–1930).

Klimczak, działało intensywnie. Instruktorem sadownictwa był wiele lat Drzewiński, któremu rozwój sadownictwa w powiecie wiele zawdzięcza. Jednym z głównych działaczy był też Sopata<sup>399</sup> z Czerńca pod Łąckiem, członek Rady Powiatowej. Towarzystwo Kółek Rolniczych, połączone później z Towarzystwem Rolniczym urządziło „kursa rolnicze”, na których zakończenie przyjeżdżał ze Lwowa wiceprezes Dulęba<sup>400</sup>. Z inicjatywy Towarzystwa Rolniczego powstała Spółdzielnia Handlowo-Rolnicza pod prezesurą ks. Szczygła z Łososiny, a później młodszego Brezy, zamordowanego przez Niemców 1944 r. Spółdzielnia ta nosiła nazwę „Zagon”. Ważną placówką była Składnica Kółek Rolniczych, założona w 1912 r. przy wydatnej pracy rejenta Poręby i mecenasa Dzikiewicza, a finansowej pomocy matki mojej. Miałem zaszczyt być prezesem tej instytucji od jej założenia do 1937 r., więc przez lat 25. Po mnie objął ten ciężki zaszczyt Narcyz Potoczek, a od 1940 r. Niemcy na niej łapę położyli. [...]

Wszystkie hale na szczytach gór i wśród lasów były za moich czasów wynajmowane bacom na wypas owiec, koszarowane, a na Hali Łabowskiej zbudowałem wzorową bacówkę, na której poświęceniu był prezes Narcyz Potoczek i sekretarz Towarzystwa Rolniczego Klimczak. Bacówkę tę spalono podczas akcji partyzanckiej. Również w lasach ryterskich koszarowano hale: Konieczną i Skałkę. Za wypas owiec oddawali bacowie od sztuki owiec po półtora kilo „bunzu”, z czego wyrabiano bryndzę, służącą na własny użytek oraz na dokarmianie robotników leśnych i personelu. Folwark nawojowski był niewielki, około 250 ha, w tym sztuczne pastwiska. Folwark był dobrze skomasowany. Po upaństwowieniu rozparcelowano go bezplanowo, tak że dla szkoły rolniczej, którą zainstalowano w naszym pałacu, pozostało za mało, a na zamianę na enklawy śródleśne niczego nie przeznaczono. Uważam to za wielki błąd. Całe życie bowiem dążyłem do racjonalnej gospodarki, która bez komasacji jest trudna.

W południowo-wschodniej części powiatu sądeckiego przeprowadzono komasację jedynie we wsi Maciejowa. Dziwne, że ludność ruska tej wsi jako pierwsza i jedyna w dwudziestoleciu zrozumiała doniosłość i korzyść ze scalenia gruntów. Organizacje gospodarcze ruskie także we Małopolsce Wschodniej dobrze się rozwijały, czego dowodem rozkwit mleczarni przez nie prowadzonych.

Niestety tak ta „bacówka wzorowa”, jak wszystkie inne, na Koniecznej, Skałce, Hali Barnowskiej oraz schroniska i gajówki zostały spalone przez Niemców, lub rozebrane po 1945 r.

Jakby wiedziony instynktem i rozumiejąc „głód ziemi” młodszej braci wiejskiej, a z drugiej strony kochając nade wszystko lasy i widząc ich przyszłość oraz możliwość racjonalnej, opłacalnej gospodarki w górach tylko przy znacznie-szych obszarach, umożliwiających wkłady, drogi, zakłady przemysłowe, standa-

<sup>399</sup> Stanisław Sopata (ur. 1915), sadownik.

<sup>400</sup> Bronisław Dulęba, wiceprezes Towarzystwa Kółek Rolniczych we Lwowie.

ryzację produkcji, przy oszczędnej i elitarnej gospodarce, dążyłem do komasacji i arendacji, scalania i powiększania obszaru zalesionego, przez nabywanie enklaw drogą zamiany, usuwania polan śródleśnych, tych wrzodów pasożytniczych na organizmie leśnym, gdzie gospodarz mógł stale legalnie przebywać, bydło do lasu podpędzać, śledząc miejsce pobytu personelu leśnego, nieznacznie uciąć jakieś drzewko, a na zapytanie organu kontrolnego, powiedzieć: „że to z polany”, końce dookoła polan takich nieznacznie co parę lat wędrowały w głąb lasu, co zwłaszcza przy zmianach personelu, niekiedy się udawało, przywrócenie ich do stanu pierwotnego, w razie wykrycia, wywoływało skargi na prześladowanie ze strony zbyt gorliwych organów ochrony lasów i krzywdy. Tych enklaw śródleśnych udało mi się w ciągu lat czterdziestu z górą mojej administracji nabyć w lasach nawojowskich i ryterskich około 50 ha na obszarze przeszło 100 ha z kilku domami. Za to oddałem chłopom, częściowo w drodze zamiany, a częściowo sprzedając, około 500 ha użytków rolnych, a to cały folwark Wysockie, z Brzeznej około 200 ha, prawie całą Porębę Małą, wreszcie po kilkanaście hektarów z Frycowej i Nowej Wsi – i około 50 ha ochotnikom Polakom za 1920 r. w Łabowej. Ostatecznie posiadałem użytków rolnych w Nawojowej około 200 ha, prócz enklaw śródleśnych hal, i gruntów deputatowych Straży Leśnej, co nie przekraczało w sumie 2-3% obszaru lasów.

Wprowadzie zasadą ziemiaństwa polskiego było trzymanie ziemi, gdyż „tyle Polski, ile ziemi w rękach polskich”, lecz odnosiło się to głównie do kresów tak wschodnich, zamieszkałych przez Rusinów, jak zachodnich, kolonizowanych przymusowo przez Niemców. Sprzedawanie ziemi w rdzennej Polsce elementowi polskiemu, uświadomionemu narodowo, a wrywając ją z długoletniej, niestety, dzierżawy żydowskiej, nieudolnej dzierżawy, niszczącej warsztat, a nieuiszczającej się z czynszów dzierżawnych (jak Brzezna, Poręba), uważałem za czyn nie tylko dozwolony, lecz obowiązek obywatelski. Tak na terenie swego majątku objętego w 1905 r., a wynoszącego wówczas około 700 ha użytków rolnych i około 3000 ha lasów – w ciągu lat pozbyłem około 500 ha użytków rolnych, nabyłem około 5000 ha lasów i około 100 ha enklaw śródleśnych.

Nadziei powrotu do tego umiłowanego gniazda, do tego domu rodzinnego, do umiłowanego warsztatu pracy, do tych lasów i gór przepięknych, nie mam, oby ich tylko nie zniszczono i oby nie przekręcano kłamliwie wyników naszej pracy i zamierzeń. Wyrzekając się dochodów, nawet godziwych, pchało się wszystko w inwestycje we wkłady i komasacje, by ludziom dawać pracę i zarobek, a nędzne produkty naszych lasów, liche buki i jodły, bo co lepsze rosło dalej, przerabiać na towar eksportowy, dający korzyść i państwu i robotnikom, a majątek, lasy, zostawić w stanie pięknym, wzorowym, to było myślą przewodnią, to było celem życia.

Pisałem w Osoli w sierpniu 1955 roku

Za czasów mojej młodości jeszcze ludność Sądeckizny nosiła piękne, staroświeckie stroje ludowe. Najpiękniejsze z nich były w parafii podegrodzkiej: długie, granatowe sukmany wspaniale wyszywane, czy haftowane (częściowo jeszcze zachowane). W okolicy Łącka były stroje już zbliżone do góralskich, białe lub brunatne dość długie sukmany, spodnie białe z czerwonymi lampasami, ale różniące się znacznie od góralskich. [...] Zaraz za Łąckiem (Kamienica), już w powiecie nowotarskim zaczynały się stroje góralskie (podobne do podhalańskich), ale prawie każda wieś, jak Tylmanowa, Krościenko, Ochotnica, Szczawnica i inne, miały swoje specjalne desenie wyszywań na spodniach (parzenice) i cuchach oraz kozuchach. Prawie najpiękniejszą modę góralską miała do drugiej wojny Tylmanowa. Szczawniczanie nosili spodnie szersze, z wyszywaniem czerwonymi, cuchy przeważnie brunatne, kamizelki błękitne, bogato wyszywane. Tylmanowa spodnie obcisłe (jak Zakopane) z parzenicami ciemnymi (niebieskimi). Podhale miało jednolity krój i kolor „zakopiański”. Wsie ruskie: Szlachtowa, Jaworki, Czarna i Biała Woda – miały stroje nieco odmienne od szczawnickich, a kobiety tamtejsze przypominały strojem Rusinki wchodniogalicyjskie (znad Seretu). Ich nakrycia głowy: czepki bogato perełkami ozdobione, były oryginalne, nosiły je tylko mężatki. Dziewczęta [miały] wszędzie jaskrawe chustki i gorsety bogato blazkami i paciorkami haftowane w różnych kolorach. W niedzielę przy kościołach był to widok wspaniały. W dolinie Popradu nosili chłopci gunie ciemnobrunatne ze specjalnym obszyciem (przeważnie zielonym lub czerwonym), oznaczającym przynależność do wsi „królewskich” (jako że dawniej były to królewszczyzny). W dolinie Kamienicy Nawojowskiej stroje były inne. Chłopci nosili rodzaj „surduta” (do figury) z obszyciem kołnierza zielonym lub brunatnym (zależnie od wsi czy rodu). Gunie te były przeważnie ciemnopopielate, z guzikami rogowymi. Kobiety nosiły szerokie nakrochmalone spódnice (jak krynoliny), a mężatki białe, sztywne czepce dość wysokie (niby rondle) ze spadającą z tyłu koronkową firaneczką. Te czepce otrzymywały młode mężatki w dniu ślubu („czepiny”). Na ramionach, a nie na głowach – nosiły kobiety piękne chusty tureckie. Dziewczęta nosiły chustki na głowie – tak jak później (i dziś) wszystkie kobiety, gdy te stroje regionalne zostały niestety zaniechane. Ostatni raz pamiętam te stroje i „czepiny” (oczywiście przy obfitym łez wylaniu) na ślubie córki byłego wójta, starego Siedlarza we Frycowej, Marysi. Było to zdaje się w 1906/1907 r. Stary Siedlarz noszący zawsze medal brązowy wojenny z 1866 r., mówił o sobie: „ja kanonier”. Był z tego tytułu (jako dawny artylerzysta austriacki) bardzo dumny. Od wsi Maciejowej ku wschodowi byli już Łemkowie. W Maciejowej była cerkiew drewniana (siedziba niesłychanej ilości pcheł), parafia greckokatolicka, która sięgała aż po Kraków. Ubioru tych Łemków, które przetrwały aż do II wojny, były podobne nieco do podhalańskich, tylko brunatne z nie-

znacznym paskiem czerwonym na spodniach i bez charakterystycznych dla całej góralszczyzny „kapeluszy góralskich”. Kobiety i dziewczęta nosiły znów pięknie wyszywane gorsety (jak na Podhalu) – czego we wsiach polskich Sądecczyzny prawie nie widywało się. Spódnice nosiły w barwne kwiaty, równie jak na Podhalu. [...]

Wybuch wojny 1939 r. zastał naszą całą rodzinę, poza zamężnymi córkami, w domu w Nawojowej. Wiadomości o nalotach ciągłych były przygnębiające. Dopiero wiadomość radiowa w niedzielę 3 IX o wypowiedzeniu wojny przez Wielką Brytanię i Francję agresorowi na Polskę, wzbudziła radość, a nawet entuzjazm.

Wojska niemieckie postępowały z niesłychaną szybkością naprzód, a nasze cofały się. My, tj. Stefa i ja, oraz Matka moja zdecydowaliśmy w każdym razie zostać, strzec domu i majątku, jedynie ulegając po części ogólnej panice wysłać dzieci: chłopców, Helę, Danusię i Stefcię na wschód, a to do Pełkiń<sup>401</sup>, względnie do Lwowa, do Stefanów Świeżawskich.

Więc załadowawszy na platformę trochę cennych rzeczy, m.in. duży perski dywan, wysłaliśmy to końmi, Józio na swej „biedce” ze strzelbą, puchaczem i „Bzikiem” psem, w towarzystwie Staszka Kociołka puścili się w drogę. Z Pełkiń, które nim dojechali, były już zagrożone, gdzie zastali Jadzię Adasiową Czartoryską<sup>402</sup> z półrocznym synkiem Jerzym, pojechali dalej do Zwierzyńca w ordynacji Zamoyskiej. Tam zaskoczyły ich walki, tak że musieli kryć się w ziemiankach przed kulami ze stron obu latającymi. Józio wśród tego polował na kuropatwy i strzelał do wron dla puchacza. Jędręk pojechał fiatem małym dalej na wschód z sztucerem podwójnym i tam wkrótce stracił tak broń, jak samochód. Spotkał przypadkiem Remisia Grocholskiego, będącego w wojsku, który się nim zaopiekował.

Po ustabilizowaniu się u nas władz niemieckich, Stefa niespokojna o dzieci, dostała od nich samochód z wojskowym szoferem i pojechała do Klemensowa, Zwierzyńca szukać dzieci. Przejeżdżała przez płonące wsie, widziała tragiczne sceny aresztowanych naszych generałów i debandadę<sup>403</sup> zupełną naszych wojsk (Biłgoraj), potem szukała Jędrka koło Chyrowa, gdyż ktoś puścił plotkę, że go tam widziano. Po przeszło tygodniowej tułaczce wróciła. Wróciły również wszystkie dzieci wraz z trzema furami, niestraciwszy niczego w drodze. Po krótkim czasie zjawił się Jędręk, jadący jednym koniem najętym w Krakowie. Z Kresów (Mańkowski) wrócił razem z arcyksięciem Karolem z Żywca<sup>404</sup>, który z rodziną również był na Wschodzie, ufając, jak wszyscy, że inwazja niemiecka zostanie wstrzymana gdzieś na Bugu lub na Polesiu. Tymczasem wkroczenie wojsk sowieckich i wzięcie nas w dwa ognie położyło koniec naszemu oporowi, naszym złudnym nadziejom [...].

<sup>401</sup> Pełkinie – w pow. jarosławskim, posiadłość Czartoryskich.

<sup>402</sup> Jadwiga ze Stadnickich Czartoryska (1913–2009), ż. Adama.

<sup>403</sup> Debandada – wielki bałagan, panika.

<sup>404</sup> Arcyks. Karol Olbracht Habsburg (1888–1951).

Któregoś dnia wieczorem przed bramą od parku zamkniętą stanęła fura, był to Adaś, przyjeżdżający z Pełkiń tamtejszą fornalką<sup>405</sup>, po zakończeniu działań wojennych, szczęśliwie uniknąwszy niewoli, dostawszy się do Bielic, potem szukając Jadzi, do Pełkiń, dowiedziawszy się, że ona już do Nawojowej dotarła, za nią przyjechał i całą wojnę do końca 1944 r. razem przeżyliśmy. Najpierw był nadleśniczym w Nawojowej, po zaarrestowaniu Marossanyich<sup>406</sup>, dyrektorem Szczawnicy.

Początkowo był spokój, chłopcy, jak wspominałem nawet polowali ma zajęce, wobec pozostawienia nam broni, do 9 XII 1939 r. W tym dniu była rewizja żandarmerii niemieckiej, broń i radio nam zabrano bezprawnie. W tym samym czasie zjechała do Nawojowej cała rodzina Mańkowskich wysiedlonych przez Niemców z Kazimierza („Warthegau”), prawie bez żadnych rzeczy. Wróciły też Hela, Danusia i Stefcia przez Oleszyce nad Sanem ze Lwowa, gdzie pracowały jako pielęgniarki w szpitalach i przeżyły sceny makabryczne, z czego może najprzykrzejszą była przeprawa w nocy przez San, stanowiący wówczas linię demarkacyjną między Niemcami i Moskalami.

Prawie równocześnie uciekli ze Lwowa – też przez zieloną granicę na Rawę Ruską, Bełż – z duszą na ramieniu, z dwojgiem dzieci i jak Hela z biżuterią uratowaną na piersiach.

Oni też zamieszkali najpierw w Nawojowej, potem we własnej willi w Szczawnicy „Pod Modrzewiami”, gdzie wojnę i okupację szczęśliwie przeżyli.

Dopiero w 1940 r. i w latach następnych zaczęły się emocje konspiracyjne, czemu ja od początku do końca byłem przeciwny, sądząc, że jeżeli koalicja zwycięży, to Polska powstanie, jeżeli Niemcy, to nasza partyzantka sytuacji nie uratuje przed samowolą zwycięzcy całej Europy. Sądziłem, że trzeba siedzieć cicho i starać się zdrowie i siły zachować dla powojennej Polski. Nie wierzyłem, z poprzednich doświadczeń, powstaniom. [...]

Z tych lat najtragiczniejszych w dziejach naszych trzeba, choć z bólem, wspomnieć o wypadkach i przeżyciach lepszych i gorszych, celem uzupełnienia obrazu, jaki historyk kiedyś o tych czasach stworzy.

Wybuch wojny, której nie spodziewaliśmy się do ostatniej chwili, zaskoczył nas, jak całe społeczeństwo polskie, jak grom z jasnego nieba.

W pierwszych dniach września rozbite i zgłodniałe, zupełnie zdezorientowane oddziały naszej piechoty, uciekającej na oślep przez góry, wstępowały do nas do Nawojowej, żywiliśmy ich czym było można, gdyż biedne chłopaki były zupełnie wyczerpane oraz wskazywaliśmy im drogi możliwego odwrotu na wschód, gdyż map żadnych nie mieli, przed nadciągającą zmotoryzowaną armią niemiecką, od zachodu i południa.

W panicznej ucieczce oddziały polskie pozostawiły nad rzeczką Kamieniłą dwie armaty (rosyjską z 1875 r.), które następnie po paru dniach Słowacy,

<sup>405</sup> Fornalka – dwukółka.

<sup>406</sup> Juliusz Marossanyi(1886–1957), prawnik, m.in. kierownik starostwa w Nowym Sączu jesienią 1918 r., dyr. Zakładu Zdrowo-Kąpielowego w Szczawnicy.

współdziałający z Niemcami, zabrali w triumfie. Od tych armat nasi uciekając odcięli pasy, amunicję wrzucili do Kamienicy. Tę paniczną ucieczkę wieczorem spowodowało auto sanitarne nasze, zdążające za oddziałem, którego reflektory tak przerażyły uciekających, że wzięli je za niemiecki pościg i w ten sposób pozabawili się skutecznej obrony.

W następnych dniach jeździłem konno na najbliższe wzniesienia, skąd obserwowałem armię niemiecką, ciągnącą od Nowego Targu przez Podegrodzie i ostrzeliwującą z armat Nowy Sącz. Gdyby te dwa działka nasze były na tych wzniesieniach w Żeleźnikowej umieszczone, mogły ogniem swoim uczynić pewną dywersję nieprzyjacielowi, niespodziewającemu się z tej strony jakiegokolwiek ataku. Nadto oddział uciekający mógł w wąskiej gardzieli Dunajca, koło Tylmanowej, łatwo wstrzymać choć o parę godzin, jeżeli nie dni, wkroczenie zmotoryzowanej armii niemieckiej. Wprawdzie wobec późniejszego rozwoju całej akcji, nie mogło to wpłynąć na wynik wojny, ale wtedy taka dywersja i próba obrony wydawała się konieczną i racjonalną.

Po zajęciu Nowego Sącza nastąpił względny spokój w całej okolicy. Nawała wojenna zwróciła się w inną stronę, Sądeckizna już działań wojennych aż do roku 1945 nie zaznała.

11 IX udałem się pierwszy raz do Nowego Sącza na zwiady. Ze zdziwieniem skonstatowałem, że aż do rynku nie było żadnych posterunków niemieckich, w rynku stały liczne auta, armaty, jaszczyki *etc.*, kierowane wszystkie ul. Lwowską przez most na Kamienicy w stronę Grybowa. Widziałem wówczas, że oddział naszego wojska mógł być z łatwością dostać się do miasta niepostrzeżenie i zająć względnie zniszczyć wszystko, co tam w rynku stało oraz ewentualnie wysadziwszy most na Kamienicy utrudnić transport całej tej armii ku wschodowi. Znów refleksja, czy to byłoby pomogło wiele w ogólnym bałaganie i odwrocie, nie wiem, ale sądziłem, że należało czynić wszystko, by pochód nieprzyjacielowi utrudnić.

W pierwszych dniach września wszystko co żyło uciekało na wschód pędzone czy to paniką, czy chęcią dostania się do swych oddziałów, czy jakąś akcją nieprzyjaciela, by szerząc panikę zablokować drogi i utrudnić akcję naszym wojskom. W Nowym Sączu pozostały podobno znaczne zapasy nowoczesnej broni, karabinów maszynowych i amunicji, powołani do służby wojskowej rezerwiści, jak nasz szofer Andrzej Salamon, pędzili pieszo z gołymi rękami do Lwowa. Tam ten nasz kierowca Salamon dostał się na pancerkę polską i jeszcze atakował Niemców. Powrócił potem do domu, służył u nas dalej, potem wzięty za szofera do Niemców rozpił się, w 1945 r. powiesił się z rozpacz, widząc że Polska pod nową okupacją się dostała. [...]

Będąc wówczas 11 IX w Nowym Sączu spotkałem na rynku kilku chłopów światlejszych, z którymi w Radzie Powiatowej od lat wielu zasiadałem i uradzieliśmy, by pójść do starostwa, gdzie urzędowali Niemcy i dowiedzieć się, czy nie

byłoby możliwe, by Rada Powiatowa podjęła swe czynności w celu uruchomienia szkół i całej administracji gminnej i powiatowej, więc wraz z sekretarzem Rady Powiatowej Bolesławem Kobakiem udałem się do starostwa. Kreishauptmannem został dr Hübschmann, Saksończyk, który przyjął nas uprzejmie i usiłowania nasze zaaprobował.

Zwołałem więc kilkunastu członków Rady Powiatowej i zaczęliśmy pracę. Zamianowaliśmy przede wszystkim wójtów, oczywiście Polaków, na miejsce nieobecnych, powołanych do wojska, zaginionych; następnie otworzyliśmy wszystkie szkoły polskie, argumentując Niemcom, że lepiej, by dzieci w szkołach siedziały niż włóczyły się po drogach. Uruchomiliśmy dwa gimnazja (oczywiście polskie), do których także moi synowie dojeżdżali, oraz reaktywowaliśmy Towarzystwo Rolnicze, na którego czele stał również członek Rady Powiatowej, Narcyz Potoczek, poseł na sejm, jak również umożliwiliśmy pracę Składnicy Kółek Rolniczych, mającej wiele filii w powiecie.

Interweniowaliśmy w wielu sprawach, jak np. aresztowania policjanta Tokarczyka i innych, w sprawie kontrybucji w kwocie miliona złotych nałożonej na Stary Sącz za spalenie, nie wiadomo przez kogo, mostu na Popradzie. Przedstawiłem władzom wojskowym, że Starego Sącza nie stać na zapłacenie tej kwoty, most znacznie lepiej i prędzej postawią saperzy, co im trafiło do przekonania i saperzy niemieccy w ciągu tygodnia most postawili, Sądeczanie kontrybucji nie zapłacili. W ogóle z władzami wojskowymi byliśmy w zgodzie. Dano mi bez trudności pozwolenie na zatrzymanie broni myśliwskiej, tak że moi synowie mogli całą jesień w wolnych od nauki chwilach polować, ja jeszcze 1 X w Barnowcu na rykowisku dobrego jelenia dwunastaka położyłem.

Gdy po otrzymaniu od starosty, Kreishauptmanna, zezwolenia na broń, poszedłem do komendy wojskowej, urzędowali w gmachu sądu, po zatwierdzenie tegoż. Przyjął mnie jakiś pułkownik zapytaniem, czy jestem właścicielem Frainu, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź bardzo grzecznie i serdecznie ze mną rozmawiał, dopytując się o wszystkich znajomych z Frainu, gdyż jako wiedeńczyk często spędzał wczasy [...] właśnie tam i znał dobrze stosunki i tamtejszą ludność. Tak jakoś szczęśliwie się składało w początkach, że wielu myślało, że ta okupacja będzie po prostu powtórzeniem dawnej austriackiej administracji z szerokim samorządem polskim.

Po przyjeździe do Nawojowej zięcia mego, Adama Czartoryskiego, który był oficerem rezerwy, udało mu się podczas walki pod Warszawą ująć niewoli i oflagu, udałem się z nim do komendy w Nowym Sączu, gdzie po złożeniu przeze mnie zapewnienia, że nie wydali się z Nawojowej, pozwolono mu pozostać na wolnej stopie i pracował do końca okupacji w mojej administracji w Nawojowej, po zaaresztowaniu i wywiezieniu do Oświęcimia dyrektora Juliusza Marossanyiego z rodziną, w Szczawnicy aż do chwili, gdy musiał udać się „do lasu”.



Na zebraniach licznych w Radzie Powiatowej Kreishauptmann przemawiał po niemiecku, ja tłumaczyłem jego przemowy na język polski i na odwrót przemówienia, przeważnie zapytania zgromadzonych, na niemiecki.

Tak szła ta zgodna współpraca przy naszej zupełnej autonomii aż do 15 XI 1939 r. Tego dnia Kreishauptmann dr Hübschmann mnie oświadczył, że otrzymał z Gubernii z Krakowa polecenie rozwiązania Rady Powiatowej i przejęcia wszelkich agend przez władze niemieckie, wobec czego z żalem dziękuje nam za dotychczasową pracę, ale musi wymagać zlikwidowania wszystkiego. Tak skończyła się „Autonomia powiatu Sądeckiego”, szkoły zamknięto, przyszło gestapo i zaczęła się gehenna, trwająca jak w całej Polsce do maja 1945 r. Względnie krócej, w miarę przesuwania się frontu, gdy to gestapo zostało zastąpione przez „sympatyczne” NKWD.

Przytoczę tu kilka epizodów z spotkań naszych z gestapo, czyli Geheime Staats polizei. W 1941 r., zdaje mi się, że 1 VII, zajechało przed pałac auto z dwoma zresztą bardzo uprzejmie zachowującymi się gestapowcami z oświadczeniem, że przyjechali po Jędrka, syna naszego, wówczas dwudziestoletniego. Gdyśmy się zorientowali, że chodzi o jego aresztowanie, prosiliśmy, ja i moja żona, by zamiast niego nas wzięto, jednak na to nie zgodzili się. Jędrzek też o tym słyszeć nie chciał i pojechał. Był aresztowany wskutek podejrzenia, że chciał podobno kupić pistolet (empi) od jakiegoś osobnika, który o tym doniósł lub został do zeznań zmuszony torturami. Moja żona pojechała do szefa gestapo Hamanna<sup>407</sup>, żądając zwolnienia Jędrka. Po burzliwej scenie, gdzie Hamann cofając się, mimo że miał na biurku rewolwer [...], zapytał, czy mamy drugiego syna, i po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi polecił Józia przywieść do Nowego Sącza na przesłuchanie. Na drugi dzień zawiozłem więc Józia na gestapo. Wynieśliśmy go z Staszkiem Kociołkiem po schodach do pokoju, gdzie miało być przesłuchanie, po czym w obecności trzech gestapowców i mojej przesłuchiwali go. Józio wszystkim przeczył z odwagą i determinacją, mimo że ten biedak, który go oskarżał, twierdził, że Józio chciał kupić od niego broń. Nie pamiętam, czy czytałem protokół z tej rozprawy, zaraz po niej zostałem zawezwany przez szefa Hamanna, który mi oświadczył, że Jędrzek jest niewinny, co do Józia jest przekonany o jego winie, „ale jesteśmy na tyle kulturalni, że kalek nie aresztujemy”. Syn nasz Józio był wskutek przebytej choroby Heine-Medina sparaliżowany częściowo, tak że chodzić nie mógł, wskutek bezwładu nóg.

Przyszły czasy konspiracji i „podziemia”. Ja byłem temu przeciwny, gdyż uważałem, że wszelka akcja podziemna i sabotażowa przeciwko wrogowi, który zniósł armię naszą, był uzbrojony po zęby, zawładnął prawie całą Europą, jest beznadziejna. Zamiast iść z gołymi rękoma na tanki i armaty, lepiej kształcić się zachować młode siły dla pracy w przyszłej Polsce, gdyż w jakieś odrodzenie

<sup>407</sup> Heinrich Hamann (1908–1993), szef gestapo w Nowym Sączu i Krakowie.

się Polski wierzyłem, tracenie sił i życia narodu w walce z przemożnym zwycięskim wrogiem, mordującym dziesięciu Polaków za jednego zabitego przez nas Niemca, było nieszczęściem i krokiem niewłaściwym, jeżeli nie niepoczynalnym.

9 XII 1939 r. mieliśmy pierwszą wizytę gestapo w pałacu. Zabrano nam wtedy radio i całą broń, myśliwską, zabytkową i krótką, mimo wykazania się pozwoleniami, tak władz administracyjnych jak i wojskowych. Starosta dr Hübschmann, gdy mu to na drugi dzień zakomunikowałem, był oburzony, próbował odzyskać moją broń, lecz zwrócono mi jedynie jeden dryling<sup>408</sup>, z którym jeszcze polowałem z Niemcami leśnikami w latach 1940–1943. Niestety przypadł mi w 1945 r., podczas odwrotu Niemców, był bowiem zdeponowany u forstinspektora Drohsina, który już nie zdążył mi go oddać, zresztą Moskale byliby mi go i tak wzięli lub mnie za posiadanie broni zgładzili.

W 1942 r. latem zostałem wezwany na gestapo, żona mi towarzyszyła, obawiając się, by coś złego się nie stało. Pokazało się jednak, że chodziło tym razem jedynie o wydostanie od nas porządnego wózka z budą na gumowych (dętych) kołach. Oczywiście trudno było się sprzeciwiać, lepiej w takich głupstwach ustępować, a mieć okazję rozmowy z szefem gestapo. Przed siedzibą gestapo usiadł więc Hamann obok mojej żony, ja koło furmana, i kazał jechać do więzienia. Jeszcze nie byliśmy pewni, czy to nie podstęp, by nas bez esklandry<sup>409</sup> przycapić. Stefa przechodziła straszny atak wstydu, że tak przez miasto z Hamannem jedzie, ja o tym chwilowo nie myślałem. Na dziedzińcu przy oglądaniu powozika, który nam za nasz dawali, oczywiście znacznie gorszy, wszczął Hamann rozmowę, którą postaram się streścić [...]. Najpierw powiedział zupełnie dla nas niespodziewanie: „że to wzajemne mordowanie się nie może trwać wiecznie i że trzeba znaleźć jakiś *modus vivendi*”<sup>410</sup> i zasugerował, bym ja, w porozumieniu z innymi, spowodował wydanie jakiejś odezwy wzywającej naród do zgody z okupantem. Na to powiedziałem, że po pierwsze nie jestem kompetentnym, że nie reprezentuję ani społeczeństwa, ani żadnego stronnictwa, powinny władze zwrócić się do ks. metropolity Sapiehy, Janusza Radziwiłła, Wincentego Witosa i innych, że jeżeli wy „Deutschland über alles lieben, dann wundern sie sich nicht dass wir Polen über alles lieben, das ist doch kein Verbrechen” (kochacie Niemcy ponad wszystko, to nie dziwcie się, że my Polskę kochamy tak samo). [...] „Jeżeli wymordujecie Polaków narodowo myślących, to co pozostanie? A wtedy wasza sytuacja będzie gorsza”. Hamann przyznał mi rację. Następnie powiedziałem, że warunkiem musi być otwarcie szkół polskich, samorząd, oddanie zajętych majątków i powrót wysiedlonej ludności polskiej do ich domów, wreszcie wycofanie gestapo z GG i zaniechanie odpowiedzialności zbiorowej, *ergo* mordów niewinnej ludno-

<sup>408</sup> Dryling – strzelba z 3 lufami.

<sup>409</sup> Skandal, zgorznienie.

<sup>410</sup> Sposób życia.

ści, palenia całych wsi za winę jednostki, zniesieniem obozów koncentracyjnych i wypuszczenie uwięzionych. Po tej rozmowie, której zakończenia nie pamiętam, stosunek Hamanna do nas się zmienił, a aresztowaniach mowy nie było, a w niektórych wypadkach szedł nawet na rękę. Raz tylko powiedział mi: „Proszę uważać, bo w razie wypadku: ist es um sie alle geschehen” (zginiecie wszyscy) i zrobił ruch podrzynania gardła ręką. Zrozumiałem to. Dał też do zrozumienia, że w razie odpowiedniego zachowania się z naszej strony konfiskata Frainu może być cofnięta.

W roku zdaje mi się 1943 Hamann został przeniesiony z Nowego Sącza do Krakowa, na ul. Pomorską. Jesienią tego roku zjawiała się u mnie pani Myczkowska spod Jarosławia z prośbą o interwencję u Hamanna w sprawie jej trzech synów i bratanka schwytych z bronią w rękę w chwili, gdy chcieli dostać się do „lasu”. Sprawa była trudna, jeżeli nie beznadziejna, pojechałem jednak do Krakowa i telefonicznie zgłosiłem się do Hamanna, który mi podał swój numer telefonu, by w sprawach nagłych móc się do niego zwrócić, skorzystałem więc z tego. Wpuszczony do tej strasznej siedziby, po oddaniu Kenkarty przy wejściu i pobieżnym zrewidowaniu, zastałem Hamanna dyktującego maszynistce wyroki śmierci właśnie na tych chłopców. Po wyczerpaniu wszelkich argumentów i próśb o względnosc i łaskę, gdy to nie skutkowało, on chodząc po pokoju dalej dyktował, począłem się gorąco modlić, odmawiając myślowo zdrowaśki. Nagle Hamann staje i mówi: „Halt Fräulein das schreiben wir anders” (Napiszemy to inaczej). Ona zakłada nowy papier do maszyny, on dyktuje: „Najmłodszy czternastolatek ma być zaraz zwolniony, tamtym trzem zamieniam karę śmierci na obóz pracy”. Podziękowawszy mu, pojechałem zaraz do metropolity Sapięhy, by mu na świeżo zdać sprawę z tego, co się stało. Powiedział: „To cud, wymodliłeś im życie”. Potem poszedłem do czekającej na mnie pani Myczkowskiej i jej przebieg sprawy opowiedziałem. We łzach mi dziękowała. Na drugi dzień oddano jej tego najmłodszego chłopca.

W 1955 r. byłem u prof. Władysława Szafera<sup>411</sup> w Instytucie Botanicznym, załatwiał jakieś papiery, rozmawiając ze mną. Wtem przyszedł młody człowiek, podając mu do załatwienia plik jakichś papierów. Profesor powiada: „Panowie się nie znacie” i wymienia nazwisko: Myczkowski i moje. Na to ten młody człowiek rzuca mi się na szyję mówiąc: „To pan mi życie uratował”. Był to jeden z tych trzech zesłanych do obozu w Niemczech. Jeden z nich zmarł na tyfus, on i drugi wrócili i żyją w Polsce.

Pierwszego czy drugiego lipca 1944 r. w nocy zbudziły nas strzały i wołanie: „Otwierać nic się nie bójcie”, mówiono to po polsku do służby. Ja przez okno spostrzegłem liczny oddział w mundurach niemieckich. Józio, będący wtedy w domu, stwierdził, że to nie oddział „z lasu”, gdyż jako członek organizacji

<sup>411</sup> Władysław Szafer (1886–1970), botanik, prof. UJ.

byłby o tym wiedział, gestapo dla wprowadzenia nas widocznie w błąd używało języka polskiego. Przyszła mi momentalnie myśl zatelefonowania do Nowego Sącza do Sicherheitspolizei<sup>412</sup>. Połączenie cudem dostałem natychmiast, może gestapo będące w akcji poleciło poczcie miejscowej mieć dyżur, i zatelefonowałem, że jakaś grupa „bandytów”, tak oni nazywali partyzantów, nas oblega i żąda wpuszczenia, co mam czynić? Proszę o pomoc. Na to słyszę odpowiedź, że to niemiecka policja i by ich wpuścić. Wyszedłem na balkon wołając, by nie strzelali, że telefonowałem do gestapo i otrzymałem polecenie wpuszczania ich, proszę do bocznych drzwi, gdyż główne są strzałami zniszczone tak, że otworzyć się nie dadzą. Weszło więc kilku gestapowców z oficerem, kazali się prowadzić do pokoju Józia, mego syna, i oświadczone, że ja i on jesteście aresztowani. Józio pomalutku zaczął się zbierać, demonstrując swe kalectwo, oficer zażądał zaprowadzenia go do telefonu. Stefcia poszła z nim. Po chwili wraca i powiada: „Sie können bleiben” (Możecie zostać).

Widocznie poszedł sprawdzić, czy ja rzeczywiście telefonowałam i wzbrañałem się wpuścić „bandytów”, czym uprzedziłem zarzut, że byłem w zмовie z partyzantami, których oni chcieli udawać, mówiąc po polsku, czym byliby nas skompromitowali i zapewne postąpili z nami jak z Horodyńskimi<sup>413</sup> w Zbydniowie. Znów cudem ocaleni zostaliśmy.

W sierpniu 1944 r. zięć nasz Antoś Mańkowski został aresztowany i wywieziony do Krakowa, tak Hela, jego żona, jak Stefa i ja próbowaliśmy go ratować. Hamann zjawił się w Nawojowej. Hela chciała dać mu złoty zegarek, moja żona medalik z Matką Boską, by się nawrócił. Nie przyjął, mówiąc o medaliku: „Ich bin nicht würdig” (Nie jestem godzien). Dziwny człowiek krwią wielu niewinnych zbroczony.

Może nasze kroki w sprawie Antosia nie były całkiem udane, w każdym razie nie został stracony, co mu groziło, wobec przyznania się do należenia do AK, lecz został zesłany do Flossenbürgu czy innego obozu, skąd ostatecznie, dzięki Bogu, wrócił, mimo przebytego tyfusu i strasznych prześladowań obozowych.

Straszny cios spadł na nas i Nawojową we wrześniu 1944 r. Polecono wszystkim gajowym zebrać się w Zarządzie Lasów w Nawojowej dla jakiejś kontroli. Nic złego nie przeczuwając wszyscy leśnicy stawili się na wezwanie w Zarządzie, zostali otoczeni przez gestapo, uzbrojone po zęby, i część personelu lasowego oraz kilku pracowników tartaku zaaresztowano, m.in. Staszka Kociołka, powiernika syna mego Józia, dalej Matyjewicza, Siedlarza, Waltera, równocześnie na Podlipiu, gdzie mieszkali, zaaresztowano Eustachego Rylskiego<sup>414</sup> i jego żonę Marię z Platerów. Wszystkich wywieziono do Sącza, było to w poniedziałek.

<sup>412</sup> Sicherheitspolizei – policja bezpieczeństwa.

<sup>413</sup> Zbigniew Horodyński (1887–1943), jego syn Zbigniew Bogusław Horodyński (1921–1944), zamordowany przez Niemców.

<sup>414</sup> Eustachy Rylski (1909–1944), zamordowany przez Niemców.

W najbliższy piątek byłem w Nowym Sączu, wracając wózkiem, spotkałem Marysię Rylską, powracającą z Nowego Sącza. Dowiedziałem się od niej, że ją wypuszczono tego dnia, była w poważnym stanie, w oddziale męskim więzienia słyszała tego dnia jakiś rumor, ale nie orientowała się, co by to było. Otóż jak się okazało równocześnie wywieziono ich wszystkich do Młodowa<sup>415</sup>, na miejsce gdzie przed kilku dniami wykoleili partyzanci sowieccy pociąg sanitarny tych naszych biedaków rozstrzelano. Co za potworność. Ludzi niewinnych tego, skądinąd karygodnego czynu, zabić bez sądu w ciągu kilku dni po aresztowaniu podstępny. Gdy po pewnym czasie opowiedziałem Hamannowi o tym zdarzeniu, złapał się za głowę i powiedział: „Czemuż mnie nie zawiadomili? Byłbym do tego nie dopuścił”. Urzędował on wtedy już w Krakowie, u jego następcy w Nowym Sączu byłem, lecz on nie chciał w ogóle rozmawiać, mówiąc że wszystko idzie drogą urzędowo przewidzianą. I odprawił mnie z niczym. Został odwołany wkrótce z Nowego Sącza.

Wkrótce po tym wypadku przyjechało dwóch gestapowców, już znajomych, jeden z nich to ten sam, co Jędrka aresztował w 1941 r. Wziąłem ich do kancelarii, pytając, czym mogę służyć i dałem im wódki i jakieś zakąski. A oni powiadają, że potrzebują Jaśka Kociołka, chłopca kredensowego, brata zamordowanego Staszka. Słyszę, że tenże Jasiek sprząta nad moją kancelarią ogród zimowy, połączony schodami krętymi z kancelarią. Idę więc szybko na górę, na szczęście gestapowcy za mną nie poszli, i widząc Jaśka mówię do niego: „Zosiu, zawołaj Jaśka, bo go panowie z gestapo potrzebują” – jemu równocześnie daję ręką wymowny znak „uciekaj”. Po dłuższym oczekiwaniu gestapowcy mówią, coś Jaśka nie widać, chodźmy go szukać. Idę więc z nimi do kuchni, a tam powiadają, że Jasiek poszedł na folwark pomagać przy młocce. Idziemy na folwark, przy młocarni pytają o Jaśka, na co odpowiedź pada, że poszedł niedawno ku lasowi do bratowej. Na to gestapowcy ze śmiechem powiadają: „Widocznie przeczuł pismo nosem i zwiął, tym razem się nam nie udało”, i pojechali do Nowego Sącza, nie wiem, czy nie kontenci w duchu z tego obrotu sprawy, wszak mogli mnie aresztować za ułatwienie ucieczki Jaśkowi, względnie jako zakładnika aż do dostania Jaśka.

Podczas odwrotu Niemców w połowie stycznia 1945 r. przyszło do Rytra i Nawojowej tzw. *Vernichtungskommando*, celem niszczenia obiektów o znaczeniu wojskowym, więc spalenia tartaków. Zaprosiłem znów, jak zwykle tych dwóch Niemców do mojej kancelarii, dostali wódki i zakąski, jeden z nich był myśliwym, więc go zainteresowałem moimi trofeami, opowiadając o każdym rogaczu, dziku czy jeleniu, w jakich okolicznościach został zabity, prócz tego tłumaczyłem im, że spalenie tartaku i stolarni będzie stratą dla Niemiec, gdyż nie wątpię, że te tylko chwilowe cofanie się, a gdy powrócą, to tartak będzie im potrzebny dla odbudowy mostów, baraków *etc.*

<sup>415</sup> Młodów, k. Piwnicznej Zdroju. Zob. M. Smoleń, *Tablice, groby i pomniki Nowego Sącza*, 1998, s. 43.

Na odchodnym powiedzieli mi, niech się pan nie martwi, nie zrobimy panu krzywdy, miny usunęli, pojechali, tartaku nie wysadzili i nie spalili. W Rytrze, gdzie mnie na miejscu nie było, wszyscy stchórzyli i nikt Niemców na wódkę nie zaprosił, a tartak i stolarnia, większe niż nawojowskie, znikły dosłownie z powierzchni ziemi, i nie zostały nigdy odbudowane, ani żadnego odszkodowania nie otrzymałem. [...]

Synowi Józefowi (nazywam go zawsze „Józio”) powierzyłem prowadzenie osobiste małego rewiru Trzycierz (las między Nawojową i Porębą Małą) oraz kontrolę nad całym gospodarstwem leśnym, jak również całą administracją. Józio prowadził „Trzycierz” wzorowo z wielkim zamięłowaniem, dając dowód i rękojmię, że w jego ręku lasy dobrze, po mojej myśli, prowadzone będą.

Swoją pracę gospodarczo-leśną połączył Józio wkrótce z pracą konspiracyjną, o której szczegółach nie wiedziałem i wiedzieć nie chciałem. Zaczęli wtedy przybywać coraz częściej bieżący z całej Polski, przeważnie pragnący wydostać się za granicę przez Słowację i Węgry, jeszcze wtedy nam przychylnie. I tak był m.in. Kocio Brzozowski, syn Karola i Zosi z Krasińskich, mojej siostry ciotecznej, z kilku innymi młodymi, których przyodziawszy, wyprawiliśmy przez Radziejową, doszli wszyscy szczęśliwie, dotarli do Anglii, gdzie Kocio się ożenił, a potem niestety wkrótce umarł.

Przybyli Stefanowie Dąbrowscy<sup>416</sup>, ona Zosia z Żółtowskich, moja siostra cioteczna, pobywszy w Nawojowej jakiś czas, osiedli w Szczawnicy, gdzie Stefan pracował naukowo nad rozbiorem i działalnością tamtejszych wód mineralnych, po czym napisał pracę naukową [...].

Później przyjechali na dłuższy pobyt Julowie Osterwowie<sup>417</sup>, ona Tila [Matylda] Sapieżanka, również moja siostra cioteczna, przyjechali z małuszką Marynią.

W styczniu 1940 r. odbył się w Nawojowej ślub córki naszej Heli z Antosiem Mańkowskim. Dla nich wyremontowałem dom w Brzeznej, gdzie Antoś pracował najpierw jako administrator, a później, po darowaniu Heli Brzeznej, jako właściciele rezydowali, przechodząc różne koleje dobre i złe, aż do makabrycznych: aresztowanie Antosia dwukrotne, odwrót Niemców i przyjsie bolszewików, co powinna Hela utrwalić, opisując te epizody.

Na dłuższe lub krótsze pobyty przyjeżdżały ciotki Pawłowa Sapieżyna, Teresa Leonowa Sapieżyna, wuj metropolita krakowski Adam Stefan Sapieha, Pawłowie Florianowie Sapiehowie, Jadzia Szembekowa<sup>418</sup>, Róża Lubomirska<sup>419</sup> z córkami. Podczas powstania warszawskiego był Antek Plater<sup>420</sup> z córeczkami, a po powstaniu udzieliliśmy gościny Leonom Żółtowskim z Isią; gdy było już

<sup>416</sup> Stefan Dąbrowski, prof. Uniwersytetu Poznańskiego.

<sup>417</sup> Juliusz Osterwa (1885–1947), aktor, reżyser, założyciel Teatru Reduta.

<sup>418</sup> Jadwiga Maria z Sapiehów Szembekowa (1886–1973).

<sup>419</sup> Róża Lubomirska (1901–1999), c. Józefa Platera.

<sup>420</sup> Antoni Plater-Zyberk (1901–1977), ekonomista, działacz społeczny.

w domu za ciężko, przenieśli się do Nawojówki do Oczkowskich. Często byli gośćmi bywali Eustachowie Rylscy (mieszkający na Podlipiu w Nawojówce, skąd zostali wywiezieni przez gestapo, on już nie wrócił, rozstrzelany jako zakładnik w Młodowie, ona po powrocie zamieszkała u nas i porodziła synka. Także w tym samym pokoju urodziły się dwie córeczki Jadzi: Marysinka i Izabelka, którym na pamiątkę prababek takie imiona nadaliśmy. [...]

Tymczasem Józio prowadził niezamordowane swą akcję w AK. Jeździł swoją „biedką”, wózcikiem dwukołowym na kółkach samolotowych w góry, dniami całymi w domu go nie było, organizował, aprowizował oddziały w lasach.

Najgorsze czasy nastały, gdy mu się jesienią 1944 r. wózek popsuł, a nowej ośki nigdzie dostać nie było można. Gestapo go szukało i na jego głowę nagroda była wyznaczona. W tej sytuacji udało mu się cudem przedostać do powiatu gorlickiego, gdzie pani Groblewska udzielała mu pomocy, jego nieodstępna łączniczka Elżbieta Lubomirska mu towarzyszyła. Tam też u Byszewskich w Lipinkach<sup>421</sup> ślub wzięli, na który tylko Stefa pojechała, niestety przybyła, gdy już z kościoła po ślubie wychodzili. Takie smutne było zakończenie okupacji niemieckiej. [...]

Około 20 I 1945 r. wycofywały się ostatnie oddziały niemieckie wracające spod Dukli<sup>422</sup>, byli zgłodniaли, prosili o trochę żywności, ale byli bardzo porządnie ubrani i zachowywali się spokojnie. Pod wieczór zwrócił się do mnie jeden młody żołnierz niemiecki z prośbą o wskazanie mu drogi do kościoła, gdyż jest księdzem i pragnąłby mszę św. odprawić, mając zezwolenie odprawiania jej o każdej porze. Zaprowadziłem go do proboszcza – i po otwarciu kościoła służyłem mu do mszy, którą odprawiał z takim skupieniem i nabożnością, jakich się nie spotyka. Potem odprowadziłem go do oddziału, który stał na drodze między pałacem a folwarkiem. Odeszli w nocy ku zachodowi na Porębę. Przez całą noc patrzyliśmy z okien starego pałacu na Nowy Sącz, bombardowany i palony ogniem „katusz” strzelających ze wschodnich pagórków. Nad ranem wszystko ucichło, rano idąc na folwark, by zobaczyć, co nam jeszcze Niemcy zostawili i naradzić się z rządcą Wiewiórowskim, co robić, zobaczyłem oficera rosyjskiego na skrzyżowaniu dróg koło karczmy. Podszedłem do niego, prosząc o zarządzenie, by nie rabowano i nie niszczone niepotrzebnie czegokolwiek. Ludzie z folwarku też tam byli, oczekując od niego jakichś może magicznych słów? Na to on, dowiedziawszy się od ludzi, że ja jestem gospodarzem („haziaj”) powiedział: „Iść pracować jak dotychczas”. To wywarło swój skutek. Równocześnie płonęły zabudowania ponemieckie po drugiej stronie gościńca koło tartaku, podpalone przez jakieś oddziały, nie wiem, niemieckie czy ukraińskie. Zajęły się od tego ognia warsztaty stolarniane wzdłuż gościńca przy tartaku. Przez cały dzień pracowaliśmy z ludźmi folwarcznymi

<sup>421</sup> Lipinki w. w pow. Gorlice.

<sup>422</sup> Dukla, m. w pow. Krosno przy granicy polsko-słowackiej. W pobliżu Przełęcz Dukielska, miejsce ciężkich walk radziecko-niemieckich we wrześniu i październiku 1944 r.

i tartaczynami, by nie dopuścić do pożaru tartaku, co się nam udało. Tymczasem szumowiny miejscowe rzuciły się do rabowania, co się dało, wykręcali części maszyn, akumulatorów, deski itp., mimo mych perswazji, próśb i gróźb. Z moich ludzi nikt nie śmiał stanowczo wystąpić, zatrzymywałem przejeżdżające konwoje sowieckie, prosząc o pomoc, tłumacząc im, że tartak jest źródłem zarobku dla biedoty miejscowej, ale ruszali tylko ramionami i jechali dalej. Tłumaczenie, że tartak jest potrzebny bez względu na to czyją jest własnością, nic nie pomogło.

Zaczęły się przemarsze i kwaterunki coraz to innych oddziałów. Kradli, co się tylko dało, wszędzie ich było pełno, obdarcy wyglądali jak banda rabusiów. Na domiar złego popsuło się coś w naszym centralnym ogrzewaniu. Nie było koni do zwózki drzewa z lasu, więc i palić nie było czym. Własnymi siłami z Leonem Żółtowskim przy pomocy kucyków woziliśmy resztki obrzynków z tartaku. Ciągnęliśmy ręcznie wodę, gdyż prądu nie było wskutek uszkodzenia kabli przez pożar. Leonowie Żółtowscy mieszkali u nas po spaleniu Warszawy, dokąd się schronili po wysiedleniu ich z Niechanowa jeszcze w 1939 r.

Pod wieczór wezwano mnie i Wyszka Platara, który był praktykaniem przy gospodarstwie, do NKWD, na przesłuchanie. Po godzinnych indagacjach bezsensownych puszczono mnie, a Platara zatrzymano, gdyż okazało się, że jest „obywatelem sowieckim”, z Litwy, i wysłano go w głąb Rosji. Po przesłuchaniu poprosiłem o danie mi żołnierza do ochrony, aby mnie nie zaczepiano (była już noc). Ten żołdat po odprowadzeniu mnie poprosił o zegarek „czasy”. Paweł przyniósł jakiś stary niechodzący „Rosskopf”<sup>423</sup>, a gdy go dałem żołdatowi, ten mnie w rękę pocałował. [...]

Po kilku dniach przyjechało pięciu żołnierzy ciężarówką po mnie. Myślałem, że tym razem już będzie koniec, pożegnałem się, odjeżdżając, zrobiłem ręką znak krzyża nad opuszczaną Nawojową. I zostałem w dawnym lokalu gestapo poddany przesłuchaniu. Wszędzie brud, kupy odchodów na podłodze.

Przesłuchiwanie trwało długo, m.in. pytano mnie, kto jest na czele różnych stronnictw w Polsce. Odpowiedziałem, że nie wiem, bo wszelkie stronnictwa były za okupacji niemieckiej zakazane. Na to pułkownik powiada, że jak sobie nie przypomnę do rana, to pójdę do ruskiej tiumry. „Znajete czto eto russkaja tiumra?” „Znaję, odrzekłem, ale nie przypomnę sobie, bo nie wiem”. „A jaki rząd będzie w Polsce?” „Taki, jaki alianci naznaczą”. „A czto eto alianci?” „To Rosja, Ameryka i Anglia”, odpowiedziałem. To ich trochę uspokoiło. Dalej powiedziałem, że moi synowie walczyli jako partyzanci razem z Sowietami, co potwierdził młody tłumacz, który był w tej partyzantce; syn Andrzeja zmarł, uciekłszy przed gestapo za frontem. To ich ugłaskło i o 10-tej rano wy-

<sup>423</sup> „Rosskopf” – marka popularnego zegarka kieszonkowego.



puścili mnie po bardzo przykrew nocy, zażądawszy kilku flaszek wina, które otrzymałem od jezuitów (od ojca Kuśmierza)<sup>424</sup>, gdyż naszego już nie było. Major, który mnie przesłuchiwał, odwiózł mnie do domu. Właśnie zbierała się na folwarku deputacja ludzi fornali pod kierownictwem i z inicjatywy Józka Ogórka, urwisa wielkiego, ale mego ulubionego woźnicy drzewa z lasów oraz ochotnika z 1920 r., za co kawałek gruntu w Łabowej był otrzymał, teraz miał się udać do Nowego Sącza i żądać zwolnienia mnie. Żałuję, że do tego nie doszło, bo byłoby ciekawe, jakby się byli nasi najserdeczniejsi „oswobodziciele” na to zapatrywali? Wróciłem więc serdecznie witany z niekłamaną radością przez ludzi.

Wkrótce (z końcem lutego) przyjechała komisja do majątku i poradziła mi usunąć się dobrowolnie, by właśnie tej „tiumny uniknąć”. Wyjechałem więc do Krynicy, Szczawnicy i Krakowa, zlecając pieczę nad majątkiem i kancelarią inż. Leonowi Kociołkowi i kasjerowi Ossolińskiemu. Wszystkie akta, papiery i rachunki poszły na onuce i kręcone papierosy dla żołdatów. Tymczasem podpalone baraki ponemieckie koło tartaku, które spłonęły. Tartak, dzięki ofiarności wszystkich moich ludzi, ocalał.

Zepsuło się ogrzewanie centralne w zamku, więc marzliśmy przez te ostatnie dni pobytu. Ja przeniosłem się do pokoi mojej matki, gdzie były piece. Biedna Stefka wytrzymała w naszych pokojach, gdzie w nocy musiała odpierać dobijających się bolszewików. [...]

W czasie tych najprzykrzejszych w życiu moim miesięcy przyszła piechotą z Gorlic Elżbieta, żona Józia, ciężarna z Cesią, prosząc o jakiś wóz po Józia. Pojechał więc Paweł, syn, fornalką, jedyną jaka jeszcze była (ukryta przez fornala) i przywiózł biedaka. Taki był ich wjazd do Nawojowej, pierwszy po ślubie, który się odbył w Lipinkach u zacnych państwa Byszewskich, a na którym nikogo z rodziny nie było. Smutny i krótki był ich pobyt w domu rodzinnym. [...] Jednego dnia, gdy przyjechali jacyś generałowie, Stefa przyjmowała ich herbatą w salonie, poszedłem po coś do pokoju sypialnego, gdzie dwóch oficerów stało. Pytam, czego sobie życzą. „Niczewo” i wyszli. Ale jak się zaraz pokazało, zabrali pęk kluczy od dużej szafy mahoniowej i kilka flaszek wódki, które tam były schowane. Wtedy także znikło moje złote pióro wieczne „Pelikan”, zegarek złoty naręczny i szczyryk. Niemcy w czasie licznych kwaterunków przez 4 lata nigdy do naszych pokoi nie wchodzili i poza powozem z końmi niczego nie wzięli. Natychmiast wróciłem do salonu i powiedziałem generałowi, co się stało. Posłał adiutanta, by oddali klucze, ale po chwili ten wrócił meldując, że już odjechali. Generał był bezradny. [...]

Śmierć Jędrka przejęła nas wszystkich żalem niezmiernym, ale dla niego lepiej, że go Pan Bóg tak wcześniej powołał, gdyż strata wszystkiego, co umiłował: lasów, gór, łowów i środków do życia, byłaby gorszą niż śmierć, zwłaszcza że

<sup>424</sup> O. Antoni Kuśmierz (1910–1967), jezuita, prof. studium zakon. w Nowym Sączu.

zostało mu zaoszczędzone oglądanie tego bezmiaru krzywd, niesprawiedliwości i zakłamania, w jakich nam żyć przyszło, co przy jego stanie zdrowia byłoby podwójnie ciężkim.

Gdy nas z domu wyrzucono, napisałem do komisji ziemskiej w Nowym Sączu: „Proszę o przejęcie całego mego personelu oraz emerytów dotychczas przeze mnie utrzymywanych. Wypłacenie wszystkim ich lokat udzielonych majątkowi w 1939 r., gdyż ja obecnie jestem bez środków. Przy podziale gruntów proszę o uwzględnienie dotychczasowych stałych pracowników majątku (fornali, leśnych i innych). Proszę o pozostawienie matce mojej osiemniesięcioośmioletniej staruszce dotychczasowego jej mieszkania w pałacu w Nawojowej. Wreszcie proszę o możliwość pozostawienia niektórych moich ruchomości pod powierniczą opieką zarządu lasów aż do czasu, gdy będę mógł je przewieźć do nowego miejsca zamieszkania. W razie mojej śmierci, proszę o wydanie tych rzeczy mojej żonie lub spadkobiercom”. Nic z tego nie zostało uwzględnione.

Muszę jeszcze parę słów poświęcić specjalnym gościom, do których wojna i okupacja nas szczególnie zbliżyła.

Żona moja dowiedziała się, że gdzieś koło Mielca, w jakimś młynie mieszkałą w biedzie i pracują Stadniccy<sup>425</sup> z Krysowic, czyli żona Stasia, wnuka mego stryja Stanisława, Teresa z Malinowskich, z dwoma synami: Edwardem i Erykiem. Pojechała więc do nich i przywiozła ich do Nawojowej. Edzio, starszy, był po prostu parobkiem w tym młynie i chciał w Nawojowej też pracować jako fernal. Obaj mieli się uczyć z naszymi synami, jadali oczywiście z nami, ale Edzio wolał chodzić na obiady do kuchni czeladnej na folwarku. Gdy go Józio brał z sobą do pomocy na wózek czy sanki, szczytem marzeń Edzia było dostać czapkę liberyjną jak furman wyjazdowy. Eryk, młodszy i delikatniejszy, trzymał się matki i uczył się razem z Jędrkiem lub Pawełkiem. Gdy zaczęła się praca konspiracyjna Józia i jego częste bytności w lasach, oczywiście Edzio mu towarzyszył i był wtedy w swoim żywiole. Był silny i zdrowy, zaprzyjaźnił się bardzo z moimi chłopcami, tak że nasz dom stał się po trochu surogatem domu rodzinnego Krysowiec, z których już w dzieciństwie byli wydaleny wskutek pożaru pałacu i zajęcia tych stron przez Sowiety w 1939 r. Stało się tak po części także wskutek anormalnych warunków rodzinnych. Ojciec ich porzucił żonę Teresę i ożenił się ponownie w Zakopanem. Ponadto spierał się ze swym ojcem, Stanisławem Adamem, o administrację majątku, który, jego zdaniem, był niszczonej przez jego ojca. Wkrótce Edzio stał się najbliższym towarzyszem, sługą i kolegą Józia. Jak słyszałem później, w czasie akcji niejednego „okupanta” wyprawił na Pola Eliżejskie. Po wojnie obrał zawód leśnika w lasach państwowych. Eryk nie brał udziału w akcji konspiracyjnej. Po 1945 r. wybrał zawód urzędnika i zamiesz-

<sup>425</sup> Stanisław i Teresa z Malinowskich Stadniccy.

kał w Zakopanem. Obaj bracia stali się porządnymi i rodzinnymi, chętnie utrzymując kontakty z krewnymi mieszkającymi w Krynicy, Poznaniu, Osoli i Rabie.

Jak już wspomniałem, między gośćmi była też Rola Lubomirska z córkami. Otóż te miłe odwiedziny powtórzyły się chyba dwa razy. Elżbieta, starsza, chorowała raz ciężko na zapalenie płuc, leczył ją potem dr Laskowski w Szczawnicy. Po wyzdrowieniu wprost z łóżka udała się do lasu, gdzie w partyzantce pozostała już do końca wojny, była łączniczką Józia. Potem złączyła się z nim dożgonnie w małżeństwie. Niestety śmierć Józia położyła kres temu szczęśliwemu pożyciu.

Zwinięcie domu ich w Krynicy, który był surogatem i jakby dalszym ciągiem domu rodzinnego w Nawojowej, było dla mnie, jak i dla dzieci Józioń, wielkim ciosem. Cóż zrobić? „Dla chleba, Panie, dla chleba i góry porzucić trzeba”<sup>426</sup>.

Po wojnie Edzio Stadnicki poświęcił się leśnictwu, ożenił się i był leśniczym w Nieżurowej koło Czerska, powiat Chojnice. Odwiedzał mnie czasem w Osoli. Jak grom spadła na mnie wiadomość, że Edzio nie żyje, popełnił dnia 13 X 1966 r. samobójstwo z nieznanых powodów. Zapewne było to jakies chwilowe zaćmienie umysłu, gdyż nie pił, długów nie pozostawił. Władze jego przełożone leśnictwa pozostawiły syna jego najstarszego jako gajowego na placówce ojca, co było dowodem uznania i zaufania.

Młodszy Eryk zamieszkał z żoną i dwoma córeczkami w Zakopanem, gdzie został zatrudniony w aprowizacji miejskiej. Okazuje nam zawsze wiele serca i przywiązania rodzinnego. Był na pogrzebie Józia, Stefy. Często odwiedza Rabę (Mańkowskich). Był zrozpaczony po śmierci brata; pomagał też wdowie i dzieciom Edzia. Pomagają im też, podług sił, moje wnuki.

Osobny ustęp należałoby poświęcić działalności w czasie okupacji mojej żony i moich córek Danusi (Anny) i Stefci. Niestety o tych rzeczach wiem mało i tylko z incydentalnych wzmianek tych pań, które wszystko utrzymywały w wielkiej tajemnicy, przeto za ścisłość tych spraw odpowiedzialności nie przyjmuję.

Żona moja, Stefania z Woronieckich, niesłuchanie opanowana i bez nerwów, była duszą całego naszego domu; o wszystkim wiedziała i wieloma sprawami kierowała, często dochodziło między nami do różnicy zdań, ale przeważnie jej rację przyznać musiałem.

Otóż ona wszystko umiała ukryć, zasłonić swym spokojem tak, iż dzięki niej nigdy „wsypy” żadnej nie było, choć u niej na strychach bywały, jak się później dowiedziałem, magazyny broni, granatów *etc.* Nieraz i ludzie byli ukryci, podczas gdy ja spokojnie z gestapowcami konferowałem i nie byłem zupełnie zdenerwowany, czym mogłem się zdradzić, nie wiedząc o tym, co ona robi czy ukrywa.

---

<sup>426</sup> Fragment utworu M. Bałuckiego *Góralu czy ci nie żal*.

Przez dłuższy czas była moja żona prezesową RGO<sup>427</sup> na powiat nowosądecki, dysponowała znacznymi funduszami i zasobami leków, które przeznacziała tylko na akcję partyzancką. Starła się tworzyć we wszystkich wsiach pod lasami leżącymi, tak w sądeckim jak w limanowskim powiecie, ośrodki sanitarne. Pewnego razu została wezwana z biura RGO przez Hamanna, który przysłał po nią dwóch uzbrojonych gestapowców, tak iż prowadzona przez nich przez rynek aż do gestapo, nie wiedziała czy idzie na śmierć, czy na audiencję. Na gestapo dopiero Hamann zapytał ją, dlaczego chce tworzyć tyle placówek sanitarnych? Ona odpowiedziała, że robi to w trosce o zdrowotność całej ludności, co powinno także leżeć w interesie armii niemieckiej, aby ją ochronić przed infekcją w razie wybuchu zarazy po wsiach. Hamann, zaskoczony tym oświadczeniem, przyznał jej rację i dał pozwolenie na zakładanie tych ośrodków we wszystkich wsiach, i o ile się nie mylę, na transport leków z Krakowa, oraz na to, by nasza Stefcia była pielęgniarką. Wszystko to poszło dla partyzantów.

Stefa często jeździła do Krakowa i znaczne sumy pieniężne przewoziła. Danusia była łączniczką z Gorlicami<sup>428</sup> i nieraz jadąc miała rewolwer i pieniądze w walizce, gdy przechodziła kontrola. Jakoś Bóg ją strzegł, że ani razu nie wpadła. Skoro tylko nadarzyła się sposobność, widząc, że nasze władze kontynuują prześladowanie tych, którzy dla obrony sprawy narodowej przez 4 lata życiem ryzykowali, związała wraz z Stefcią (pielęgniarką) do Francji. Stefcia następnie przewoziła rannych i chorych z armii Andersa z Włoch do Anglii; skończyła w Belgii, z odznaczeniem, kurs medycyny tropikalnej i zaciągnęła się do pracy w Kongo do kolumn sanitarnych, leczących Murzynów w buszu. Tak pracowała przez dwa lata w prowincji Uele, po czym połączyła się dopiero z narzeczonym Włodzimierzem Jasińskim<sup>429</sup> w Elisabethville, gdzie nadal pracuje jako asystentka chirurga, mąż jej jest inżynierem budowy dróg i mostów. Anna (Danusia) pracowała długo jako szwaczka-modystka w Paryżu i Londynie, po czym wyszedłszy za Stanisława Gostkowskiego<sup>430</sup> przeniosiła się z nim do Kongo, później do Tanganiki.

Józio i Elżbieta zamieszkali po ślubie w Gorlicach, na chwilę tuż przed wysiedleniem, przyjechali do gniazda rodzinnego w Nawojowej, po czym osiedli w Krynicy w willi „Miłej”, którą żona moja sama o własnych siłach, wywożąc meble, obrazy i sprzęt wszelki z Nawojowej, urządziła dla nas jako surogat dawnego domu rodzinnego. Tam Józiowie mieszkali i pracowali przez 15 lat, zyskując sobie uznanie i miłość mieszkańców Krynicy, tam urodziło się ich pięcioro dzieci. I żyli szczęśliwie aż do nagłej śmierci Józia w wypadku drogowym pod Grójcem 13 X 1960 r. w dwa miesiące po obchodzie naszego złotego wesela

<sup>427</sup> Rada Główna Opiekuńcza – organizacja społeczna, działająca w czasie okupacji niemieckiej. Delegatura dla pow. nowosądeckiego i limanowskiego.

<sup>428</sup> Dowództwo Obwodu AK w Gorlicach.

<sup>429</sup> Włodzimierz Jasiński, zięć Adama Stadnickiego.

<sup>430</sup> Stanisław Gostkowski, zięć Adama Stadnickiego.

w Szczawnicy, w którym wszystkie dzieci, z Józiem na czele, udział wzięły. Były to ostatnie względnie szczęśliwe chwile naszego życia.

Od dwóch lat mniej więcej stan zdrowia Stefy pogarszał się. Duszności spowodowane rozedmą płuc i chronicznym bronchitem, do tego dochodziło osłabienie wskutek niedostatecznego odżywiania się i złego funkcjonowania kiszek, co powodowało nie tylko upadek sił, lecz także pogorszenie się samopoczucia. W związku z tym było jej usposobienie zgryźliwe i nieustępliwe, czego dawniej nigdy nie było.

Leczyć się chciała, lecz lekarzom przeważnie nie wierzyła; lekarstw miała mnóstwo, które albo zalegały szafy latami, albo które zażywała czasami nadmiar, psując sobie tym kiszki i organizm.

Wobec tak niekonsekwentnego trybu życia, stan zdrowia się nie poprawiał, mimo powtórnej kuracji w Szczawnicy, na którą otrzymaliśmy „skierowanie” w lipcu 1962 r. Stefa uważała, że jej pobyt w Osoli szkodzi, wskutek wilgoci, którą las nasz domek otaczający może rzeczywiście powodował. Ale nie było na to rady. Dokąd się przenieść? Gdyby się posiadało Frain lub Nawojową, decyzja byłaby łatwa, tak jednak ani u żadnego dziecka miejsca nie było, ani środków finansowych nie było, by gdzieś się przyzwicie ulokować. W Osoli otrzymałem akt nadania na ten lichy poniemiecki domek, w którym w 1955 r. zamieszkaliśmy. Nadto był tam ogródek, który dawał nie tylko przyjemność pracy, lecz także miało się groszek, fasolkę, ziemniaczki. Były także truskawki i poziomki przez Stefę, przy mojej pomocy założone. Mimo więc wygadywania Stefki na Osolę, miało się tam i swój kąt i ogródek, zaopatrujący dom w niezbędne warzywa oraz dający możliwość przyjmowania na zmianę dzieci, wnuków i przyjaciół, którzy, jak Adasiowie Czartoryscy<sup>431</sup> z Obornik, Jasiowie Morawscy, Pacyńscy i wielu innych, nas od czasu do czasu odwiedzali. Dr Adam Pacyński, syn byłego Naczelnika Fundacji Kórnickiej<sup>432</sup>, dobrze mi znanego, przez Niemców zamordowanego w 1939 r., badał Stefę i leczył ją, nie biorąc za to żadnego honorarium.

Pobyt nasz półtoramiesięczny od 1 VIII do 15 IX 1962 r. w Szczawnicy „Pod Modrzewiami” był ostatnim przeblyskiem, jeżeli nie szczęścia, to spokoju. Byli tam wtedy Adasiowie Czartoryscy z Izabelką i Jadziusią, bawili przez 3 tygodnie Adasiowie Woronieccy, przyjechała nas odwiedzić Elżbieta z dziećmi z Krynicy. Odwiedzali nas znajomi i przyjaciele. Stefa wychodziła pomalutku na spacerek na „swoją parcelę” przy sanatorium „Pod Hutnikiem” i tam siadywała na słoneczku. Raz, gdy wracałem ze spaceru dalszego, spotkałem tam dyrektora Kulklińskiego z licznym towarzystwem; zatrzymał mnie i zapoznał z Gaitskellem<sup>433</sup>, szefem Labour Party, który właśnie podróżował po Polsce. Parę słów z nim za-

<sup>431</sup> Adamowie Czartoryscy – Adam Michał (1906–1998), ż. Jadwiga ze Stadnickich (1913–2009).

<sup>432</sup> Fundacja Kórnicka utworzona przez Zamoyskich w 1924 r. (Biblioteka, Muzeum, Arboretum).

<sup>433</sup> Hugh T.N. Gaitskell (1906–1963), przywódca Labour Party.

mieniłem, objaśniając go, że tak budowle jak i park, który mu się podobał, są moim dziełem. Parę miesięcy potem już nie żył, zmarł w tym samym dniu, kiedy mnie Stefka moja na wieki opuściła.

Po powrocie ze Szczawnicy i krótkim zatrzymaniu się w Rabie i w Krakowie, zamieszkaliśmy w Osoli. Ponieważ nasz syn Paweł wyjeżdżał na rok czy dwa z rodziną do Francji, celem poprawy bytu, zdecydowaliśmy przenieść się na zimę do ich mieszkania w Krakowie, gdyż już poprzednia zima w Osoli nam dokuczyla, zimno, zamarzanie wodociągu. Wobec trudności w otrzymaniu węgla byłby pobyt tam w zimie niemożliwy, nawet w normalnych warunkach, cóż dopiero w taką zimę, jaka nastala w 1962/1963 r. Więc 1 XII odwiezieni przez Jadzię, która w swej zacności mamę zapakowała, pojechaliśmy do Krakowa, gdzie nas oczekiwali Stefan Świeżawski<sup>434</sup> i Józio Deskur, którzy przewieźli nas na wózku bagażowym do zamówionego samochodu. Zamieszkaliśmy więc przy ul. Urzędniczej 14 w mieszkaniu Pawłów, które nieco przemeblowaliśmy; sprowadziłem wreszcie meble z Muzeum Czartoryskich<sup>435</sup> i z pałacu biskupiego. Nasz pobyt zaczął się od porady lekarskiej, dr Pieniążek zapisał mnóstwo lekarstw, które nic nie pomagały, stan mamy się pogarszał. Przyjmowała gości, wtedy bywała ożywiona i nawet dobrze wyglądała, dużo siedziała biedactwo przy telefonie i książki czytała. W Boże Narodzenie, po mszy św. i komunii, byliśmy na obiedzie u Stefanów, po czym do późnego wieczora były śpiewy Helusi, Mai i Stefana oraz Marysi, co mamę bardzo ucieszyło. W drugie święto po mszy byliśmy na obiedzie u cioci Tildzi<sup>436</sup>. Były to ostatnie wyjścia Stefy.

Od 16 I przyszło u Stefy pogorszenie. Dr Żurowski skonstatował zawał serca i kazał chorej leżeć. Stefa jednak nie wierzyła, mówiła, że serce miała zawsze dobre; twierdziła, że to grypa, „która mnie zabije”. W piątek 18 I był Jerzy Czartoryski<sup>437</sup>. Wcześniej, w czwartek na propozycję Marysi przysłała księdza, odpowiedziała, że woli wybrać się w niedzielę do kapucynów. W sobotę był Antoś na obiedzie, Stefa leżała i nic już tego dnia, jak i poprzedniego, nie jadła, tylko piła rosół i herbatę, bo jej przełykanie sprawiało trudności, myślała, że to jest ból gardła wskutek grypy, tymczasem był to ból aorty, spowodowany tym zawałem, o czym nie mieliśmy pojęcia. Antoś pożegnał się o trzeciej i odjechał autem do Raby. Telefonowałem potem do Marysi w sprawie pielęgniarki, o którą Stefa przedtem prosiła. Gdy usłyszała, że o tym mówię, zawołała, że nie chce pielęgniarki. Na zapytanie Marysi, czy chce księdza, posiedziała: „Tak” i to było jej ostatnie słowo. Przedtem była w toaletce, po czym podałem jej herbatę i usiadłem w drugim pokoju, by przegłędnać gazetę. Po 5 czy 10 minutach wszedłem do pokoju sypialnego i zastałem mamusię już

<sup>434</sup> Stefan Świeżawski (1907–2004), filozof, mąż córki Adama Stadnickiego Marii (1912–2003).

<sup>435</sup> Biblioteka i Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

<sup>436</sup> Mechtylda Maria (1891–1966), c. arcyks. Karola Habsburga, ż. Olgierda Czartoryskiego.

<sup>437</sup> Jerzy Czartoryski (ur. 1939), kartograf.

martwą, leżała na wznak, blada, z otwartymi ustami. Podszedłem do niej, była całkiem ciepła, zatelefonowałem do Stefanów, potem pocałowałem mamusię, zrobiłem jej krzyżyk na czole i zamknąłem jej śliczne, filuternie uśmiechnięte oczęta. Takie było nasze pożegnanie. Może umierając w sobotę, widziała już Matkę Boską po nią przychodzącą, by ją z tego padołu płaczu i ciężkich doświadczeń wziąć do siebie. Ostatnie miesiące życia miała biedna Stefcia bardzo przykre wskutek pewnego nieporozumienia wywołanego sporem o broszki, które uważała do śmierci za swoje, i które my przyznaliśmy Elżbiecie, tłumacząc sobie niedokładnie notatką na kartce przez Stefę napisaną. Płakała biedactwo, twierdząc, że nie kłamie, wie dobrze jak postanowiła, że chce mieć te swoje klejnociki, by na starość móc nimi dysponować i nie być narażoną na biedę i głód, w razie konfiskaty willi w Gdyni i niewypłacenia za parcelę w Szczawnicy oraz innych kataklizmów, czując się coraz słabsza, nie przeczuwała jednak tak bliskiej śmierci. Wyrzucam sobie gorzko, że kłóciłem się z nią, przedstawiając jej, że to się należy Elżbiecie, co ją bardzo martwiło i wywoływało bardzo przykre sceny. Ostatecznie zadecydowała, że jedna z broszek ma być dana Elżbiecie, a druga ma być przeznaczona dla Pawła, jako klejnot rodzinny po Stadnickich, o ile nie będzie mi potrzebna na przeżycie lat, które jeszcze Pan Bóg mi przeznaczy. Tak miała biedula te ostatnie chwile życia zatrute tym małym sporem rodzinnym. Pragnęła zobaczyć się z Elżbietą, by się z nią pogodzić oraz ten cień, jaki padł na dotychczasowe najlepsze stosunki, zatrzeć i rozjaśnić. Niestety Elżbieta wskutek kłopotów, połączonych z przeprowadzką do Poznania i ze zdrowiem Jędrka, nie mogła przyjechać za życia Stefy, ani nawet na pogrzeb, co było wielką przykrością i dla Stefy, i dla mnie, i dla Elżbiety, która przyjechawszy na nabożeństwo żałobne u kapucynów, 24 I 1963, powiedziała mi w kościele, że to była jej wina. W tym widzę pełną ekspiację za małą jej winę, spowodowaną troską o los o przyszłość dzieci, których ciężar wychowania i wyżywienia na niej ciążył, co było ponad jej siły.

Pogrzeb w Nawojowej, złożenie Stefki w krypcie naszej rodzinnej pod kościołem, odbyły się 22 I 1963 r. przy licznych udziałach ludności i duchowieństwa. Przybyła liczna deputacja górali ze Szczawnicy w pięknych strojach i z wieńcem, której dyrekcja zdrojowiska dała autobus na przejazd. Powiedzieli oni, że chcieli cześć najwyższą okazać zmarłej. Wszyscy ludzie, nasi dawni słudzy, fornale z wielkim żalem i przywiązaniem odnieśli się do nas za usługę i pomoc nikt grosza nie chciał przyjąć. Ks. proboszcz Stanisław Kruczek<sup>438</sup> przyjął wszystkich uczestników pogrzebu wspianiałym śniadaniem. Tak zakończyło się to życie ciche, oddane mnie i dzieciom, życie tej, która tylko o innych, nigdy o sobie i swoich kłopotach nie myślała, jedynie spełnianie obowiązków wszelkich, jako cel życia uznawała. Panie, daj jej szczęście i żywot wieczny, na które całym życiem

<sup>438</sup> Ks. Stanisław Kruczek (ur. 1897), długoletni proboszcz w Nawojowej.

zasłużyła, mimo pewnych wątpliwości, jakie miewała, które może niebaczenie podsycalem.

W mej „pustelni” w Osoli tego roku (1963) miałem kilka miłych odwiedzin. I tak byli u mnie: Stach Sapieha, syn Eustachego, z siostrą Izią „Kukulą”, teraz niedawno Adam Gorayski, syn Jana, który przyjechał do Polski z Brazylii, gdzie pracuje u Romka Sanguszki, wpadł do mnie z Jędrkiem Mycielskim, Adamem i Janem Heydlami. Przed tym była Jadzia, córka, z Włodzimierzem Grocholskim, synem Remisia i Marysinką oraz panią Colette Dickey, sekretarką konsulatu USA, która ich swoim autem przywiozła. Każda taka wizyta wzbudza we mnie ponownie żal, że nie ma Stefy, która cieszyłaby się z tych odwiedzin i używałaby na upale i słońcu. Ufać trzeba i mieć nadzieję, że ona tam ma wieczną pogodę, spokój i nagrodę za jej święte, ciężkie i pełne trosk życie. Cieszyć się można, że nie doczekała tu przykrości i trudności wynikłych z podniesienia podatków z Gdyni i zablokowania dochodów. Tylko dzięki jasnowidzeniu jej może z tych sytuacji wybrniemy. [...]

Listy Julka Ogórka i Macanowicza, którzy wiele lat u mnie pracowali, jak również korespondencja Siatkowskiej<sup>439</sup>, czy Mastalskiego<sup>440</sup>, częściowo zachowane, same za siebie mówią. Uwaga w liście Macanowicza, że „grono nam życzliwych znacznie się powiększyło, zwłaszcza w ostatnich latach”, tj. po skonfiskowaniu mi Szczawnicy, jest mi znana, zwłaszcza dla tego rodzaju ludności szczawnickiej; usłyszałem ją z innej strony. Dawniej było wielu mnie nieprzychylnych, na skutek judzenia przez czynniki obce, mnie wrogie ze względów ideologicznych, którym jawnie ich kłamstwa, bezczelne szerzone przeciwko mnie, wytykałem [...]. Siatkowska trochę przesadziła i pomieszała zdarzenia; jej dziad był ekonomem we Frycowej, ojciec karbowym<sup>441</sup> w Nawojowej. Wtedy w 1945 r. jechaliśmy rzeczywiście wózkami prostymi i jednym koniem „Gwiazdka” ze Szczawnicy do Krynicy przez Stary Sącz, popaśliśmy chwilę u Karpińców, na noc zjechaliśmy do Oczkowskich w Nawojówce. Na drugi dzień wstąpiliśmy do ks. proboszcza Kruczka w Nawojowej. Wieczorem dowleliśmy się w strasznym deszczu do Krynicy; pod Hutę<sup>442</sup> już szkapą wyciągnąć nas nie mogła. Zamieszkaliśmy w „Miłej”, dokąd Stefa była przewiozła samochodami ciężarowymi, rosyjskim, za wódkę, trochę naszych mebli i sprzętów koniecznych do życia.

Wkrótce przeżywszy w Krynicy prawie miesiąc z matką moją, która jeszcze chodziła ze mną do Matki Boskiej na Górę Parkową, pożegnałem ją i wyjechaliśmy do Frainu (Vranova) celem rewindykowania majątku, skonfiskowanego nam przez Niemców w 1941 r. jako Polakowi; obecnie według informacji udzie-

<sup>439</sup> Stefania Siatkowska (1895–1976) pochodziła z rodziny zatrudnionej w dobrach Stadnickich, m.in. pomagała w wychowaniu dzieci w okresie ich pobytu w dobrach morawskich; prowadziła Kronikę Nawojowej. W latach 1925–1939 była zatrudniona w oświacie pozaszkolnej. Ponadto zajmowała się teatrami amatorskimi. Jej pasją były stroje regionalne i dekoracje teatralne.

<sup>440</sup> Jan Mastalski, nadleśniczy w Nawojowej.

<sup>441</sup> Karbowy – gospodarz gumieny, posiadał łaskę z zaznaczonymi miarami (karbami).

<sup>442</sup> Jazda „pod Hutę” – góra między Łabową i Krynica.



lonych mi przez posła ČSR w Warszawie Heireta<sup>443</sup> zwrócić się mającego Polakowi. Cała sprawa była przewlekana przez lokalne władze w Znojmie, które chciały koniecznie zatrzymać ten majątek, nie doczekała się załatwienia wskutek przewrotu komunistycznego w 1948 r.<sup>444</sup> [...]

Ja za cały majątek leśny 8900 ha z trzema tartakami, 22 gajówkami, czterema leśniczówkami, dwoma nadleśnictwami i całym szeregiem budynków administracyjnych otrzymuję rentę po 500 zł miesięcznie, i to od 1 I 1960 r.; do tego czasu po 102 zł miesięcznie. Gdzie jest praworządność i sprawiedliwość społeczna? Dekret PKWN z 12 XII 1944 r. dawał wywłaszczonym równowartość poborów urzędnika państwowego VI grupy płac. [...]

---

<sup>443</sup> Jan Heirat (1868–1947), dziennikarz, publicysta, poseł czechosłowacki w Warszawie.

<sup>444</sup> Przewrót komunistyczny w Czechosłowacji, kierowany przez Klementa Gottwalda nastąpił w lutym 1948 r.

## Zestawienie prac wykonanych przeze mnie w okresie 1904–1945

(podaję sumarycznie, z pamięci, czego dokonałem w tych czterdziestu latach)

O kupnie Rytra, lasów szczawnickich i Zakładu Zdrojowego już wspominałem obszerniej, kiedy te transakcje nastąpiły w latach 1907–1916.

Potem dokupiłem w Szczawnicy wille: „Litwinkę”, „Warszawiankę”, „Helenę”, „Janinę”, „Ukraińkę”, „Danusię”, „Połoniny”, gdzie park nowy założyłem. W latach 1904–1906 zbudowałem „Inhalatorium” oraz „Modrzewie”.

W latach 1906–1907 postawiłem tartak w Nawojowej oraz „Zarządówkę” i willę „Kohutówkę”. W latach 1928–1930 wybudowałem dom ludowy<sup>445</sup> w Piwnicznej, dom administratora przy wjeździe do folwarku, gdzie mieszkał pan Tułcki, teraz jest milicja.

Wybudowałem lub nabyłem 19 gajówek, w tym schroniska na „Młakach” i Kryszczowie oraz dom mieszkalny dla urzędników w Rytrze, na stoku naprzeciwko stacji kolejowej.

Postawiłem w Rytrze kościół i darowałem 11 ha lasu oraz grunt pod plebanię; w Barcicach dom parafialny z salą na zebrania; w Łabowej grunt i materiał na budowę kościoła i plebanii. Koszta pokryło Towarzystwo Szkoły Ludowej w Nowym Sączu.

Darowałem na szkołę budynek destylatorni w rynku w Łabowej. Podarowałem grunt pod szkoły w Nawojowej i Homrzyskach, nadto dodałem materiały budowlane i drzewne na obie szkoły. Na Wysokiem karczmę zamieniłem na szkołę.

W Szczawnicy „na Sewerynowce” darowałem Związkowi Nauczycielstwa Polskiego parcelę i materiał budowlany na dom wypoczynkowy, który powstał około 1920 r. i niestety spłonął podczas okupacji. Na ochronkę podarowałem dawną karczmę „na Skałce”.

W Nawojowej, jak również w lasach nawojowskich i ryterskich dokupiłem, względnie nabyłem w drodze zamiany, wiele parcel w celu komasacji (scalenia). I tak m.in.: Konieczną i Skałkę oraz Magurzycę i w innych częściach lasów nawojowskich i ryterskich założyłem 50 polan. W Nawojowej-Trzycierzu grunta w oddziałach 13 i 16 oraz część lasu od Aleksandra, ok. 20 ha, dom „Bacówkę” oraz inne uzyskane drogą zamiany z organistówką, przeznaczyłem na „nowy park”.

W Nawojowej wydrenowałem część pól, założyłem sztuczne pastwiska, zaprowadziłem zarodową oborę bydła czerwonego polskiego; żona moja założyła hodowlę owiec-karakułów i trzody chlewnej rasy westfalskiej, co umożliwiło nam przeżycie ciężkich czasów okupacji.

Postawiłem dwa nowe czworaki dla służby dworskiej w Nawojowej oraz dom mieszkalny i czworak w Brzeznej. Przebudowałem pałac, zaprowadzając

<sup>445</sup> „Dom Ludowy”, istniejący do dzisiaj, stał się miejscem akademii i zebrań mieszkańców; sala teatralna była używana przez teatr amatorski, tamże znajdowała się Kasa Stefczyka.

centralne ogrzewanie i światło elektryczne z centrali w tartaku, z którego także folwark i służba korzystali.

Już w 1918 r. sprawiłem traktor „Avance”, który nie tylko orał, lecz także służył do napędu młocarni, przez zaprowadzeniem prądu elektrycznego, co nastąpiło w 1922 r.

W latach 1928–1929 dobudowałem do pałacu swoją kancelarię z ogrodem zimowym oraz galerią łączącą kancelarię z wieżą w stylu wawelskim. Roboty te wykonano według planu i pod dozorem inż. Tułeckiego. Zaprowadziłem wypas owiec „obcych” na halach Rostockiej i Łabowskiej oraz wybudowałem wzorową „bacówkę” na Hali Łabowskiej.

Wskutek kryzysu światowego po 1929 r. popadłem w wielkie trudności finansowe; groziła mi sprzedaż licytacyjna Rytra za zaległe raty Banku Hipotecznego. Po długich i mozolnych staraniach uzyskałem rozłożenie zaległości i Rytro uratowałem. Mimo trudności nie zatrzymałem inwestycji szczawnickich, jak „Inhalatorium” i in.

W latach po I wojnie walczyłem o zniesienie „głupiej” daniny lasowej grożącej dewastacją już i tak zniszczonych lasów polskich. Niestety bez skutku. W celu pokrycia tych podatków majątkowych musiałem sprzedać Łomnicę należącą do lasów ryterskich. Zakupiłem w ciągu życia wiele cennych obrazów i mebli, których część ułatwiła nam życie po stracie majątków, np. stół dla gen. de Gaulle’a.

Po objęciu lasów sporządziłem plany gospodarcze nawojowskie i szczawnicko-szlachtowskie przez Małaczyńskiego-Reicharda i we własnym zarządzie przez inż. Muchę i Kociołka. [...]

Osola, 25 VIII 1965 roku

## Fotokronika



Edward Stadnicki, ojciec Adama, z ks. Jakubem Żabekim na tarasie pałacu w Nawojowej



Helena Stadnicka, matka Adama



Edward Stadnicki w stroju ślubnym



Z lewej Stanisław Stadniccy, wuj Adama, z prawej Edward - ojciec



Helena Stadnicka z bratem kard. Stefanem Sapięgą w Nawojowej



Adam z Marią Sapieżanką



Adam, ok. 1890 r.



W wieku młodzieńczym



W czasie I wojny światowej



Pałac w Nawojowej, lata trzydzieste XX w.



Goście weselni Adama i Stefanii, 1910 r.



Adam z żoną Stefanią, Nawojowa 1911 r.



Od lewej: Helena Stadnicka, Jadwiga Sapieżyna, Adam i Stefania Stadniccy z córką Marią, 1912 r.





Helena, Maria, Jadwiga Stadnickie, ok. 1927 r.



Józef, Paweł, Andrzej Stadniccy, ok. 1927 r.



Dzieci Adama i Stefanii Stadnickich



Rodzina Stadnickich we Vranovie, 1935 r.



Paweł Stadnicki



Andrzej Stadnicki



Córki Adama Stadnickiego, ok. 1918 r.



Ślub Heleny Stadnickiej z Antonim Mańkowskim



Ślub Jadwigi Stadnickiej z Adamem Czartoryskim



Ślub Marii Stadnickiej ze Stefanem Świeżawskim



Ślub Jadwigi Stadnickiej z Adamem Czartoryskim w kościele w Nawojowej



Jadwiga Stadnicka i Adam Czartoryski przed pałacem w Nawojowej



Adam Stadnicki z pierwszym jeleniem, 26 IX 1901 r.



Adam Stadnicki i Jan Taczanowski we Vranovie



Adam Stadnicki (z lewej), dr Konrad, baron Walterskirchen, księżę Metternich na stacji w Nowym Sączu, maj 1915 r.



Adam Stadnicki i o. Rupert Rehak, benedyktyn, z jeńcami rosyjskimi, 1915 r.



Koliba we Feleczyńie, 1911 r.



Zamek Vranov (Frain)





Tartak w Nawojowej



Zakład impregnacyjny w Łabowej, 1928 r.



Wizyta księcia Bernharda zu Lippe-Biesterfelda i jego żony księżnej Julianny w Nawojowej, 27 I 1937 r.



Adam Stadnicki (w stroju szlacheckim z prawej strony) podczas uroczystości 250-lecia wiktoria wieńskiej na Kahlenbergu, 13 IX 1933 r.



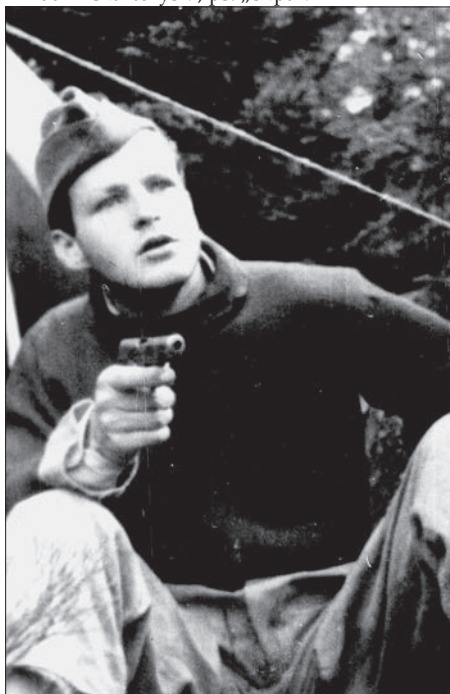
Andrzej Stadnicki z Magdaleną Mordarską,  
Rytro, 1943



Z prawej zięć Adama Stadnickiego  
- Adam Czartoryski, ps. „Szpak”



Anna Stadnicka (Gostkowska)



Józef Stadnicki, ps. „Kazimierz”, „Madej”,  
„Kobuz”



Adam i Stefania Stadniccy



Tablica na kościele w Nawojowej

## Spis treści

Od Redakcji „Rocznika Sądeckiego” .....	3
Adam Stadnicki (1882–1982) .....	4
Nota wydawnicza .....	7
Wspomnienia .....	9
Fotokronika .....	123



**Prezydent Miasta Nowego Sącza**  
**Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu**  
**Polskie Towarzystwo Historyczne**  
**Oddział w Nowym Sączu**

ISBN 978-83-933269-5-2